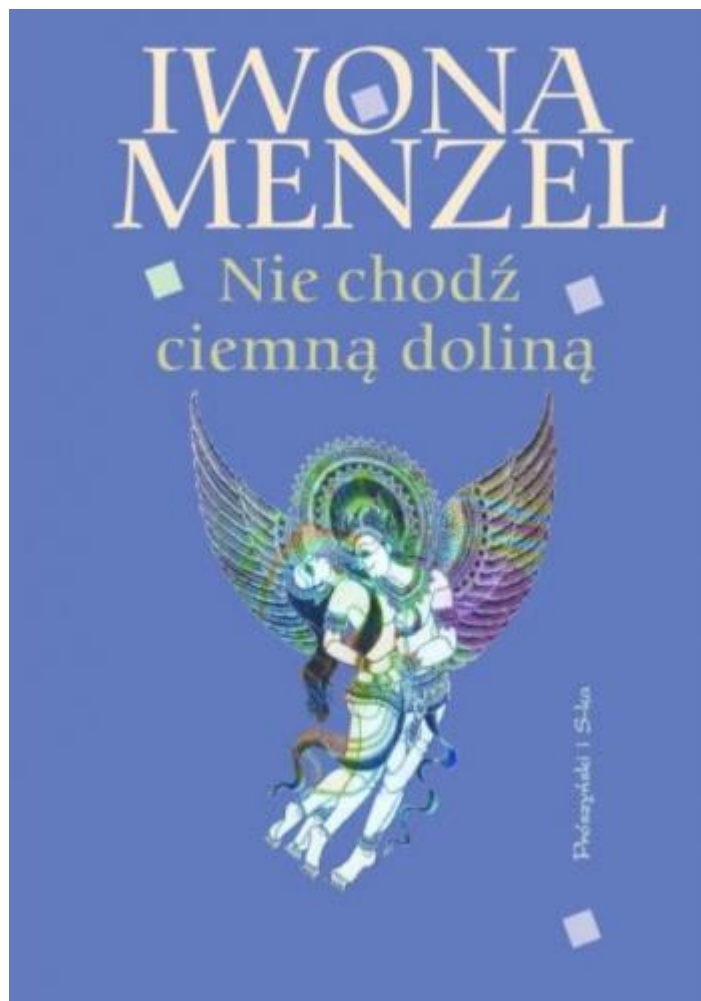




**IWONA**

**MENZEL**

**Nie chodź ciemną doliną**



Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne,  
bo Ty jesteś ze mną.

**Psalm 23(22), 4**

TLR

*Ewie i Igorowi*

*This novel is also dedicated to Ann and Heinrich, my dear friends, that sent me these wonderful Nang Taloong shadow puppets on the cover of this book.*

*May your future life be filled with joy and happiness!*

*Wszystkie postacie są wytworem wyobraźni autorki, podobieństwo do osób i wydarzeń jest przypadkowe.*

Życie Agnieszki ułożyłoby się pewnie inaczej, gdyby ogród *madame* Grinicz nie sąsiadował z ogrodem babki.

- Wyjątkowo szczęśliwy przypadek. Agunia nie będzie musiała nawet przecho-  
dzić przez ulicę - oświadczyła babka. - Nauczy się francuskiego i gry na fortepianie,  
co z całą pewnością przyda się jej w życiu. Nawet komuniści nie byli w stanie zabro-  
nić muzyki, a Paryż jest stolicą cywilizowanego świata. Pozostanie nią nadal, kiedy  
już wszyscy dawno zapomną o towarzyszu Wiesławie.

Agnieszka wcale nie była taka pewna, czy ma uważać ten przypadek za szczęśli-  
wy. W głębi duszy podejrzewała, że staruszka z sąsiedniej willi jest czarownicą. Kiedy  
dręczyły ją nocne koszmary, Baba Jaga wychylająca się z szafy do złudzenia przypo-  
minała *madame* Grinicz. Przynajmniej przez krótki moment, zanim rozsypała się w  
proch, z którego wystawała wyszczerzona w młodzieńczym uśmiechu szczeka.

- Bzdura! - powiedziała surowo babka. - Żadnych czarownic nie ma. *Madame*  
Grinicz jest przemiłą starszą panią, od której możesz się wiele nauczyć.

- Są - zapewniła Agnieszkę Majka, która należała do najlepiej poinformowanych  
osób w miasteczku, bo jej matka była sprzedawczynią w Samopomocy Chłopskiej. -  
Sama widziałam jedną wczoraj w lesie. Miała garb, brodawkę na nosie i niosła na ple-  
cach worek z kośćmi. Jak myślisz, dlaczego *madame* Grinicz nie ma ani dzieci, ani  
wnuków? Bo je wszystkie zjadła.

*Madame* rzeczywiście mieszkała sama, w wielkim, starym domu, którego jej  
wszyscy w Falenicy zazdrościli. „Willa Tamara” miała półokrągły ganek z kolumnien-  
kami i wieżyczkę z belwederem, w której nocą często paliło się światło. Majka twier-  
dziła, że *madame* więzi w niej sierotkę-bidulkę i zmusza ją do tkania ze słomy złotego  
szala, który z pierwszym pianiem koguta zamienia się w popiół. Niewykluczone że  
Agnieszka będzie musiała ją zastąpić, bo właśnie przez ten popiół sierotka nabawiła  
się suchot i długo nie pociągnie.

- A tak w ogóle, to po co ci ten cały francuski? Kes ke se, koń trawę je, parle, parle, sucho w gardle - sama widzisz, ja też mówię po francusku, a do *madame* nie chodziłam. Na twoim miejscu dobrze bym się zastanowiła.

Nic więc dziwnego, że kiedy babka, ściskając mocno jej dokładnie wyszorowaną rękę, po raz pierwszy zaprowadziła ją do „Willi Tamara”, na widok stojącej w progu kruchej staruszki Agnieszka zaniósł się straszliwym rykiem.

- Nie zostawiaj mnie tutaj! Zobaczysz, umrę na suchoty! - wrzeszczała, obejmując kurczowo kolano babki. - Nie chcę tkać słomy! Ja już umiem po francusku - kes ke se, koń trawę je, wule wu, krowa robi muu!

- Bardzo panią przepraszam, *madame* Grinicz, nie mam pojęcia, co się z tym dzieckiem stało - powiedziała głęboko zażenowana babka, usiłując strząsnąć uczepioną jej nogi Agnieszkę. - Mówi od rzeczy, to pewnie z upału.

- Ależ wcale nie musisz zostawać, jeżeli nie masz na to ochoty, *ma petite* - zaszeleściła staruszka. - Będę jednak ogromnie z tego powodu zawiedziona, bo specjalnie dla ciebie upiekłam pyszne tarteletki z malinami.

Agnieszka nie miała pojęcia, co to są tarteletki, ale podejrzewała, że po ugryzieniu tego czegoś zapada się w stuletni sen. Wybawić z niego może zaś tylko pocałunek księcia, a jeżeli czegoś Agnieszka naprawdę nie znosiła, to pocałunków. Kiedy ciotki mówiły: „Chodź tu do nas, skarbie, na pieszczotki”, jeżyły jej się włosy na karku.

- Babciu, czy ty nie widzisz, że to czarownica? - jęknęła z rozpaczą, nie odrywając policzka od kolana babki.

- Wydaje mi się, że jesteś źle poinformowana - rzuciła niedbale *madame* Grinicz. - Czarownice poznaje się po czarnym kocie, a ja nie mam kota, tylko papugę. Nie jestem więc czarownicą, tylko dobrą wróżką.

Bardzo możliwe, że gdyby nie ta papuga, Agnieszka uciekłaby do domu i nic by nie wyszło z jej nauki francuskiego, ale ptak zupełnie ją zafascynował. Był nie tylko bajecznie kolorowy, ale też miał doskonałe maniere, przy podwieczorku balansował elegancko na jednej nodze na poręczy krzesła, ściskając w pazurach drugiej kawałek ciastka. Unosił go najpierw do prawego, potem do lewego oka, przyglądał mu się

bacznie z każdej strony, przekrzywił pięknie upierzoną głowę i uprzejmie proponował Agnieszce: *Une tarte?*

*Une tarte? Délicieux, délicieux, mademoiselle!* Postanowiła wkuwać francuskie słówka dzień i noc, żeby móc zrozumieć, co do niej mówi. *Madame* Grinicz nazywała go z szacunkiem *monsieur* Papotin i twierdziła, że pierwszych dwadzieścia lat swojego życia spędził u pewnej hrabiny, co uczyniło go, niestety, snobem. Na widok gosposi, pani Wisi, *monsieur* Papotin zastygał w pół słowa i syczał:

- *Pas devant les domestiques, pas devant les domestiques!*\*<sup>1</sup>

W obecności listonosza, hydraulika albo węglarza tylko milczał wzgardliwie.

Oboje, *monsieur* Papotin i *madame*, przebywali duchem głównie w Sankt Petersburgu z czasów ich młodości. Czasów, kiedy to pędziło się trojką po zaśnieżonych lasach, tańczyło do upadłego na balach i kiedy żył jeszcze mąż *madame*, Aleksiej Fiodorowicz Grinicz, smukły carski oficer, który zarzucał na jej ramiona sobole i obiecywał przyszłość podobną do bajki.

Ten świat utonął w morzu krwi, o czym *madame* wołała nie pamiętać. W willi nie było dlatego ani jednego lustra, które mogłoby jej przypominać o upływie czasu. Wciąż miała dziewiętnaście lat i czekała, aż Aleksiej zabierze ją na bal.

- Dlatego nie wyjechałam do Francji, moja droga - wyjaśniła kiedyś Agnieszce. - Nigdy nie wiadomo, kiedy Aleksiej wróci. Ty, natomiast, koniecznie musisz zobaczyć Paryż. Opowiesz mi, czy bu-kiniści nadal sprzedają książki nad Sekwaną i czy można jeździć konno po Lasku Bulońskim. Pójdź też, proszę, tam, gdzie mieszkałam jako mała dziewczynka: Bulwar Malesherbes, numer 17, na pierwszym piętrze. Konsjerżka na pewno mnie jeszcze pamięta.

- Bardzo wątpię, żeby ją ktoś pamiętał - powiedziała posepnie Agnieszka do babki. - Jest strasznie stara, starsza nawet od ciebie, ma ze sto lat, a może i więcej. Nie wierzę, żeby kiedykolwiek była małą dziewczynką.

---

<sup>1</sup> \* Tylko nie przy służbie, tylko nie przy służbie! (Wszystkie przypisy pochodzą od Autorki).

Skóra na dłoniach *madame* przypominała suche skrzydła nieżywej ważki i Agnieszka, ujmując jej ręce, obawiała się początkowo, że rozsypią się pod dotknięciem jej palców. Nie rozsypywały się jednak, wprost przeciwnie, okazało się, że są zwinne jak wiewiórki. Pokrywały strony zeszytu, który *madame* nazywała kajetem, rysunkami, przedstawiającymi to, o czym właśnie mówiła: pokrytą puszką *pêche*, rumiane *pomme*, lśniąca *cerise*\*.<sup>2</sup> Z czasem ilustrowała całe historie. Przez długi czas Agnieszka była przekonana, że wszystkie wydarzyły się *madame* albo członkom jej rodziny, i była zdumiona, odnajdując je później w powieściach Dumasa i Verae'a.

- Ona wcale nie jest czarownicą - zwierzyła się Majce, wiszącej niedbale na trzepaku głową w dół. Była to umiejętność, której Agnieszka boleśnie jej zazdrościła, podobnie jak celnego plucia na odległość i podnoszenia bez zmrużenia powiek pajaków za nogę. - Jej ojciec był hrabią i spędził niewinnie dwadzieścia lat w więzieniu, ale potem uciekł, znalazł skarb i udał się w podróż dookoła świata. Po osiemdziesięciu dniach wrócił z powrotem.

- Też mi coś - odparła obojętnie Majka. - Mój tata też siedział w pierdlu, a z podróży dookoła świata do tej pory nie wrócił.

Obeszło się bez kucia słówek. Po prostu któregoś dnia okazało się, że Agnieszka mówi po francusku równie płynnie jak po polsku, wie więcej o zamkach nad Loarą niż o Wawelu, zna nazwy dwudziestu gatunków sera i bezbłędnie odróżnia *tarte* od *gâteau*\*<sup>3</sup>. Kiedy po raz pierwszy w życiu wysiadła z pociągu na Gare de l'Est, mogła wszędzie trafić z zamkniętymi oczami. Wszystko w Paryżu wydawało się jej znajome. Ten kraj był jej krajem, należała do niego, być może nawet bardziej niż jego prawowi-

---

<sup>2</sup> \* brzoskwinie, jabłko, czereśnie

<sup>3</sup> \* placek od ciasta



ci mieszkańcy, bo wiedziała o nim więcej, знаła lepiej jego literaturę i potrafiła z pamięci narysować plan Wersalu.

Podobnie oczywiste wydało jej się to, że należy do Gerarda.

Spotkała go, idąc pieszo szosą do St. Malo. Podrzucił ją samochodem do miasta i zaprosił na kolację. W oddzielnym pluszową kotarą *separée* - nie wiedziała do tej pory, że coś takiego istnieje naprawdę - pokazał jej, jak się je ślimaki, a potem, na nadmorskich skałkach, kazał jej słuchać, jak szeleszczą małe krabiki, kiedy morze się cofa. W tym czasie jego ręce błądziły po jej piersiach i czuła jego gorący oddech na swojej szyi, kiedy zaklinał ją, niczym troskliwy, stary ojciec, żeby już nigdy, przenigdy, nie wsiadała do samochodów obcych mężczyzn.

- Jaka jest ta Polska? - zapytał, zlizując sól z jej ramienia. - Co widzisz, kiedy myślisz o domu?

Co widziała? Wiklinowe fotele na werandzie domu babki, haftowany krzyżykami obrus na ogrodowym stole, psa, który na sztywnych łapach wchodzi po schodkach ganku, pusty hamak między sosnami, płonące klomby szaławii, roztrzępane wiewiórki i kąpiące się z wrzaskiem w piasku wróble. Słyszała sygnał osobowego do Warszawy, senne buczenie trzmieli nad koniczyną i dolatujące z „Willi Tamara” dźwięki fortepianu.

Ale domem było też mieszkanie rodziców na Pradze. Pamiętała ściany kamienicy pokryte liszajami dziur po pociskach, śmierdzącą moczem klatkę schodową, pijaka śpiącego z policzkiem opartym o pierwszy stopień i narożny sklepik z piramidą zakurzonych pudełek na wystawie. Ziemia wokół ulicznych drzew była tam ubita jak klepisko, pokryta gęsto psimi kupkami i niedopałkami papierosów. Po deszczu spomiędzy rozchwianych płyt chodnika tryskały fontanny błota, ochlapując kobiety o smutnych oczach dźwigające wypchane siatki.

To też była Polska.

- Jest inaczej - powiedziała. - Płaski, rozległy kraj, bardzo dużo nieba, więcej niż tutaj. Często pada i jest zimno, zimą nie pozostaje na trawnikach ani jedno zielone źdźbło. Chyba jest tam w sumie bardziej szaro.

Najbardziej zachwyciło Agnieszkę we Francji bogactwo barw. Wszystko tu było takie przepysznie kolorowe, wesołe, nawet stacje benzynowe, obwieszane chorągiewkami i wiatraczkami. Podobały jej się reklamy w metrze, stragany z owocami, witryny cukierni, kioski z gazetami, baterie butelek w bistrach, opakowania jogurtów, okładki książek i papier toaletowy w pastelowych odcieniach. A ileż tu było wspaniałych katedr, zamków, maszkaronów na dachach i romańskich portali! Za każdym pagórkiem czekało kolejne malownicze miasteczko z lilipucimi zaułkami i strzelistą dzwonnica, wokół której krążyły kawki. W jakiś sposób zazdrościła Gerardowi tego pięknego kraju. Gdyby była naprawdę uczciwa, musiałaby przyznać, że między innymi dlatego w nim się zakochała.

Ale nie tylko dlatego. Był taki przystojny! Miał oczy jak wilgotne kasztany, długie jak u dziewczyny rzęsy i gęste, szorstkie włosy przypominające w dotyku sierść dzikiego zwierzątka. Wszystko w nim wydało się Agnieszce ogromnie pociągające: szczupła trójkątna twarz, muskularne ramiona i wąskie biodra, a kiedy w St. Mało zdjął buty i podwinął nogawki spodni, żeby brodzić po wodzie, stwierdziła z zachwytem, że ma także zgrabne łydki, pozbawione nawet jednego włoska. Była szczęśliwa, że tak piękny chłopak zwrócił na nią uwagę, bo do tej pory budziła zainteresowanie wyłącznie rachitycznych studentów w okularach i opiekuńczych starszych panów. Odpieranie ich awansów nie było trudne, nie miały one nic wspólnego z opisywanymi przez poetów wzlotami. Jej własne odczucia, kiedy męska dłoń mozoliła się przy haftkach biustonosza albo próbowała wśliznąć się pod gumkę majtek, z całą pewnością nie były godne ani jednej linijki wiersza. Powoli zaczynała się martwić, że ma jakiś organiczny defekt, który czyni z niej kobietę oziębłą.

Babka twierdziła, że porządna dziewczyna powinna się szanować i nie puszczać z byle kim. Jak na razie Agnieszce to nie groziło. Zaczynała śmiertelnie się nudzić, za-

nim znajomość osiągała stopień zażyłości, który wymagałby rozważenia zakupu wystrzałowych majtek. Dlatego do tej pory posiadała wyłącznie zwykłe bawełniane, w infantylne różyczki, od których po drugim praniu odrywała się gumka. Dopiero w Paryżu zobaczyła prawdziwe dzieła sztuki, składające się z dwóch pasków koronki albo trzech ażurowych kwiatusków. Były bajońsko drogie i wciąż nie mogła zdecydować się na zakup. Teraz może będzie warto.

Taktyka matki była zupełnie inna: „Wiesz przecież, mój skarbie, że jestem twoją najlepszą przyjaciółką. Jesteś dorosła, rób, co chcesz, pamiętaj tylko, że mam do ciebie całkowite zaufanie”. Na szesnaste urodziny Agnieszki podarowała jej receptę na pigułki antykoncepcyjne z komentarzem: „Ale nie rób z niej użytku zbyt pochopnie, kochanie”. Potem sama zawiozła ją i aktualnego chłopaka w Bieszczady pod namiot. Jej zaufanie ciążyło Agnieszce jak kamień młyński u szyi, w wyniku czego leżała w ramionach rozpalonego do białości faceta sztywna jak kolek. Biedak pracował ciężko jak przy młócce nad jej ciałem, nie tracąc nadziei, że jeżeli przyciśnie tu, a polize tam, to coś w końcu zacznie się dziać - ale nie działo się nic: Agnieszka wciąż rozmyślała ponuro nad zaufaniem, którym darzyła ją matka, jej najlepsza kumpelka. Ale czy bycie najlepszą kumpelką musi automatycznie oznaczać, że ma się prawo do cudzych zwierzeń? Matka była lekarką i jej zainteresowanie poniekąd miało charakter profesjonalny: Agnieszka mogła sobie wyobrazić, że będzie jej zadawała fachowe pytania dotyczące na przykład długości gry wstępnej, intensywności orgazmu i wymiarów członka w stanie erekcji. Czysty koszmar. W tym okresie szczytem marzeń wydawała się jej rodzicielka pełna zahamowań, podejrzliwa jak chart, przeszukująca torebki i obwąchująca jej bieliznę.

- Bóg kocha twoją czystość, dziecko - szemrał zza kratki konfesjonu głos spowiednika. - To najpiękniejszy dar, jaki możesz mu złożyć. Czy grzeszyłeś myślą, mową albo uczynkiem? Z mężczyzną albo sama ze sobą?

- Niby jak: sama ze sobą, proszę księdza? - zapytała oszołomiona Agnieszka, a osoba duchowna biegle udzieliła jej niezbędnych wskazówek.

- Myślę, że właśnie tracę wiarę - zastrzegła się szybko, czując, że uszy jej płoną i łapie ustami powietrze jak ryba.

- A to zmów pięć razy litanie do Serca Jezusowego - poradził spowiednik - i wiara ci wróci. Czystość najważniejsza.

W obliczu tak sprzecznych instrukcji Agnieszka stała się mistrzynią w nietraceniu głowy, zachowywaniu zimnej krwi w podbramkowych sytuacjach i prowadzeniu gry daleko, ale nie do końca. Coraz bardziej nabierała przekonania, że znajduje się na najlepszej drodze do nabawienia się solidnej nerwicy na tle seksualnym, i bała się, że resztę życia spędzi w poczekalni psychoterapeuty.

Aż poznała Gerarda.

Po raz pierwszy miała do czynienia z kimś, kto nie był ani studentem, ani absolwentem jakiejś uczelni. Absurdalność polskiej odmiany realnego socjalizmu polegała między innymi na tym, że przepaść między córką lekarza i fryzjerem była nie do przebycia. Dopiero we Francji Agnieszka zobaczyła ze zdumieniem, że można się przyjaźnić z piekarzem czy barmanem. Szczególnie jeżeli piekarnia i bar dobrze prosperują. W Polsce było to zupełnie nie do pomyślenia. Kiedy Agnieszka zaprosiła na lody kierowcę sanitarki, który przyjeżdżał co rano po matkę, zrobił się z tego niezły skandal. Okazało się, że jedyne, co wolno jej robić z kierowcami, to dawać im na imieniny jakiś neutralny prezent. Na przykład skarpetki. Pewnie dlatego fascynowali ją mężczyźni machający kosą albo spawający szyny tramwajowe: wydawali jej się szalenie egzotyczni.

Gérard był mechanikiem. Jeździł po całej Francji i montował jakieś tam dźwigi, windy, taśmy produkcyjne, lichy wie co, w każdym razie coś, co pod jego dłońmi zaczynało ruszać się i żyć własnym życiem. Zdaniem zakochanej po uszy Agnieszki wykonywał piękny, odpowiedzialny zawód i był kimś w rodzaju chirurga albo dyrygenta. Ani przez chwilę nie przyszło jej do głowy, że mogłaby między nimi istnieć jakakolwiek dysproporcja. Wprost przeciwnie, była przekonana o jego wyższości, bo nieustannie czegoś się od niego uczyła: na przykład, jak jeść ślimaki i gotować kar-

czochoy. Pokazał jej też witraże w Chartres, nenufary w ogrodzie Moneta w Giverny, klasztor Mont-Saint-Michel i małe przydrożne hoteliki, których wytapetowane tkaninami w kwiatki pokoje wyglądały jak wnętrza saszetki na pończochy *madame Grinicz*. Wiedzą o życiu też bił ją na głowę. Już od lat pracował, w drodze od klienta do klienta przemierzał niestrudzenie kraj, podczas gdy ona do tej pory widziała tylko swój pokój dziecienny z kolekcją pluszowych zwierzaków. Resztę świata знаła wyłącznie z opowiadań *madame Grinicz*, w dodatku nie były to informacje pierwszej świeżości. Wsiadła więc w St. Malo do samochodu Gerarda, żeby jej ktoś w końcu ten świat pokazał.

A Gérard, chochlik miłości, z niczym się nie spieszył. W St. Malo polizał jej ramię, w Owernii pocałował szyję, a w Luberon uwolnił z biustonosza jej piersi. W drodze do Prowansji jego prawa ręka coraz częściej opuszczała kierownicę, żeby pieścić jej kolano i wewnętrzną stronę ud.

Całował ją, kiedy zatrzymywali się na pikniki wśród skał, gdzie rozpalone powietrze pachniało tymiankiem i rozmarynem, w cieniu oliwek, w których koronach koncertowały do upadłego cykady. Rozłamywał bagietkę, kładł na nią grube plastry sera i cebuli, posypywał rozartym w palcach dzikim czosnkiem i rozlewał do kubków ciężkie czerwone wino.

Mam nadzieję, że ta podróż nigdy się nie skończy, myślała Agnieszka, leżąc na wznak na sprężystych kępach lawendy. Chciałabym z nim tak jeździć i jeździć, od jednego ślicznego miasteczka do drugiego, coraz dalej i dalej, przyglądać się przez resztę życia, jak łapki pinii odcinają się od granatowego nieba. Impresjoniści mieli rację, tu wszystko jest intensywniejsze: kolory, smaki, zapachy i pocałunki. Przede wszystkim pocałunki. Chciałabym, żeby Gérard mnie całował, wszędzie, po całym ciele, żebyśmy się kochali w jednym z tych *grand lit*, zasłanymi szczelnie jak becik niemowlęcia, z wałkiem pod głowę zamiast poduszek i z dołkiem pośrodku materaca, w który się nieuchronnie wpada.

Ale na to musiała jeszcze poczekać i przemierzyć cały Masyw Centralny, Normandię i Burgundie. Aż dotarli tam, gdzie nie było już słychać cykad, tylko krzyk mew i huk rozbijających się o skały fal: Finistère.

TLR

Domu dziadków Gerarda prawie nie było widać zza gęstych krzaków hortensji, największych, jakie Agnieszka kiedykolwiek widziała. Całe Finistère wyglądało, jakby stworzono je dla olbrzymów i nawet niewinne roślinki doniczkowe osiągały tu kolosalne rozmiary, eksplodując kaskadami kwiatów.

- Jakie śliczne! - zawołała.

- Cała дума *mémé*\*<sup>4</sup>. Mówi, że tak ładnie kwitną, bo podsypuje je alunem, ale my dobrze wiemy, że odprawia nad nimi jakieś gusła.

Tu, w Argoat, wszystko było zaczarowane. Cały dzień jechali przez mroczne torfowiska porośnięte janowcem i obsadzone rozszalałym ostrokrzewem pola. Od czasu do czasu mijali wioski i zamki o basztach smukłych jak piszczałki organów, ale na ogół przebijali się przez bukowe i dębowe lasy, gdzie do dna głębokich jarów nigdy nie docierało słońce. Wśród porośniętych wilgotnym mchem głazów w zawrotnym tempie torowały sobie drogę strumyki.

- Las Broseliandu - wyjaśnił Gérard. - To gdzieś tutaj Viviane zwabiła pod ziemię zakochanego w niej po uszy Merlina i zesłała na niego wieczny sen. Jej zamek jest pod jeziorem Comper. Rycerze Okrągłego Stołu szukali tu Świętego Graala, kielicha, do którego Józef z Arymatei zebrał krew z boku Chrystusa.

Agnieszka przesunęła dłonią po jego czuprynie, sprawdzając, czy nie ukrywają się pod nią spiczaste uszy elfa. Powinien je mieć, był taki niewiarygodny, leśny chochlik z kraju *korrigans* i *morganes*, koboldów i nimf. Nie mógł urodzić się gdzie indziej.

- Jedziemy do *mémé*, do Bretanii - zdecydował poprzedniego dnia. - Chcę pokazać rodzinie moją *fiancée*\*<sup>5</sup>.

*Fiancee!* Agnieszce ze wzruszenia pojawiły się łzy w oczach. Dzięki ci, dobry Boże, że zesłałeś mi Gerarda, elfa z Argoat, który mnie kocha i ma w stosunku do

---

<sup>4</sup> \* babci

<sup>5</sup> \* narzeczoną

mnie poważne zamiary. Oby kochał mnie zawsze tak, jak ja go Kocham, na wieki wieków, amen.

Mimo rozlicznych kościołów, kapliczek i kalwarii ten kraj był cudownie pogański. Szczególnie kalwarie wydały się Agnieszce jedynie inną formą dolmenów i menhirów. Dziwnie rozgałęzione krzyże, kamienne figury, pozbawione przez wiatr i deszcz twarzy, czarne i pokryte dziobami jak po ospie, robiły posępne wrażenie. Wyglądały jak niesamowita armia strzegąca wejścia w zaświaty. Odnosiła wrażenie, że służą do oddawania hołdu tajemniczym mocom, których obecność czuło się tu na każdym kroku. Wcale by jej nie zdziwiło, gdyby się okazało, że do dziś są obiektami niepokojących kultów i miejscami spotkań potępionych dusz.

Ostatni odcinek drogi prowadził przez głęboki jar, którego zbocza pokrywały splątane zarośla jarzębiny przetykane kępami żółtego janowca i zrudziałych paproci. Już dawno minęli ostatnią wioskę, opustoszałą o tej porze dnia, gdzie przy stoliku przed jedyną *brasserie* siedzieli dwaj mężczyźni w czapkach z daszkiem nad dużymi filiżankami cydru i obserwowali w skupieniu graczy w bule. Stan gry był właśnie przez zgromadzonych dyskutowany z dużą powagą i bez wyjmowania z kącików ust papierosów, nonszalancko przyklejonych do dolnych warg. To właśnie podobało się Agnieszce we Francji: takie sprawy jak bule i aperitif ludzie traktowali tu całkiem serio. Nikt nie uważał tego za stratę czasu.

Mężczyźni przysłonili oczy dłońmi i z zainteresowaniem odprowadzili wzrokiem volkswagena Gerarda. Francuzi wymawiali tę nazwę *folkwagię*, przez co Agnieszce przez długi czas w ogóle nie przyszło do głowy, że mowa jest o garbusie. Tak też i pozostali jej w pamięci: krzepy wieśniacy, stojący na wybrukowanym szarymi kamieniami placu, obok polichromowanego świątka na krzyżu i oplecionej kwitnącym pnączem studni z bloczkiem do wyciągania wiadra. Obym tylko niczego nie zapomniała, pomyślała z niepokojem. Ani tego dużego psa, śpiącego w granitowym korycie z czerwonymi pelargoniami, ani stukotu kul do bule i żaru lejącego się z nieba. A

---



także napisu *Jus de fruits Jocker* na parasolu, tiary na głowie świątka, starczych rąk na oszronionych filiżankach - wszystko jest ważne. Wszystko muszę zapamiętać, żeby starczyło mi na długo, na całą zimę w Polsce, bo to właśnie jest miłość, bo właśnie teraz jestem bardzo zakochana i bardzo szczęśliwa, bo jeśli nie teraz, to kiedy?

Ale miasteczko już zniknęło za zakrętem, droga zagłębiła się znowu w jar i za oknami samochodu przesuwały się tylko kępy niebieskiego ostu, biedrzeńca i jeżyn. Tylko od czasu do czasu mignął kamienny krzyż, pokryty liszajem złotawego mchu.

Jeszcze zanim Gérard zaczął jak szalony naciskać klakson, Agnieszka już wiedziała, że są na miejscu. Wciśnięty w gąszcz kwitnących hortensji, lawendy i dzikiego rozmarynu dom, który się przed nimi wyłonił, mógł być tylko siedzibą elfów i Gerardów. Rozłożysty, wrośnięty w ziemię, jakby zapuścił w nią korzenie, żeby nie uniosły go zimowe wichry, zbudowany był z nieociosanych kamieni i pokryty omszałym łupkiem. Miał wesołe niebieskie okiennice, koronkowe sztywno wykrochmalone firanki w oknach i opleciony był rozpiętą pod okapem winoroślą. Niebieski był też płot warzywnika, w którym zamiast główek sałaty rosły różowe na brzegach karczochy, a na długich żerdziach suszyły się pęczki czosnku.

Agnieszka uznała, że dom jest zachwycający. Wcale nie zauważyła, że dach się zapadał, połowy łupka brakowało, a wszystko było biedniutkie, rozchwiane, zmurszałe albo stoczone przez robaki. Gdyby zauważyła, też by nie zmieniła zdania. Tu, w Finistère, nie bez powodu nazywanego końcem świata<sup>\*6</sup>, tak właśnie musiało być.

Przed domem siedziały na ławeczce dwie pogrążone w rozmowie kobiety i łuskały groch. Przetykane siwymi pasmami ciemne włosy starszej zwinięte były w ciasny kok, długie włosy młodszej przytrzymywała zwykła recepturka. Miały ten sam prawie granatowy połysk co czupryna Gerarda. Nietrudno było zgadnąć, że jedna z kobiet jest jego matką, a druga babką - wszyscy troje mieli te same wyraziste nosy i prawie zrosnięte brwi.

---

<sup>6</sup> \* Finistère - od łac. finis terrae - koniec Ziemi.

Na widok samochodu kobiety odstawiły miski z grochem i zerwały się z ławki, wycierając ręce o biodra. Z domu wypadła z wrzaskiem gromadka dziewczynek, które rzuciły się na Gerarda jak zwinne wiewiórki, wieszając się u jego rąk i nóg. Najmłodsza usiadła okrakiem na bucie, oplatając ramionami jego kostkę.

- Moje małe siostrzyczki - przedstawił je Gérard. - Marie-Claude, Marie-Jeanne, Marie-Paulette, Marie-Nicolette i Marie-Pierre. Wszystkie miały być chłopcami. Jak się urodziłem, papa tak się rozochocił, że postanowił skompletować własną drużynę piłki nożnej. Następny miał być Jean, a potem Claude, Paul, Nicolas i Pierre. Jak na razie jestem jednak jedynym chłopakiem w rodzinie i coś mi się wydaje, że tak też zostanie. A te Marie na początku, to po prababci ze strony papy.

- Kto ci powiedział, gówniarzu, że zaprzestałem dalszych wysiłków? - zahuczał potężny mężczyzna w pasiastym podkoszulku opinającym okrągły brzuch. - Pracujemy nad tym z matką dzień i noc!

Agnieszka rzuciła spłoszone spojrzenie na najmłodsze dziecko, które tuliło się tkliwie do kostki Gerarda, i wyobraziła sobie jego ojca w łóżku z kobietą z kucykiem. Poczła się okropnie zażenowana.

Jej rodzice robili wrażenie bezpłciowych. Była przekonana, że ich aktywność seksualna skończyła się w chwili jej przyjścia na świat. Nigdy nie zauważyła, żeby wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia albo szukali dotyku swoich rąk. Matka chyba w skrytości ducha nie uważała ojca za mężczyznę. W jej oczach był bezcielesny i chyba sam się taki czuł, bo jego człapanie było pełne rezygnacji, a sylwetka zgarbiona jak smętny znak zapytania.

Kiedyś Agnieszka zastała matkę stojącą na środku pokoju z założonymi na pierśsiach rękami. Mierzyła wzrokiem wiszącą na oparciu krzesła marynarkę, jakby była czymś paskudnym: wypatroszonym zającem, świeżo zdartą z kota skórka albo świńskim jelitem. Na widok Agnieszki natychmiast się serdecznie uśmiechnęła, ale parę dni później powiedziała nagle:

---

- Zanim człowiek na dobre zwiąże się z partnerem, powinien zastanowić się, jakie uczucia budzi w nim jego odzież.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Agnieszka napastliwie. - Ze na widok marynarki ojca robi ci się niedobrze?

- Och, w moim wieku i po tylu latach małżeństwa myślę już tylko o pralni chemicznej.

Agnieszka jej nie uwierzyła. Rodzice nie kochali się, to było oczywiste. Jeżeli nawet kiedykolwiek łączyła ich prawdziwa namiętność, to jej resztki musiały dawno wyparować. Nie mogła sobie wyobrazić matki, szepczącej do ucha ojca to, co ona szeptała Gerardowi:

- Czekałam na ciebie przez całe życie. Szukałam cię wszędzie, w kolorach, zapachach, krajobrazach i melodiach.

Matka odnosiła w pracy sukcesy. Była ordynatorem szpitala, jej prywatny gabinet również dobrze prosperował, świetnie zarabiała, ale kąciki jej ust wygięły się któregoś dnia w wyrazie rozgoryczenia i tak już pozostały. Ojciec uczył historii w niższych klasach licealnych, nie lubił przyjąć, teatr go nudził, ociągał się przy wyjazdach na urlop. Najchętniej zaszywał się w kącie z zawsze tymi samymi książkami: „Gdy słońce było bogiem”, „Bogowie, groby i uczeni”, „Pokażcie mi testament Adama”.

- Przecież znasz je na pamięć - mówiła ze złością matka, a on tylko wciskał się bez słowa głębiej w fotel, jak ślimak w skorupę.

Często stawał przy oknie, bębnił w zamyśleniu palcami o parapet z wzrokiem utkwionym w przemykających ulicą ludzi i zmarznięte ptaki na mokrych gałęziach drzew. Agnieszka wyglądała przez jego ramię na ulicę i nie mogła pojąć, co on tam widzi. Dopiero wiele lat później zrozumiała, jak bardzo czuł się samotny, ale już było za późno, już nie mogła przytulić się do niego i zapytać, czego wypatruje.

Rodzina Gerarda pewnie nawet nie znała słowa samotność. Wszyscy kłębili się jak stadko królików, wrzeszcząc, całując się, poklepując po plecach, poszczypując po-

liczki i pośladki. Hałaśliwe powitania nie miały końca, ale w końcu Gerardowi udało się ich przekrzyczeć, popchnął przed siebie Agnieszkę i zawołał:

- Uspokójcie się chociaż na chwilę! Popatrzcie, kogo wam przywiozłem: to jest Agnès, moja *fiancée*!

*Fiancée? Fiancée?* Naprawdę powiedział *fiancée*?, rozległy się dookoła podniecone szepty. Gérard się zaręczył? Coś ty, niemożliwe! Ale kiedy ci mówię... Ta z war-koczem, to jego żona? Nie żona, ty idiotko, jakby się ożenił, to by nie miał narzeczo-nej! To jego *fiancée*, *fiancée* Gerarda.

- A to piękna niespodzianka! - Ojciec wysunął się na czoło i jego wąsy połaskota-ły policzek Agnieszki. - Witaj w naszej rodzinie, Agnès, muszę przyznać, że mój syn wykazał dobry gust, sam nie wybrałbym lepiej. Marie-Jeanne, skocz no do piwnicy po cydr, trzeba to uczcić.

Teraz Agnieszka stała się obiektem ogólnego zainteresowania. Dziewczynki za-wisły jak małpki u jej ramion, obracano ją, oglądano, całowano i cmokano, a w końcu wepchnięto do domu i w kuchni natychmiast rozległo się odświeżające trzaskanie patel-niami i odgłosy krzątaniny. Po chwili rozszedł się zapach klarowanego masła, co nie-zawodnie oznaczało, że szykowane są *galettes*\*<sup>7</sup>. Ojciec Gerarda wniósł tacę z oszro-nionymi kieliszkami ze sznappsem z jabłek i pokrojoną w plasterki kiełbasą.

- *Andouille!* - zakomunikował z dumą. - Kiełbaska z prawdziwych flaczków wie-przowych, *Bonne Maman*\*<sup>8</sup> sama ją robi. Trzy miesiące wędzona w kominie, trzy go-dziny gotowana. Tajemnica polega na dodaniu przy gotowaniu odrobiny siana, wiesz o tym?

- W Polsce też robi się dobre domowe kiełbasy, ale flaczki jadamy na gorąco, z papryką i majerankiem.

- W Polsce? Jesteś z Polski, Agnès?

---

<sup>7</sup> \* bretońskie naleśniki z gryczanej mąki

<sup>8</sup> \* „dobra mama” - czułe określenie babci, w tym wypadku prababci

Zanim zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i w progu stanęła stara kobieta w czerni.

- *Bonne Maman*, prababcia Honorine - szepnął Gérard do ucha Agnieszki. - Na wiosnę skończyła osiemdziesiąt lat, ale to ona tu rządzi. Twarda jak skała. Ludzie w wiosce uważają, że potrafi rzucić urok, nawet Niemcy za okupacji schodzili jej z drogi. Przez całą wojnę ukrywała w piwnicy Żyda, ale żandarmi nie kwapili się na to odłudzie. Była wtedy zupełnie sama, pradziadek i wuj Leon, brat babki, byli w Anglii, we Francuskich Wolnych Siłach Zbrojnych. Przeprawili się łodzią w 1940, jak tylko de Gaulle wezwał do oporu. Obaj potem zginęli w czterdziestym czwartym, podczas inwazji aliantów.

Staruszka miała na sobie suto pofałdowaną spódnicę i skrzyżowaną na piersiach chustę, a na głowie biały, koronkowy czepek wysoki jak biskupia mitra, którego wykrochmalone wstęgi upięte były kunsztownie za prawym uchem. Ręce zaciskała na dużym modlitewniku ze złożonymi brzegami. Mimo wieku trzymała się prosto, a jej żywe mądre oczy wędrowały ze spokojnym rozbawieniem po zebranych, kiedy odłożyła modlitewnik i zaczęła rozplątywać wstęgi czepka.

Gérard objął Agnieszkę i poprowadził do prababki. Ucałował pomarszczone policzki i powiedział:

- Moja *fiancée*, *Bonne Maman*. Spodoba ci się. Dziewczyna z dobrego domu, tak jak zawsze chciałaś.

Oczy staruszki spoczęły z uwagą na Agnieszce. Lustracja musiała wypaść pomyslnie, bo wyciągnęła do niej obciążniętą suchą jak pergamin skórą rękę. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- To pięknie. Pościelę wam w dużej sypialni.

Był to, oczywiście, wielki zaszczyt. Dużą sypialnią nazywano pomieszczenie z wielkim małżeńskim łóżem pośrodku, na którym rodziły się, kochały i umierały całe pokolenia Leclerców. Po śmierci męża prababka Honorine nie chciała w nim pozostać. Przeprowadziła się do urządzonego surowo jak cela klasztorna pokoiku na mansar-

dzie, gdzie stało tylko wąskie łóżko i zbita z desek komoda. Poza miską, dzbankiem z wodą, kropielniczką, krucyfiksem i chodnikiem z gałganków, niczego więcej w nim nie było. Więcej, jak twierdziła prababka Honorine, żadnemu człowiekowi nie jest do szczęścia potrzebne.

- Kiedy my... - zaprotestowała Agnieszka, ale staruszka poklepała ją po policzku.

- Dobrze dobrze, moja droga! Ja też byłam kiedyś młoda, choć mi nie wierzycie. Jak szłam do ślubu, byłam w piątym miesiącu z Bertramem i do tej pory jestem absolutnie przekonana, że dobry Pan Bóg ma coś lepszego do roboty niż liczyć miesiące. Wszyscy będziemy ci wdzięczni, jeżeli ten gagatek się ustatkuje, a teraz siadajmy do stołu. Lazare? Gdzie jest dziadek Lazare, dziewczynki?

Wśród dziewczynek wybuchło zamieszanie. Spłoszone zbiły się w stadko, jak przerażone pojawieniem się myszołowa przepiórki i wymachując rękami, zaczęły gwałtownie dyskutować. Ty miałaś zająć się dziadkiem - nieprawda, wcale nie ja, ja byłam wczoraj, dzisiaj kolej na Marie-Jeanne - nic podobnego, kłamiesz - sama jesteś kłamczucha - Marie-Claude zawsze od wszystkiego się wymiguje -ale to ja poszłam dziś po chleb, prawda? - prawda, ale tylko dlatego, że podoba ci się chłopak z piekarni - mam, powiedz jej, żeby natychmiast przestała - Marie-Paulette też by raz mogła - zamknij się, bo ci zaraz dołożę - spróbuj tylko, to cię spiorę na kwaśne jabłko.

- Spokój!

Na dźwięk surowego głosu prababki dziewczynki natychmiast odskoczyły od siebie, przyglądały włosy i grzecznie usiadły na krzesłach.

- Jak wychodziłam do kościoła, dziadek siedział przed domem na ławeczce. Co się z nim potem stało?

- Poprosił, żebym go zaprowadziła do wygodki - przypomniała sobie Marie-Paulette.

- Bardzo dobrze - pochwaliła prababka. - A kto przyprowadził go z powrotem?

Cisza. Oczy staruszki wędrowały wyczekująco po speszonych buziach, ale nikt się nie zgłaszał. Klasnęła w ręce i zganiała je surowym tonem:

- Zostawiłyście dziadka w wygodce. Oj, dziewczynki, dziewczynki, co wy właściwie macie w tych głowach? Siano? Lećcie po dziadka, bo się jeszcze utopi.

Małe ruszyły z kopyta, a Gérard pochylił się nad uchem Agnieszki.

- Dziadek Lazare ma dopiero siedemdziesiąt lat, ale głowę słabiutką. Trzeba go pilnować jak dziecka, wciąż nam ginie. Dziewczynki powinny się nim na zmianę zajmować, ale często zapominają. *Mémé*, choć ma z nim same kłopoty, za nic na świecie nie chce go oddać do zakładu. Mówi, że spędziła z nim czterdzieści dobrych lat, to spędzi i te gorsze.

Dziadek Lazare spał słodko w wygodce, ze spodniami spuszczoneymi do kostek i policzkiem opartym o rolkę papieru toaletowego. Różowiutki, czyściutki, miał na głowie czarny kapelusz z okrągłym rondem i czerwony goździk w klapie.

- Może wybierał się na procesję? Albo na jakiś ślub? - zastanawiał się głośno Gérard. - Jakoś bardzo elegancko się ubrał, żeby pójść do wygodki!

Dziadek Lazare otworzył oczy i promiennie uśmiechnął się do Agnieszki. Przyłożył dwa palce do ronda kapelusza i szarmancko usiłował wstać, ale zaplątał się w szelkach.

- Czy jesteś nową pielęgniarką, aniołku? - zapytał, celując w Agnieszkę rolką papieru toaletowego. - To poproszę o lewatywkę i batonik czekoladowy.

Do zapadnięcia zmroku powtórzył to pytanie co najmniej dwudziestokrotnie i za każdym razem Gérard odpowiadał cierpliwie:

- Nie, dziadku, to nie pielęgniarka. To Agnès, moja *fiancée*.

- *Fiancée? Fiancée?* Ale jak na *fiancée* to ona jest stanowczo za wąska w biodrach.

Mimo panującego w domu straszliwego chaosu, nieustanych sprzeczek i nieokiełznanych wybuchów temperamentu rodzina Gerarda wydała się Agnieszce zachwycająca. Ciepła, serdeczna i radosna. Jakże odmienna od jej własnej, z milczącym ojcem ukrywającym się w głębi fotela za „Testamentem Adama” i rozczarowaną,

wiecznie zmęczoną matką. Dopóki była z nimi babcia, nie odczuwała panującego w domu chłodu aż tak boleśnie, ale babcia odeszła. Odeszła tak, jak żyła, w ten sam niekłopotliwy, spokojny sposób. Wyjęła z piecyka gorące ciasto, nakarmiła kota, podlała azalię w doniczce i usiadła na werandzie w wiklinowym fotelu, żeby skończyć mohеровy sweter dla Agnieszki. Zrobiła ostatni rząd, odłożyła druty, zdjęła okulary, pomyślała, że w niebieskim będzie Agu-ni do twarzy - i umarła. Wszyscy mówili, że miała piękną śmierć, tylko pozazdrościć, ale Agnieszce do dziś okropnie jej brakowało i wciąż zadawała sobie z żalem pytanie, jak babcia mogła cicho się usunąć i pozostawić ją samą ze wszystkimi problemami tego świata.

Dom w Palenicy sprzedano. Agnieszka kochała go, spędziła w nim pierwszych sześć lat swojego życia, a potem bawiła tam w prawie każde wakacje, bo matka głęboko wierzyła w dobroczynny wpływ suchych sosnowych lasów. Agnieszka protestowała zaciekle, ale na nic się to nie zdało - w tamtych czasach posiadanie dwóch miejsc zamieszkania było niedozwolone. Długo żegnała się z każdym drzewem, z każdym krzakiem i meblem, wiedząc, że kiedy nie będzie domu, babcia odejdzie naprawdę. Tu jeszcze wszystko ją przypominało, w pokojach unosił się zapach jej perfum, poduszki fotela miały zagłębienia, które pozostawiło jej ciało, na ścieżkach widoczne były ślady jej stóp. Kiedy wtulała twarz w jesionkę babci, wydawało jej się, że czuje dotyk jej ramion i za chwilę usłyszy jej głos:

- Aguniu? Gdzie jesteś, Aguniu?

Pożegnała się też z Majką. Majka wyrosła na ładną dziewczuchę z dużym biustem i zgrabnymi nogami. Nosila włosy czesane na topielicę i sztuczne rzęsy z Peweksu. Pracowała w salonie fryzjerskim, myła klientkom głowy, zamiatała obcięte kosmyki i robiła manikiur. Fryzjerki traktowały ją jak popychadło, ale któregoś dnia zemściła się na nich okrutnie. Oznajmiła im mianowicie, że poznała bogatego Szwajcara, który się z nią ożeni i zabierze ją do Zurychu. Kupi jej tam elegancki salon z kryształowymi



lustrami, marmurowymi posadzkami i pozłacanymi kranami, w którym ona, Majka, będzie piła kawę z klientkami i rozstawiała personel po kątach.

- Przykro mi z powodu twojej babci - powiedziała z roztargnieniem do Agnieszki. - Była bardzo w porządku. Ale co do tych języków i fortepianu, to nie miała racji. W prawdziwym życiu nie liczy się wykształcenie, ale co innego. Trzeba po prostu wiedzieć, jak mądrze dać dupy. Przyniosłam ci zdjęcia do pokazania, popatrz: to jest mój Sigg, to mój mercedes, a to mój dom.

Wyliczała, postukując dobitnie długim czerwonym pazurem w fotografię. Sigg miał hawajską koszulę rozpiętą na piersiach, złoty łańcuch na szyi i sygnet na palcu, dom zdobiły rzeźbione w stylu alpejskim balkony, ale sportowy srebrzysty mercedes był naprawdę ładny.

- Basenu nie widać, bo za domem - powiedziała skromnie Majka. - Podgrzewany.

- Gratuluję. A czym się twój narzeczony zajmuje? - zapytała oszołomiona tymi rewelacjami Agnieszka.

- Robi w handlu zagranicznym - oświadczyła z dumą Majka. - Import - eksport - import. Przyślę ci z Zurychu pocztówkę.

Oczywiście nigdy jej nie przysłała.

W następnych latach Agnieszka, rozmyślając o kapryсах losu, przyłapywała się na tym, że zazdrości Majce spokojnego życia u boku szwajcarskiego Hawajczyka. Tak jak w dzieciństwie zazdrościła jej matki pracującej w Samopomocy, niewzruszonego spokoju, z jakim łapała pająki, i zrogowaciałych jak podeszwa pięt. Majka, dziewczyna sprytna, ale prosta, podejmowała wszystkie decyzje z wyrachowania - i spadała jak kot na cztery łapy. Agnieszka kierowała się uczuciem, inwestowała serce i ogrom dobrej woli - i nigdy nic jej nie wychodziło.

Dom babci kupił cwaniak ze Śląska. Pieniądze spadły mu z nieba, wygrał w totolotka. Wiedział, komu dać w łapę, załatwił sobie zgodę na podzielenie terenu i posprzedawał działki pod szeregówkę. Kiedy Agnieszka po latach przyjechała do Falenicy nie poznała miejsca, w którym spędziła całe dzieciństwo. Nie było ani domu, ani

altanki, ani pnących róż i jaśminów, nawet wiewiórki znikły. Stały tam teraz paskudne, betonowe pudełka z płaskimi dachami, otoczone pomalowanym czerwoną minią płotem.

Za to willa *madame* Grinicz nie zmieniła się ani trochę. Przed półokrągłym ganikiem nadal rosły stare lipy, a w ich koronach sennie mruczały pszczoły. *Madame* dawno już nie żyła, ale w głębi domu ktoś grał etiudy na fortepianie - może nawet na tym samym, na którym Agnieszka ćwiczyła gamy? Nie zadzwoniła jednak do furtki, nie weszła na ganek, bo być może i w „Willi Tamara” zaszły jakieś zmiany, a chciała zachować ją w pamięci taką, jaką była za czasów jej dzieciństwa. Ruszyła więc w drogę powrotną do stacji wyasfaltowaną teraz ulicą, która kiedyś była piaszczystym traktem z wyżłobionymi przez furmanki koleinami.

Wstąpiła jeszcze do salonu „Anita”, gdzie pracowała niegdyś Majka. Większość fryzjerek była nowa, ale jedna ją rozpoznała i gościnnie podsunęła stółek.

- Córka pani doktorowej, prawda? - zapytała z zaciekawieniem. - Długo pani nas nie odwiedzała.

- Mieszkałam za granicą - wyjaśniła Agnieszka. - Dużo się tu u was przez ten czas zmieniło.

- Chyba dużo. A gdzie za granicą? W Szwajcarii, jak Majka?

- Nie, nie w Szwajcarii. Co nowego u Majki? Jak jej się wiedzie w tym Zurychu? Fryzjerka przyjrzała się jej z niedowierzaniem.

- To pani nic nie wie?

- A co miałabym wiedzieć?

- Ten jej Siggi okazał się zwykłym alfonsiem. Z całej Europy ściągał głupie dziewczyny do Niemiec. Jak tylko przekroczyli granicę, zabrał Majce paszport i tak długo walił ją po pysku, aż spokorniała. Do Zurychu nigdy nie dojechała, podróż skończyła się dla niej w Berlinie Zachodnim, w burdelu. Pamięta pani, jak się chwaliła, że będzie miała dom z basenem? No więc dostała ten swój basen: w burdelu była łaźnia turecka. Próbowwała zwać, ale strasznie ją stłukli, przez kołdrę, żeby siniaków nie było, bo to dla biznesu niedobrze. „Zapamiętaj sobie, złotko, że u mnie baba tylko

wtedy usta otwiera, kiedy klient ma życzenie w te usta kutasa wsunąć. Morda w kubek, jasne?" - tak jej ten Siggi powiedział. Dopiero po trzech latach udało jej się stamtąd wydostać i dotrzeć do polskiego kościoła, ale już było za późno, już jej się w głowie pomieszało. Księża się nad nią ulitowali, dali spać na plebanii, przeżywili, a ona im teraz za ten wikt i dach nad głową kościół zamiata, lichtarze czyści i na ołtarzach wodę w wazonach zmienia. Ludziom pokazuje, jak to pięknie sobie mieszka w tym Zurychu: posadzki ma marmurowe, świeże kwiaty i obrazy na ścianach. A basen jest za domem.

Przed oczami Agnieszki stanęła sześćioletnia Majka, bosa, z podrapanymi kolanami i gilem do pasa, jak mówi z przekonaniem:

- Są czarownice, są, sama widziałam. Złe jest wszędzie, zawsze cię dopadnie.

Biedna Majka. Może uda się zachować ją w pamięci taką, jaka kiedyś była, zanim złe ją dopadło: nieugiętą, patrzącą odważnie w przyszłość.

Mój Siggi, mój mercedes, mój dom. Mój los.

Po śmierci babki Agnieszka miała wrażenie, że w ich domu zabrakło powietrza do oddychania. Ojciec chudł w oczach, coraz bardziej stawał się podobny do zaszuszonego świerszcza, szczególnie, kiedy chował głowę w ramionach, w obronie przed wyrzutami matki: Nie miał ambicji. Nie osiągnął niczego. Niczym się nie interesował. Nie rozumiał jej.

Tylko jednego nigdy mu głośno nie powiedziała: że go nie kochała. Nie budził w niej żadnej napiętności, lata z nim były jałowe, zmarnowane. W tym kraju trzeba było ze wszystkiego zrezygnować, ale żeby i z tego? Bardzo chciała, żeby chociaż Agnieszka mądrze wybrała, żeby nie popełniła w przyszłości tego samego błędu. Jak mogła w młodości być tak głupia i wierzyć, że z czasem przyzwyczai się do człowieka, którego dotyk nie robił na niej najmniejszego wrażenia? Nie przyprawiał o ekstazę? Można oszukiwać partnera, można oszukiwać siebie, ale ciało jest uczciwe i nie da się oszukać. Chce albo nie chce. Jej nie chciało.

Czas mijał, Agnieszka była coraz starsza, a ona z przerażeniem myślała o chwili, w której córka wyfrunie z domu i zostaną w nim sami: dwa stare, samotne ptaszyska, które nie mają sobie nic do powiedzenia. Wtedy już nie da się dalej udawać, że stanowią rodzinę.

Dokładnie to samo pytanie zadawała sobie Agnieszka i jej podświadomość planowała ucieczkę. Nie chciała wiedzieć, jak to będzie. Chciała tylko być jak najdalej od ich nieszczęścia, od ich nie-kochania.

Wyjazd do Paryża spadł jej jak z nieba. Aśka, koleżanka ze studiów, zaproponowała jej świetną posadę *au pair* u bogatych Francuzów. Aśka bardzo ją sobie chwaliła, ale siedziała u nich już od roku i musiała, niestety, wracać do Polski.

Państwo Arnaud mieszkali w szesnastce, doskonałej dzielnicy koło parku Monceau. W pięknej dziewiętnastowiecznej kamienicy wynajmowali całe pierwsze piętro. Mieszkanie było jak marzenie, urządzone antykami, z pokojami w amfiladzie i drzwiami balkonowymi, które prowadziły na obiegającą dom galeryjkę z balustradką z kutego żelaza. Na parterze królowała w szklanej klatce prawdziwa konsjerżka, niby to całkowicie skoncentrowana na robótce na drutach, ale widząca i wiedząca wszystko. To tylko na wypadek, gdyby Agnieszka miała zamiar przyjmować chłopaków w swoim pokoiku na mansardzie.

Państwo Arnaud prowadzili ekskluzywną prywatną szkołę, w której pan Arnaud piastował funkcję dyrektora, a pani Arnaud zajmowała się buchalterią i szpiegowaniem męża. Podejrzewała, że sypia z sekretarką, atrakcyjną blondyną z pięknym biustem i wcale się nie myliła: kiedy tylko pani Arnaud wyprawiała się z dziećmi do Burgundii w odwiedzinach do matki, blondyna wprowadzała się do jej sypialni. Paradowała po mieszkaniu w narzuconych na gołe ciało jej peniuarach, skrapiała sobie uszy jej perfumami i szczotkowała rzęsy jej mascarą.

Aśka miło wspominała wyjazdy pani Arnaud, bo za każdym razem dostawała od niej pięćdziesiąt franków, żeby miała pana Arnaud na oku, a od niego zawrotną sumę stu franków, żeby trzymała język za zębami.

Chłopcy, Pascal i Frederic, mieli siedem i dziesięć lat i byli, zdaniem Aśki, zupełnie bezproblemowi. Nauczyła ich grać w pokera i dawała im od czasu do czasu zaciągnąć się papierosem. Całkowicie to wystarczało, żeby mieć ich pod kontrolą.

Praca była więc naprawdę ekstra i Aśka zachowała się bardzo wielkodusznie, polecając państwu Arnaud Agnieszkę na swoje miejsce.

Przez pół roku współżycie z państwem Arnaud układało się Agnieszce idealnie. Owszem, roboty było dużo, musiała być nie tylko opiekunką do dzieci, ale i sprzątaczką, pokojówką i kucharką, bo pani Arnaud dobrze wiedziała, że Polki są potulne i nie wpadnie im do głowy poskarżyć się w organizacji patronującej pracującym jako *au pair* dziewczynom. Płacono jej jednak dobrze, chłopcy byli niekłopotliwi, a podczas przyjęć zatrudniano firmę cateringową. Sadzano ją wtedy przy stole, żeby goście widzieli, że państwo Arnaud są ludźmi postępowymi i nie mają przesądów.

Idylla skończyła się w chwili, kiedy pan Arnaud stracił zainteresowanie pięknym biustem sekretarki i jego wzrok coraz częściej zaczął spoczywać na piersiach Agnieszki. Mimo brzuszka niestrudzenie wdrapywał się po kuchennych schodach, które prowadziły do jej lilipuciego pokoiku na mansardzie. Osiągnąwszy cel, twierdził, że urwał mu się guzik przy marynarce i Agnieszka koniecznie musi go przyszyć. Najlepiej siedząc na jego kolanach.

Agnieszka zupełnie niepotrzebnie straciła panowanie nad sobą i dała mu po pysku, kiedy usiłował jej rozpiąć biustonosz, a już zupełnym błędem było obdarzenie go epitetem *vieux eon*<sup>9</sup>. Po prostu nic innego nie wpadło jej do głowy. Nie znała żadnego wyzwiska po francusku - no bo i skąd? *Madame* Grinicz nie przeklinała. To akurat obilo się jej o uszy w metrze. Ale pan śmiertelnie się obraził - nie tyle za *eon*, ile za *vieux* - i z miejsca ją wylał, ku wielkiemu żalowi Pascala i Frédérica. Polubili pokera.

---

<sup>9</sup> \* stary dureń

Straciła dobrą pracę, ale postanowiła uznać rozwój wypadków za zrządzenie losu. W takim razie pojeździ po kraju i zobaczy te wszystkie piękne miejsca, o których opowiadała jej *madame* Grinicz. Okazało się, że podróżowanie autostopem jest dziecinnie proste - akurat tego matka jej nie zabroniła, bo nie przyszło jej do głowy, że córka może być aż tak głupia, żeby wsiadać do samochodów zupełnie obcych mężczyzn - i Agnieszka zdążyła już przeżyć uniesienia związane z podziwianiem witraży w Rouen i skał w Etretat, kiedy Gérard otworzył przed nią drzwi swojego volkswagena. Od tej pory nie przestawała dziękować Bogu za tego *vieux eon*, który zakończył jej karierę niańki i umożliwił doznawanie wrażeń i odczuć, których istnienia nawet nie podejrzewała.

- Los daje człowiekowi tylko raz w życiu wielką szansę - powiedziała kiedyś matka. - No, może dwa. Ja z mojej nie skorzystałam, ale ty nie przegap swojej.

- A jaka to była szansa?

- Tomek. Kochał się we mnie na studiach, ale ja w końcu wyszłam za twojego ojca. W 1968, jak była nagonka na Żydów, wyjechał do Ameryki. Nie wiedziałam, że jego matka jest Żydówką, on sam nie wiedział, rodzina skrzętnie to ukrywała przed nim i przed całym światem. Przeżyli wojnę, ale nigdy nie pozbyli się lęku, że kiedyś znowu mogą zacząć na nich polować. Postanowili więc, że przestaną być Żydami. Nic ich nie łączyło z Izraelem, ale w nadziei na lepsze życie skorzystali z możliwości emigracji, jaka nagle przed nimi się otworzyła. Mieli rację, powiodło się im. Tomek nostryfikował dyplom, zrobił karierę, dziś pracuje w Państwowym Instytucie Zdrowia w Bethesda. Marzenie każdego lekarza. Chciał mnie ściągnąć, ale ty byłaś jeszcze dzieckiem, no i ojciec... a później czasami żałowałam. Więc chociaż ty nie zmarnuj swojej szansy.

Moją szansą jest Gérard i na pewno jej nie zmarnuję, myślała teraz, siedząc na honorowym miejscu przy stole. Na jej talerzu piętrzył się stos gorących *galettes*, siostrzyczki Gerarda wydierały sobie włosy, walcząc o przywilej wdrapania się na jej

kolana. Tylko ta najmłodsza, Marie-Pierre, zwinęła się jak kot na podolku cudownie odnalezionego dziadka Lazare.

- Mój dziadzio - oświadczyła z zadowoleniem, nie wyjmując palca z buzi. - Marie-Pierre najbardziej ze wszystkich kocha dziadzia, a dziadzio najbardziej ze wszystkich kocha Marie-Pierre. Prawda, dziadziu?

Dziadek Lazare rozejrzał się nieprzytomnie dookoła.

- Kto to jest Marie-Pierre? - zapytał.

- Tutaj. - Pomogła mu Marie-Pierre, poklepując się po chudym brzuchu. - Marie-Pierre kocha dziadzia, bo biedny dziadzio nie ma dzieci.

Dziadek westchnął ciężko i pokiwał ze smutkiem głową. Przy stole wybuchło zamieszanie. Idiotka! Głupoty opowiada! Sama idiotka! Mamo, powiedz jej... Jak ty mówisz do siostry? Odczep się ode mnie! Sama się odczep!

- Marie-Pierre, mój skarbie - zaczęła matka Gerarda pełnym nieskończonej dobroci tonem, jakim dorośli zwracają się do małych dzieci i wariatów. - Oczywiście, że dziadzio Lazare ma dzieci. Ja jestem jego córką, a wujek Jean synem...

- Nic podobnego! - zaprotestował dziadek z oburzeniem.

- ...tylko akurat w tej chwili o tym zapomniał - dokończyła matka Gerarda z anielską cierpliwością. - Na pewno wkrótce sobie przypomni.

Marie-Pierre przyjrzała się matce z napięciem i parsknęła śmiechem. Akurat! Może i była najmłodsza, ale nie była głupia i wiedziała, kiedy ją dorośli nabierają. Nieustannie ją oszukiwali, wmawiając, że zastrzyk nie boli, a szpinak jest pyszny.

- Nie możesz być dzieckiem, bo jesteś stara - powiedziała z wyższością.

- No właśnie! - ucieszył się dziadek Lazare i zatrząsł z zadowolenia, podrzucając przy tym Marie-Pierre jak piłkę do góry. Na przodzie jego spodni zaczęła rozlewać się powoli ciemna plama.

- Słodki Jezu i co ja mam począć z tym człowiekiem? - westchnęła z rezygnacją babka Gerarda, stawiając na stole następną górę naleśników.

- Przebrać - zauważyła trzeźwo prababka.

- To nie ja, to ona - zaprotestował dziadek, wskazując na Marie-Pierre. - A tak w ogóle, skąd się wzięło to dziecko?

Oczarowana Agnieszka chciwie chłoneła każde słowo i każdy gest. Byli po prostu wspaniali, tacy cudownie naturalni, a jacy serdeczni! Właśnie taka powinna być rodzina i taką stworzy kiedyś z Gerardem. Czuła łączącą Leclerców więź, widziała ciche porozumienie w ich oczach, kiedy wymieniali uśmiechy. Nie uszło jej uwagi, jak często spotykają się dłonie rodziców Gerarda i niby przypadkiem dotykają ich kolana. Do licha, byli przecież starzy, nieomalże w wieku jej ojca i matki, a przecież widziała, że ich ciała wciąż się szukają. Najlepszy dowód to najmłodsze dziecko z pieluchą w zębach, jak jej tam było? Marie-Paul, a może Marie-Pierre? I ta niezwykła starszuszka, prosta jak trzcina, dumna i władcza! Nawet zdziecinniały dziadek Lazare też jej się podobał. Każda inna rodzina dawno zamknęłaby go w wariatkowie, gdzie by dogorywał, podłączony do kroplówek, a tu otoczony był troską i miłością.

Po kolacji Gérard zastukał w kieliszek i wygłosił krótką mowę, dotyczącą głównie wyjątkowych zalet Agnieszki i oszałamiających perspektyw wspólnej przyszłości. Na zakończenie wyciągnął z kieszeni wyklejone różowym pluszem pudełeczko, uroczyście wyjął z niego pierścionek z odpryskiem diamentu i wsunął na jej palec. Żaden Koh-i-noor nie sprawiłby jej większej radości! Dzięki Ci, Panie, za tę chwilę, dzięki, że pozwoliłeś mi to przeżyć, bo jestem przekonana, że miliony kobiet na świecie, z moją matką na czele, przechodzą przez życie, nie wiedząc nawet, czym może być miłość. Wierzę, że jesteś dobry i nie bawisz się mną jedynie - chyba nie pokazałeś mi pastwisk niebieskich tylko po to, żeby mi je znowu zabrać?

Rozplakała się ze wzruszenia, a klan Leclerców wiwatował hałaśliwie.



Prababka Honorine troskliwie wygładziła chłodne, wykrochmalone prześcieradła, opinające ciasno łóżko, które przez dwadzieścia pięć lat dzieliła z Nicolasem. Urodziły się w nim wszystkie ich dzieci i położy się do niego jeszcze raz, kiedy przyjdzie na nią czas, żeby umrzeć. Na razie miała jednak jeszcze dużo spraw do załatwienia i nie zamierzała się z tym spieszyć.

Rozejrzała się po pokoju, sprawdzając, czy jest świeża woda w dzbanku, czy przy emaliowanej misce na trójnogu leży mydło, a na wieszaku wiszą czyste ręczniki. Wszystko było, oczywiście, w najlepszym porządku, Denise już o to zadbała. Miała z tą Denise kiedyś krzyż pański. Zanim wyszła za męża, była jak żywe srebro i do wszystkich chłopaków robiła słodkie oczy. Wydawało się, że nigdy się nie ustatkuje. To po niej Gérard odziedziczył temperament i talent do łamania serc. Teraz Denise była wzorową matką i żoną, świata nie widziała poza swoim Jeanem, istniała więc nadzieja, że i Gérard się ustatkuje. Podobała jej się ta mała Polka. Miała w sobie coś niewinnego, a zarazem tę siłę, którą Honorine, sama harda i nieustraszona, rozpoznawała w innych kobietach na pierwszy rzut oka. Nie wychowywałyby samotnie dzieci na uczciwych ludzi, gdyby pozwoliła sobie kiedykolwiek na chwilę słabości, i nigdy nie przetrwałyby tej okropnej wojny. Bóg jeden wie, jak jej było ciężko i jak bardzo się bała, że któregoś dnia Niemcy przeczeszą jej zagrodę i znajdą schowek w stodole, w którym ukrywała pana Blumenscheina.

Pan Blumenschein, kuśnierz z Pont-l'Abbé, miał wygląd, niestety, bardzo semicki i jego szanse na przeżycie po wkroczeniu Niemców były minimalne. Lubiała rozmawiać z tym spokojnym, łagodnym człowiekiem w długie, zimowe wieczory i do dziś nie żałowała, że z czasem z tych rozmów wynikło coś więcej. Oboje byli bardzo samotni i oboje potrzebowali pociechy w tych strasznych czasach. Mój Boże, była wtedy jeszcze w kwiecie wieku, miała zaledwie czterdzieści parę lat, a panu Blumenscheinowi, w jego smutku i strachu, wydawała się młoda i godna pożądania. Jego wielkie semickie oczy stawały się wilgotne z tęsknoty, kiedy kładł rękę na jej pier-

siach i mówił: „Jaka ty jesteś piękna, Honorine!”. Ona uparcie nazywała go panem Blumenscheinen, bo chociaż ze źdźbłami słomy we włosach i zapadłą klatką piersiową wyglądał jak smutny, wygłodzony kundel, to dobrze jeszcze pamiętała, jak w Pont-l'Abbe, w szytej na miarę koszuli, z goździkiem w klapie i złotą dewizką od zegarka na brzuchu, poprawiał na stojącym na wystawie swojego sklepu manekinie futro z norek. Stała na ulicy owinięta w czarną chustę, w drewnianych sabotach na nogach i podziwiała przez szybę kryształ, lustra i srebrne lisy, które trzymały w zębach własne ogony, a pan Blumenschein, władca tych lisów, norek i soboli, uśmiechał się do niej i wołał:

-Dzień dobry, moja piękna Honorine! Na nikim to futro nie wyglądałoby tak dobrze, jak na tobie!

Po wkroczeniu Niemców pan Blumenschein jako jeden z pierwszych zorientował się, co grozi jemu i jego rodzinie. Jednym z ostatnich statków, jakie odbiły z Concarneau, wysłał żonę i dzieci do Anglii. Sam nie tracił nadziei, że uda mu się jakoś przeczekać i uratować chociaż część towaru. Bardzo się mylił.

Nicolas i Leon byli wtedy już w Anglii, Germaine mieszkała z mężem i małą Denise w Paryżu, a Honorine siedziała na tym odludziu sama jak palec i próbowała wyżyć z tego, co wyrosło na polu i w ogrodzie. Na rynku w Pleyben sprzedawała karczochy, pomidory, jaja, kurczaki i czasami króliki, zimą gorącą zupę cebulową i *farz*<sup>10</sup>, ale kiedy spadły śniegi, drogi stawały się nieprzejezdne. Wtedy wieczory bardzo się jej dłużyły.

Germaine była dobrym dzieckiem. Często proponowała, żeby przeniosła się do niej, do Paryża, ale cóż poczęłaby w wielkim mieście, na łaskawym chlebie u córki? Tu, na farmie, była przynajmniej panią u siebie, mogła robić, co się jej podobało. Wojna kiedyś się skończy, Nicolas i Leon wrócą i powinni zastać gospodarstwo w porządku.

---

<sup>10</sup> \* zapiekanka z kaszy gryczanej, mięsa i suszonych owoców

Dlatego nie opuściła swojego pustkowiec i kiedy pan Blumenschein zaskrobał nieśmiało do jej drzwi, siedziała samotnie w kuchni i splatała główki czosnku w warkocze.

Honorine poklepała w zamyśleniu poduszki i wsunęła pod nie bukietki lawendy. Młodzi w ogóle nie potrafią sobie wyobrazić, że starzy też kiedyś przeżywali namiętność. Uważają, że to dopiero ich pokolenie wynalazło miłość. Tu, na wsi, gdzie trzeba było krowę prowadzić do byka, a czasami i prącie ręką nakierować, wszyscy żyli blisko natury i od dziecka wiedzieli, co to jest seks. Może nawet lepiej niż dzisiaj, kiedy tyle się o tym pisze, jakby do kochania potrzebna była instrukcja obsługi.

Nie, nie wypowiedziała się wtedy z romansu z panem Blumen-scheinem, bo nawet w konfesjonale nie chciała zdradzić jego miejsca pobytu. Bóg na pewno nie wziął jej tego za złe. Dopiero po wojnie, kiedy pan Blumenschein szczęśliwie dotarł do Haify i odnalazł tam cudem ocalałą rodzinę, poszła na pielgrzymkę do Saint-Anne-d'Auray\*<sup>11</sup> porozmawiać ze świętą Anną jak kobieta z kobietą. Któż mógłby ją lepiej zrozumieć? Święta Anna też była sama, kiedy ruszyła w drogę do Palestyny, żeby urodzić Najświętszą Panienkę, i wiedziała, jak to jest, kiedy człowiek nie ma innego wyboru. A Honorine tamtej nocy, od chwili, kiedy usłyszała na drodze motocykl, nie miała innego wyboru.

Od razu wiedziała, że to Niemcy. Od czasu, kiedy pan Blumenschein ukrywał się w jej stodole, nauczyła się rozpoznawać dźwięk ich motorów. Ten był z przyczepą, tylko oni takimi jeździli. Już przedtem pojawiali się u niej, wypytywali o męża i rekwirowali żywność. Powiedziała im, że Nicolas porzucił ją dla kochanki: takie wredne są, panowie oficerowie, te chłopcy. Czasami dawali jej za kury i króliki kilka franków, ale najczęściej wystawiali pieczołowicie kwity, jakby niesprawiedliwość stawała się

---

<sup>11</sup> \* W Saint-Anne-d'Auray ukazała się wieśniakowi święta Anna, patronka Bretanii.

mniejsza przez to, że ją poświadczyli na piśmie. Zdążyła tylko wypchnąć pana Blumenscheina z kuchni, gdzie pomagał jej wciąż jeszcze pięknymi rękami o długich palcach wiązać cebulę w pęczki, a już stali w drzwiach: młodzi, dobrze odżywieni chłopcy w wieku jej Leona, z włosami jasnymi jak pszenica.

Wytarła stolki ścierką i podsunęła im je gościnnie. Nalała gorącej grochówki, postawiła na stole butelkę samogonu, wyciągnęła paczkę gauloisów, trzymany w szufladzie specjalnie na takie okazje: częstujcie się, panowie oficerowie, czujcie się jak u siebie w domu, przecież wiem, jak wam ciężko, z dala od waszych rodzin i ojczystych stron!

Niemcy jedli z apetytem, ale rozglądali się ostrożnie na boki i położyli przed sobą odbezpieczony karabin. Sama tu mieszka?

Tak, sama. Nie boi się na takim pustkowiu? Nie, dlaczego? Bać trzeba się ludzi, a tu zadni nie zachodzą. Partyzanci też nie? Uchowaj Boże, to spokojna okolica. No to na zdrowie, panowie, wypijcie jeszcze szklaneczkę, a może jajecznicę usmażyć? Świniak byłby lepszy, nie ma świniaka? Skąd by u mnie świniak, wszystkie dawno zarekwirowane. To co trzyma w stodole? A co ma trzymać w stodole? Siano, rozumie się, tylko siano.

Kurt, pójdź do stodoły i sprawdź, co z tym sianem.

Nie zdążyła nawet nasunąć snopków słomy na klapę od schowka, zaledwie parę źdźbeł na niej leżało. Wystarczyło ją uchylić i już widać było przykrytą workiem pryczę, ogarek świecy i książkę, którą pan Blumenschein w kółko czytał: „Colas Breugnon, żywot człowieka poczciwego”. Zupełnie, jakby sam siebie chciał przekonać, że czasy poczciwych ludzi kiedyś znowu powrócą. Kurt sięgał już po pas i karabin. Zarzuciła mu ramiona na szyję i powiedziała:

- Siano nie ucieknie. Posiedźcie tu jeszcze ze mną, panowie, wypijemy, zabawimy się. Tak rzadko mam gości, a cóż dopiero mówić o takich chłopach na schwał, jak wy.

Kurt pierwszy zdjął kurtkę od munduru, rozpiął spodnie i pociągnął Honorine na podłogę. Podkasala spódnice, usiadła na nim okrakiem i szepnęła wstydlawie, ugniatając ręką jego nabrzmiały członek:

- Czy kolega nie mógłby na chwilę wyjść i poczekać w sionce? Bo się wstydzę. Ja go zawołam, jak tylko skończymy. Starczy dla każdego z was.

- Wyłaź Franz - wydyszał Kurt i drugi żołnierz posłusznie wycofał się, zabierając ze sobą karabin. Honorine, z twarzą wykrzywioną uśmiechem, wprawiała swoje biodra w taneczny ruch. Mężczyzna wił się pod nią, pojękując z rozkoszy.

- *Gut... oh Gott, wie gut, mach weiter, weiter, weiter...* dalej, dalej, nie przestawaj!

-Nie przestanę - zapewniła go Honorine. Chwyciła oparty o piec rożen, na którym zazwyczaj piekła przepiórki, i w momencie, w którym z gardła Niemca wyrwał się krzyk rozkoszy, wbiła go w jego pierś. Krzyk zamienił się w krótki skowyt. Honorine błyskawicznie przykryła jego usta dłonią, ale nie wydobył się z nich już żaden dźwięk. Ciało Kurta wyprężyło się, jego nogi wierzgnęły dwa razy i znieruchomiały. Było po wszystkim.

Zaciskając z wysiłku zęby, przetoczyła zwłoki pod ławę i zarzuciła na nie worki po mące. Krwi na podłodze było niedużo, wytarła ją ręcznikiem. Chwiejnym krokiem podeszła do drzwi, otworzyła je, stanęła w rozkroku na progu i podniosła do góry spódnice. Czekający w sieni żołnierz odwrócił się i na widok śladów spermy Kurta na jej udach wciągnął głośno powietrze.

- Teraz ty - powiedziała. - Teraz kolej na ciebie.

Niemiec spuścił spodnie do kolan i wstrząsany dreszczem, popiskując jak mały szczeniak, usiłował wbić członek między nogi Honorine. Jego rozbiegane oczy wędrowały nerwowo po kuchni. Nagle znieruchomiał.

- Kurt? Gdzie jest Kurt? - wycharczał, ale ostrze różna już zagłębiło się w jego piersi.

- *Mutti...* - wyszeptał, osuwając się na podłogę. Honorine pomyślała ze smutkiem, że był nawet młodszy od Leona.

Nie miała jednak czasu i siły, żeby nad tym dłużej dumać. Nalała do miednicy ciepłej wody, przykucnęła nad nią i zaczęła się z zaciekłością myć, jakby mogła wypłukać z siebie nie tylko spernę, ale i koszmar ostatnich chwil.

Pan Blumenschein siedział skulony w ciemności, szlochając cichutko, zdrętwiały ze strachu. Był obrzezanym, ale niewierzącym Żydem i nawet nie znał Talmudu. Nie potrafił zmówić modlitwy, która przyniosłaby mu ukojenie w tych godzinach grozy. Zaczął więc powtarzać trzęsącymi się wargami słowa z ulubionego psalmu Honorine:

- Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną...  
Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną... Ty jesteś ze mną... Ty jesteś ze mną...

Wydawało mu się, że minęły wieki, zanim usłyszał nad swoją głową kroki Honorine. Klapa uchylila się i w smudze światła naftowej lampy zobaczył jej śmiertelnie bladą twarz.

- Może pan wyjść, panie Blumenschein. Już po wszystkim. Ale musimy się ich pozbyć.

Przez pół nocy wlekli ciała Niemców do ukrytego w głębi lasu bagna: najpierw Kurta, potem Franza, na końcu motocykl. Nad ranem spadł na szczęście ulewny deszcz i zatarł wszystkie ślady. Po tym, co kiedykolwiek pochłonęło bagno, ślad tak czy inaczej ginał. Kurt i Franz pozostali jednak na zawsze w pamięci Honorine i długo powracali w jej snach: dwaj chłopcy z włosami jasnymi jak pszenica, umierający ze słowem *Mutti* na ustach.

Po tym, co się stało, pan Blumenschein nie mógł u niej pozostać. Wiadomo było, że Niemcy przeprowadzą rewizję w chałupie, szukając zaginionych żołnierzy. Jeszcze tej samej nocy zaprowadziła go do chłopców z Résistance, żeby przerzucili go dalej na północ, na dzikie i poszarpane ujściami rzek wybrzeże Côte des Abers. Jego mieszkańcy od pokoleń żyli ze sprowadzania statków na manowce i rabowania wraków, Niemcy byli im niestraszni.

- Honorine, moja piękna Honorine, nawet gdybym żył wiecznie, nie zdołam ci się odwdziżyć za to, co dla mnie zrobiłaś. Jak mam ci dziękować?

- Niech pan przeżyje wojnę, panie Blumenschein - odparła, całując z czułością jego semickie oczy. - Żeby wszystko nie było na próżno.

Nigdy więcej go nie zobaczyła. Trzy miesiące później alianci wylądowali w Normandii i w ciągu jednego dnia Honorine straciła syna i została wdową. Jej bliscy nie pozostawili po sobie grobów, które mogłaby odwiedzać, nie odnaleziono nigdy ich ciał, tak jak nigdy nie zostaną odnalezione ciała Kurta i Franza. Oko za oko, ząb za ząb, dwa życia za dwa życia. Pan Bóg był sprawiedliwy i ukarał ją za jej grzech. A jednak bez wahania zrobiłaby to jeszcze raz.

Pan Blumenschein przeżył. Dotarł szczęśliwie do Haify, odnalazł rodzinę. Często proponował, żeby go odwiedziła, ale Honorine nie mogła sobie wyobrazić siebie w jakimś obcym, pustynnym kraju, którego mieszkańcy noszą pejsy i lisie czapy. Delikatny pan Blumenschein też tam właściwie nie pasował. Ciekawe, czy w ogóle ktoś tam potrafił mu upiec porządny *farz*, który tak bardzo lubił.

Nie zapominał o niej. Co roku przed Bożym Narodzeniem przysyłał jej skrzynie z pomarańczami, daktylami i czekoladą. Kiedyś obdarował ją najpiękniejszym kołnierzem ze srebrnego lisa, jaki kiedykolwiek w życiu widziała. Włożyła go do kufra i przesyłała lawendą - gdzie miała tu, w tym lesie, nosić kołnierz z lisa? - ale często wyjmowała go, kładła na kolanach i głaskała w zamyśleniu jedwabiste futerko, jakby było kotem.

W końcu paczki przestały przychodzić. Ze smutkiem pomyślała, że pewnie pan Blumenschein umarł, bo gdyby żył, musiałby dziś zbliżyć się do setki. Wolała jednak wyobrazić sobie, że żyje i często, z lisem na podołku, prowadziła z nim w myślach długie rozmowy. Wszystkie zaczynały się od: „Czy pamięta pan, panie Blumenschein...”

Pamiętał. Gdziekolwiek był, na pewno pamiętał.

Honorine rzuciła jeszcze raz okiem na idealnie napięte prześcieradła i przeciągnęła palcem po blacie komody, na której stały wyblakłe fotografie. Zdjęcia pana Blumenscheina wśród nich nie było. Nikomu poza świętą Anną nie opowiedziała, co ich łączyło i co tak naprawdę wydarzyło się wtedy, na przednówku czterdziestego czwartego roku. Nicolas nie żył, a dzieci... dzieci nie muszą o wszystkim wiedzieć. Wystarczyło, że ona sama wiedziała i że do tej pory nosi-

ła w sercu te inne, młodsze Honoriny. Tę osiemnastoletnią, która w stogu siana straciła dziewictwo z Nicolasem, i tę czterdziestopa-roletnią, która szukała pociechy w ramionach pana Blumenscheina.

Właściwie pan Blumenschein miał na imię Moryc.

Prababka Honorine uśmiechnęła się do swoich myśli i wyszła z pokoju.

Agnieszka, okropnie speszona, zamierzała Gerardowi wyjaśnić, że czuje się okropnie głupio, dzieląc z nim łóżko pod dachem jego rodziców. Do tego łóżko, w którym rodziły się i umierały pokolenia Leclerców. Musiała też jakoś dać mu do zrozumienia, że coś jest z nią nie w porządku, że cierpi na paskudną odmianę oziębłości seksualnej i choć niczego tak nie pragnie, jak poddać się fali namiętności, to przez swoje idiotyczne wychowanie nie ma już w sobie nic zdrowego i spontanicznego. Jak tylko Gérard jej dotknie, od razu się zorientuje, że jest zimna jak sople lodu. Zesztywnieje pod jego dłońmi, a wtedy - o Boże! - Gérard okropnie się rozczaruje i już nie będzie chciał, żeby była jego *fiancée* i nosiła na palcu pierścioneł z odpryskiem diamentu.

Czuła się upokorzona i nieszczęśliwa, zupełnie jakby podchodziła do egzaminu, z góry wiedząc, że go obleje. Chłopak taki jak on na pewno miał dziewczyn na pęczki, i to takich, które przestudiowały całą kamasutrę i potrafiły doprowadzić mężczyznę do orgazmu, wachlując go płatkami ucha.

Ona, Agnieszka, nie miała o niczym zielonego pojęcia.



Kiedy jednak otworzyła usta, żeby to wszystko Gerardowi wytłumaczyć, poczuła, że wsuwa się w nie szybko wesoły, ciekawski język i penetruje z zainteresowaniem ich wnętrze. Ręce Gerarda też nie pozostawały bezczynne, badały jej piersi, co najwyraźniej pozytywnie przyjęły sutki, które wyprężyły się zachęcająco. Język wycofał się na chwilę i Agnieszka nabrała tchu, żeby ostrożnie zapoznać Gerarda ze swoim problemem kobiety oziębłej. Okazało się jednak, że język, jak rozbawione zwierzątko, prowadzi dalsze poszukiwania, sprawdzając, co da się nowego odkryć w ciele Agnieszki, gdzie można się schować, co polaskotać albo polizać. W trakcie tych poszukiwań wędrował coraz niżej i niżej - i zanim Agnieszka zdążyła skonfrontować Gerarda z tematyką oziębłości seksualnej, poczuła, że unosi ją potężna fala. I już nie musiała niczego tłumaczyć.

TKLPR

W Warszawie mżył drobny jesienny kapuśniaczek. Zanim Agnieszka zdążyła zejść po schodkach z samolotu, przemoczona bluzka już zaczęła się kleić do jej wyłożonej francuskim słońcem skóry. Pod pachą przyciskała bukiet czerwonych róż i wielką lalkę w tradycyjnym bretońskim stroju, pożegnalny prezent od Gerarda. Miała wprawdzie wątpliwości, czy jest to prezent w dobrym guście, ale kiedy go jej wręczył, rozpląnęła się ze wzruszenia.

Zdawała sobie sprawę, że z zapuchniętymi oczami i nosem w kolorze dojrzałej poziomki wygląda okropnie i rodzice przerażą się na jej widok, ale niby jak miała wyglądać po przeplakany locie? Na samą myśl o czekającej ją rozłące z Gerardem zalewała się na nowo łzami, przy każdym jej ruchu sypały się na podłogę kabiny pogniecione papierowe chusteczki. Stewardesa, która na tej trasie często widywała młode kobiety umierające ze szczęścia albo z rozpacz, podała jej litościwie na tacy kieliszek koniaku i paczkę kleeneksów.

- No, no, uszy do góry, złotko - powiedziała macierzyńsko. - Jak kocha, to poczekaj, a jak nie kocha, to nie ma co po nim płakać.

Po tym koniaku żołądek Agnieszki podjechał przy lądowaniu do góry i tylko z trudem utrzymała jego zawartość pod kontrolą. Widząc, jak kurczowo ścisną w rękę papierową torebkę, macierzyńska stewardesa poradziła wesoło:

- Oddychaj głęboko, kochanie, i myśl o czymś całkowicie nieruchomym. Piramidach egipskich, na przykład.

Agnieszka wolała jednak myśleć o katedrze w Chartres, gdzie była z Gerardem. Kiedy jednak wyobraziła sobie kolorową rozetę transeptu, okazało się ku jej przerażeniu, że rozeta nagle zaczyna coraz szybciej i szybciej wirować. Zerwała się z fotela i pognęła do toalety, zdążyła dopaść drzwi w ostatniej chwili. Powoli zaczynało się budzić w niej podejrzenie, że jest nie tylko zrozpaczona, ale i pijana.

Stewardesa odprowadziła ją współczującym spojrzeniem. Przed laty sama była nieprzytomnie zakochana w Jean-Paulu, piekielnie atrakcyjnym Francuzie z Marsylii, wiedziała więc, jak to jest. Do tej pory nie była pewna, czy zapisał się w jej pamięci jako kochanek doskonały, czy jako żigolak. Chyba jednak jako żigolak.

Rodzice czekali na lotnisku. Stali obok siebie, ojciec, jak zwykle, milczący, z głową wciśniętą w ramiona, matka elegancka, w jednym ze swoich najlepszych kostiumów, szytym na miarę z kuponu materiału przysłanego z Kanady przez ciocię Lusię. Była starannie umalowana, ale nie wyglądała zbyt dobrze, wyraz zgorzknienia w kącikach ust i głębokie bruzdy koło nosa dodawały jej lat. Kiedy ojciec pochylił się, żeby zawiązać sznurowadło, Agnieszce ścisnęło się serce. Po raz pierwszy zauważyła, że stara się ukryć początki łysiny, zaczesując na bok pasma włosów. Oboje starannie unikali swoich spojrzeń i dotknięć, jakby każde z nich otoczone było niewidocznym polem wysokiego napięcia. Dopiero na widok Agnieszki wstąpiło w nich życie, wspięli się na palce i zaczęli do niej machać.

Nagle zrobiło się jej ich żal. Przecież to nie ich wina, że nie potrafią się kochać, że nie łączy ich taka czułość jak rodziców Gerarda. Pewnie też woleliby, żeby było inaczej. Właściwie mieli paskudne życie. Przez całych sześć lat wojny matka siedziała sama, a ojciec był w Anglii. Trudno dziś uwierzyć, że kiedyś latał na bombowcach. Potem przyszła nowa władza, gruzy i bieda. Rodzice latami próbowali mieć dziecko i wciąż im się nie udawało. Powinni byli wtedy się rozstać, ale musieliby przyznać się przed samymi sobą, że czekali tyle lat na próżno. Biedni. Naprawdę ich kochała, cóż mogli na to poradzić, że byli tacy, jacy byli? Nie podejrzewali nawet, że może istnieć coś tak wielkiego jak miłość, która łączyła ją z Gerardem.

Życie okropnie ich oszukało.

Przez pierwsze trzy dni Agnieszka ukrywała zaręczyny z Gerardem przed rodzicami, jakby zachowanie tajemnicy gwarantowało wyjątkowość tego zdarzenia. Ojciec pewnie tylko przyjrzałby się jej uważnie, co najwyżej powiedziałby: „No cóż, Agni-

siu, rób jak uważasz, przecież jesteś dorosła", ale matka zasypała ją pytaniami. Od lat w niej czekały, musiały więc być zadane. Pierścionek od Gerarda powiesiła na złotym łańcuszku i nosiła go ukryty na piersiach, schowany przed ciekawskimi spojrzeciami.

Trzeciego dnia posłaniec z kwiaciarni przyniósł sto dwadzieścia czerwonych róż.

- Zbieraliśmy dla pani te róże w pięciu kwiaciarniach - powiedział oskarżycielskim tonem, celując palcem w Agnieszkę. - Sto dwadzieścia róż, zamówionych w Paryżu, to nam się jeszcze nie zdarzyło. Za dobrze się tam ludziom powodzi, to im się w głowie przewraca. Też pomyśl!

- A mnie się tam podoba - powiedziała uszczęśliwiona Agnieszka, chowając twarz w kwiatach. A więc myślał, a więc kochał, a więc pamiętał - no bo skoro aż sto dwadzieścia...

Myśl, że za cenę pięciu róż w Paryżu można w Warszawie dostać ich sto dwadzieścia, po prostu nie przyszła jej do głowy.

- Kto to jest? - chciała wiedzieć matka, jak tylko napełniły kwiatami wszystkie wazon, dzbanki i karafki, jakie tylko były w domu.

- Człowiek, którego kocham i za którego wyjdę za mąż - odparła z emfazą Agnieszka, wyciągając z biustonosza pierścionek. - Zaręczyłam się z nim w Bretanii. Nazywa się Gérard.

- Serdeczne gratulacje, ale byłoby nam bardzo miło, gdybyś wspomniała o swoich planach, zanim się zaręczyłaś.

Zabrzmiało to gorzko.

Agnieszkę ogarnęło współczucie. Biedna, rozczarowana życiem, przedwcześnie postarzała mama. W jej życiu nie przytrafiła się żadna miłość - jak miała zrozumieć ogrom tego, co przeżywała w tej chwili jej córka? Zarzuciła ramiona na szyję matki i ucałowała ją.

- Och, mamuś, wszystko wydarzyło się tak nagle, że sama jeszcze nie mogę w to uwierzyć. Boję się, że to tylko sen i za chwilę się obudzę. To, co się ze mną dzieje, jest takie niezwykle. Z niczym nie da się porównać. Może jeszcze najbardziej z wio-

sennym porankiem, kiedy wszystko kwitnie jak oszalałe i ptaki chrypną od śpiewu. Gérard zmienił cały mój świat. Kiedy z nim jestem, wszystko staje się wyjątkowe.

- Wyjątkowe - powtórzyła matka, przyglądając się krytycznie pierścionkowi z odpryskiem diamentu. - Na pewno jest wyjątkowe, zaręczyć się z kimś, kogo znało się miesiąc. Bo przecież dłużej go nie znasz, prawda? Jeszcze miesiąc temu siedziałaś u państwa Arnaud i nic wyjątkowego tam się nie działo.

Co ty tam wiesz, pomyślała Agnieszka, ale głośno powiedziała ugodowym tonem:

- Zrozumiesz, jak tylko zobaczysz Gerarda. Przyjedzie do Polski na Boże Narodzenie. To już niedługo. Siedemdziesiąt dni, tysiąc sześćset osiemdziesiąt godzin. Jedną trzecią tych godzin na szczęście prześpię.

Następne tygodnie Agnieszka spędziła jak w transie, marząc, słuchając Beethovena, płacząc nad wierszami zmarłych i żyjących poetów, a przede wszystkim pisząc długie listy do Gerarda. Były to małe dzieła sztuki, przeplatane rysunkami, zdjęciami i jej bardzo marnymi tłumaczeniami polskiej poezji miłosnej. Od niego przychodziły kolorowe pocztówki: most w Avignonie, katedra w Tours, arena w Arles, port w Honfleur. Gerard nie miał czasu na pisanie poematów, jeździł po kraju i montował te swoje dźwigi, musiał pracować. Agnieszka doskonale to rozumiała.

- Mechanik? - zapytała zaskoczona matka. - Jak to: mechanik? Taki w kombinezonie, z brudnymi paznokciami i kluczem francuskim?

- Jak mnie zaprosił do Maxima, to miał na sobie smoking, a nie kombinezon - odpowiedziała rozwścieczona Agnieszka. Smoking był pożyczony od jakiegoś znajomego, ale nie uważała za stosowne o tym wspominać. Ona sama wyglądała bajecznie, bo kupiła sobie na tę okazję pierwszą w życiu długą wieczorową suknię. Nie miała też zamiaru opowiedzieć matce, że mimo tej elegancji zostali w Maximie potraktowani trochę per noga. Trudno powiedzieć, na czym to polegało, ale wydawało jej się, że kelnerzy pochylali nad ich talerzami swoje nieskazitelnie równe przedziałki z lekko wzdgardliwą nonszalancją. Przy otwieraniu butelki piekielnie drogiego Chateau Saint-

Emilion demonstrowali pewną ospałość w ruchach, a ich wzrok wędrował wciąż gdzieś na ukos powyżej jej lewego ucha. Najprawdopodobniej byli obdarzeni wyjątkowo czułym węchem i bezbłędnie odróżniali pieniądze z trudem zarobione od pieniędzy łatwych i oczywistych. W każdym razie, kiedy zginali się nad innymi stolikami, ich ciała były pełne gotowości i naprężone jak u chartów myśliwskich.

Widocznie Gerard też to zauważył, bo jego przystojna twarz nagle poczerwieniała ze złości.

-Ten afektowany żigolak najwyraźniej kpi sobie ze mnie! -warknął, pokazując ruchem głowy *maître d'hotel*, który tanecznym krokiem okrążał ich sąsiadów. - Moje pieniądze są równie dobre, jak każde inne, zaraz dam mu w zęby, żeby sobie o tym przypomniał.

Agnieszka uspokajająco położyła mu rękę na ramieniu.

- Daj spokój, kochany, przecież jest cudownie. Jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa.

- Jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa - powtórzyła, podając matce zrobione w Maximie zdjęcie w czerwonym *passe-partout*, na którym ona sama wyglądała trochę jak przestraszony królik, ale Gerard śmiało uśmiechał się do obiektywu.

- Rzeczywiście, bardzo przystojny chłopak - przyznała matka.

- Ach, mamuś, przecież nie o to chodzi! Jest po prostu cudowny. Kocham go i wiem, że to jest właśnie ta miłość, na którą zawsze czekałam. Ta, o której napisano tyle wierszy. Spotyka się ją tylko raz w życiu - albo wcale. Jak poznasz Gerarda, też będziesz nim oczarowana i wszystko zrozumiesz.

Matka w milczeniu przyglądała się mężczyźnie na fotografii. Wcale nie była pewna, czy będzie oczarowana francuskim mechanikiem, który podarował jej córce odprysk diamentu. W smokingu wyglądał jak kelner. Czy Agnieszka umówiłaby się na kolację z polskim mechanikiem? Pewnie tak, zawsze miała gminne upodobania. W wieku trzynastu lat była śmiertelnie zakochana w Lesiu, kierowcy sanitarki, prostym chłopaku z Kobyłki. Stawiała mu na Starym Mieście lody. Albo ten wsiowy Dzidek,

poznany na praktykach w Górach Świętokrzyskich. Miał kupę mięśni, potrafił machać kosą i to już było wszystko. Przyjechał za nią do Warszawy w garniturze z matyry, ręce wystawały mu z rękawów prawie do łokci, czerwone, spracowane ręce robotnika. Był jeszcze Zygmus z Pragi, chodziła z nim do podstawówki, pomagała mu pisać wypracowania, a on nauczył ją za to grać w pokera. Miał ojca pijaka i matkę, która na Bazarze Różyckiego handlowała szydełkowymi kapturkami na jajka. Te kapturki były w kształcie kogutków.

W domu Zygmunia bieda aż piszczała. Był wiecznie głodny i Agnieszka zabierała dla niego śniadanie do szkoły. Często wybierała się z nim na potańcówki, bo świetnie tańczył, a przede wszystkim był bardzo wysoki, już w siódmej klasie miał metr dziewięćdziesiąt. Agnieszka, sama wysoka, bardzo to sobie ceniła: większość chłopców sięgała jej zaledwie do ramienia. Któregoś dnia matka Agnieszki kupiła Zygmunsiowi porządne ubranie, żeby się na tych tańcach jakoś po ludzku prezentował. Ogromnie się wzruszył, przyniósł jej wiecheć ukradzionych w parku kwiatów, buchnął w mankiet i z wielką powagą powiedział:

- Pani doktor, ja pani tego nigdy nie zapomnę.

I rzeczywiście nie zapomniął. Po latach grzecznie się jej kłaniał, kiedy wystawał z kumplami pod barem „Bazarek”. Miał wymanikiurowane palce, pachniał dobrą wodą kolońską, nosił włosy przycięte a la John Lennon, ciuchy z Peweksu i nóż sprężynowy za cholewką buta. Kłaniając się, zawsze wyjmował ręce z kieszeni. Był na Bazarze Różyckiego królem czarnego rynku, żył z paskarstwa, handlu walutą i fałszowania dokumentów. Potrafił załatwić absolutnie wszystko, od jednorazowej strzykawki po ruski czołg.

- Bardzo pożyteczna znajomość - zauważył kiedyś ojciec Agnieszki zza gazety. - Szczególnie w dzisiejszych czasach. Czy zdajesz sobie sprawę, że ten utalentowany młody człowiek dysponuje możliwościami, o których ordynator tylko śnić może? W Ameryce byłby już dawno dyrektorem jakiejś korporacji.

- A tu nie pożyje długo. To żadne towarzystwo dla Agnieszki, wolałabym, żeby się z nim nie widywała.

Ale i matka czerpała korzyści ze znajomości z Zygmutem. Organizował dla niej lekarstwa dla ciężko chorych pacjentek, niedostępne zachodnie publikacje naukowe, części do samochodu, banany i kawę. Podarowane mu przed laty ubranie okazało się najlepszą inwestycją, jakiej kiedykolwiek w życiu dokonała.

Co nie znaczy, że uważała go za odpowiedniego partnera dla Agnieszki.

Czy takim okaże się ten przystojny Francuz, wcale nie była pewna. Nawet jeżeli otwierał przed jej dzieckiem drzwi do cywilizowanego świata, w którym można było kupić bez problemów antybiotyki, papier toaletowy i podpaski.

- Jesteś za młoda, żeby się wiązać, Agnieszko. Nie skończyłaś jeszcze studiów, no i nie wiem, co mogłabyś po romanistyce robić akurat we Francji - zaczęła ostrożnie. Ku jej zdumieniu mąż nieoczekiwanie przerwał jej w pół słowa.

- Przepraszam cię bardzo, Alisiu, ale skoro się kochają, to chyba tylko ich sprawa?

Matka Agnieszki, która nie znosiła, kiedy nazywał ją „Alisią”, rzuciła mu złe spojrzenie, ale Agnieszka już wisiała na jego szyi. Powiedziała więc tylko:

- Jest naszym jedynym dzieckiem i chciałabym tylko, żeby sobie mądrze wybrała partnera i była z nim szczęśliwa.

Jej córka pomyślała sobie, że trudno o bardziej patetyczną wypowiedź, szczególnie w ustach kogoś, kto sam nie potrafił dobrze wybrać i pojęcia nie miał ani o szczęściu, ani o miłości. Oczywiście, że będzie z Gerardem szczęśliwa - jak tylko wydostanie się z tego smutnego domu, w którym dwoje ludzi od lat żyje w milczeniu obok siebie.

- W takim razie przyniosę szampana i wypijemy za ich zdrowie - oświadczył ojciec, wstając z fotela. Matka też się podniosła i zaczęła szperać w szufladzie kredensu.

- A ja chcę ci na nową drogę życia coś podarować, Aguniu. Pierścionek zaręczynowy twojej prababki, zawsze był dla ciebie przeznaczony. Noś go i niech los się do ciebie uśmiecha.



Pierścionek prababki, duży szafir, otoczony mniejszymi diamencikami, był od niepamiętnych czasów obiektem westchnień Agnieszki. Matka nosiła go tylko przy szczególnych okazjach, takich jak Bal Lekarza albo zjazd koleżeński. Wsuwając go na palec, mówiła za każdym razem:

- Piękna stara robota. Dziś nikt już nie potrafi robić takich rzeczy. Żyjemy w czasach tryumfu brzydoty.

Na ręce Agnieszki pierścionek roziskrzył się jak gwiazdy w mroźną noc. Poczowała jego ciężar na palcu i sprawiło jej to przyjemność: jeszcze nigdy nie posiadała czegoś tak kosztownego. Ale diamentowy okruch od Gerarda wyglądał przy nim żałośnie, więc go ukradkiem zdjęła i wsunęła do kieszeni. Przy całej swojej radości ze wspaniałego prezentu nie mogła się pozbyć wrażenia, że właśnie o to matce chodziło.

Parę dni później matka zauważyła mimochodem:

- Na twoim miejscu mówiłabym, że jest to pierścionek zaręczynowy, ale nie wnikałabym w szczegóły - a Agnieszka skinęła tylko głową. Kiedy przyjaciółki podziwiałały pyszny szafir i zachwycaly się szczodrością Gerarda, uśmiechała się w milczeniu.

Z czasem sama w to uwierzyła.

Czternaście dni pobytu Gerarda w Polsce Agnieszka zaplanowała jak wizytę męża stanu obcego mocarstwa. Bal sylwestrowy w Europejskim, „Straszny Dwór” w Teatrze Wielkim, bliny z kawiozem w wilanowskiej Kuźni, romantyczny weekend w Kazimierzu, kulig w Kampinosie. Zrobiła krytyczny przegląd znajomych, starannie wybierając garstkę tych, których z czystym sumieniem można mu było pokazać. Wśród zakwalifikowanych znalazła się Beata, najlepsza przyjaciółka, życzliwa i pozbawiona cienia zawiści, a przy tym na tyle nieatrakcyjna, że nie stanowiła żadnej konkurencji. Ewa, koleżanka ze studiów, była bardzo ładna, ale kompletnie tego nieświadoma. Chodziła zgarbiona, z rękami splecionymi obronnie na piersiach, żeby ukryć przepyszny biust, i mówiła wyłącznie o literaturze współczesnej, czym skutecznie udawało jej się odstraszać chłopaków. Całkowicie niegroźna, za to z dobrą znajomością francuskiego. Płynnie po francusku mówiła też Aśka, jej poprzedniczka u państwa Arnaud, lojalna w stosunku do Agnieszki jak owczarek alzacki. Pożytecznie byłoby też przedstawić Gerardowi Krzyśka, od lat beznadziejnie w niej zakochanego i zupełnie zadowolonego z roli błędnego rycerza. O każdej porze dnia i nocy był gotów do przytargania lodówki na piętro, przepchania zatkanego klozetu i zawiezienia puszczonego wiatry psa do lekarza. Po prostu skarb, ale równie mało podniecający, co długie bawełniane gacie. Nieważne, cielecy zachwyty, który wciąż okazywał Agnieszce, dobrze Gerardowi zrobi.

Koniecznym też będzie zaprosić Pawła, grał na gitarze i znał cały repertuar ogniskowy, od „Sokołów” po „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”. Obozowa romantyka,

Polacy, tajemniczy naród, śpiewający o bezkresnych stepach i malowanych chłopcach umierających na polu chwały. To się wszystkim obcokrajowcom podoba.

Na bal sylwestrowy wybrała tylko dwie pary do towarzystwa, bo innych nie było na to stać. Ola, córka kamieniarza z Powązek, takich problemów nie miała, była w stanie zapłacić i za siebie, i za swojego Tadzia. Oboje trochę dukali po francusku. Przemek wyjeżdżał co roku na winobranie do Nadrenii-Palatynatu, pracował tam jak wyrobnik, ale dzięki łaskawemu kursowi marki zarabiał sobie przez sezon na rok studiów i piękną Zuzię z ptasim mózdzkiem. Czy Zuzia z ptasim mózdzkiem znała jakikolwiek język obcy, nie było wiadomo, bo otwierała śliczne usteczka wyłącznie po to, żeby je pociągnąć szminką.

Wszystkimi językami świata mówił, oczywiście, Artur, ale Artura Agnieszka w żadnym wypadku nie mogła zaprosić. Artur stanowił problem.

Z punktu widzenia Agnieszki nic go nie upoważniało do tego, żeby stanowił problem. Nawet nie wiedziała, czy to, co ich łączyło w szkole średniej, można było nazwać „chodzeniem ze sobą”. Owszem, chodzili: do kina, do teatru, na imprezy, które wtedy nazywały się jeszcze prywatkami, ale bardziej razem niż ze sobą. Mieli podobne zainteresowania, podobały im się te same książki i filmy, lubili się całować w parkach i bramach - byli po prostu dobrymi kumplami. Często kłócili się zawzięcie, chociaż następnego dnia już nie wiedzieli, z jakiego powodu. Takie wymiany zdań przebiegały bardzo burzliwie, nierzadko Agnieszka dawała Arturowi po pysku, a on jej natychmiast oddawał, co doprowadzało do zerwania wszelkich stosunków dyplomatycznych na dłuższy czas. Przysięgała sobie, że już nigdy się z nim nie umówi, ale kiedy w końcu znowu dzwonił i mówił niedbale: „Mam dwa bilety na Niemena”, kamień spadał jej z serca. W okresach, kiedy się nienawidzili, nudziła się jak mops.

Artura wylano z uniwerku w momencie, kiedy ich znajomość znajdowała się akurat w zupełnie harmonijnej fazie. Spacerowali po Łazienkach i recytowali wiersze Grochowiaka, trzymając się za ręce. Tańczyli też w „Stodole” do upadłego i całowali

się do utraty tchu. Ale wszystko od połowy ud Agnieszki wzwyż było dla Artura tabu — ku jego wściekłości.

- Zdecyduj się, albo jesteś żelazną dziewicą i hodujesz tam pajęczyny, albo kochajmy się jak wszyscy normalni, zdrowi ludzie. Nie możesz tarzać się ze mną po łóżku i jednocześnie zaciskać kolana, jakbym cię gwałcił.

Oczywiście, że mogła. Rozjuszona zapinała biustonosz i wychodziła, sycząc:

- Niech ci się nie wydaje, że ustąpię tylko dlatego, że na mnie wrzeszczysz.

- Co to znaczy: „ustąpię”? Ty też byś coś z tego miała, no nie? Kompletny cham. Za grosz nie miał taktu.

Innym powodem do kłótni była polityka. Artur działał w jakimś tajemniczym podziemiu, spiskował, powielał gazetki i kolportował ulotki. Nocami rozklejał na murach uczelni plakaty i wypisywał hasła w rodzaju „Nie przejmuj się - przejmuj władzę”. Utrzymywał kontakty z KOR-em, znał osobiście Michnika i Barańczaka, dzieciom robotników z Ursusa, aresztowanych za udział w strajkach, dawał darmowe korepetycje. Na wykładach z filozofii marksistowskiej potrafił wstać i zapytać ni z gruszki, ni z pietruszki:

- A kiedy dowiemy się prawdy o Katyniu?

Miał predyspozycje do zostania męczennikiem za Sprawę i robił wszystko w tym kierunku. W obecności najgorliwszych członków uczelnianej jacejki partyjnej podśpiewywał:

*Nie ma mięska, nie ma serka,*

*Jak tu lubić wujka Gierka.*

*Gdy zabierze i pasztecik,*

*Podpalimy komitecik!*

Jasne jest to, że w tych układach wcześniej czy później wyląduje w kiciu.

Agnieszka obserwowała polityczną działalność Artura z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony czyniła go ona w jej oczach bardziej interesującym - młody Trocki, bohater konspiracyi, wychodzący nocą na akcję w czarnym golfie, z teczką pełną bibuły. Z drugiej strony, agitator to agitator, wszystko jedno, w którą stronę ciągnie, a ona już naprawdę nie miała chęci słuchać politycznego bełkotu. Ani tego oficjalnego, ani tego konspiracyjnego.

Zdecydowanie odmówiła wszelkiego udziału w pracy podziemia - gdziekolwiek to Arturowe podziemie miałyby być. Nie odpowiadała jej rola spiskowca, nie nadawała się na łączniczkę z ulotkami w biustonoszu i bandażami w torbie. Polityka śmiertelnie ją nużyła. Uważała się za estetkę, a w polityce nie było nic estetycznego. Albo brudy, albo nudy.

- Och, Artur, daj sobie z tym spokój - mówiła. - Wpadniesz i wyleją cię ze studiów, i tak się ta cała twoja konspiracja skończy.

Artur był rozczarowany - w najmniejszym stopniu nie spełniała pokładanych w niej nadziei. Zaczął ją traktować z odrobiną pobłażliwości, jak dziecko, które miło wygląda, ale nie da się z nim poważnie porozmawiać. Początkowo próbował jej cierpliwie opisywać sytuację w kraju, ale była uparta jak muł i wcale nie chciała słuchać.

- Przesadzasz. Jaki tam brak wolności? Oboje dostaliśmy się na studia, bez punktów za pochodzenie i nie należąc do ZMS-u. Moi rodzice nie należą do partii, a są na dobrych stanowiskach, mama nawet na kierowniczym. No to gdzie te prześladowania? Owszem, ludziom ciężko się żyje, ale przecież jakoś sobie dają radę.

Artur, choleryk z natury, wpadał w szał. Agnieszka szła przez świat z zamkniętymi oczami. Nawet nie zauważała, jak bardzo jest dzięki pozycji matki uprzywilejowana: cztery pokoje, wakacje za granicą, nowy peugeot, kobieta do sprzątnięcia - kto tak w tym kraju ma? Końca z końcem nie można związać, wszystkiego brakuje, od lekarstw po szynkę. Jego własna rodzina gnieździła się w pięć osób w trzech pokojach, on sam dostanie własne mieszkanie, jak dobrze pójdzie, za trzydzieści lat. Szczytem jego marzeń są wakacje w czeskich Tatrach i na te też musi sobie korepetycjami zarobić, ale to nie bieda jest najgorsza, tylko ten cały teatr absurdu odstawiany przez

towarzyszy, to zamulanie mózgów społeczeństwa, które tak już zgłupiało, że nawet tego nie dostrzega. Jak może Agnieszka, pijane dziecko we mgle, tego wszystkiego nie widzieć?

Artura relegowano ze studiów i natychmiast dostał wezwanie do wojska. Wysłano go na sam koniec Polski, w środek Bieszczad. Przez cały rok nie wolno go było odwiedzać, nie wychodził na przepustkę, listy cenzurowano. Po trzech latach udało mu się zaczepić na KUL-u, jedynej uczelni, która chciała go przyjąć. Na temat pobytu w wojsku milczał jak grób. Agnieszka wywnioskowała z tego, że było to straszne. Kiedy ją teraz całował, z jakąś dziwną rezygnacją i smutkiem, miała wrażenie, że jego myśli błądzą gdzieś daleko. Było jej go bardzo żal i czuła się winna, bo przez te trzy lata niewiele mu pomogła. Szczerze mówiąc, nawet nie odczuła jego braku. Kierowana skruchą i współczuciem posunęła się któregoś dnia dalej niż zazwyczaj i zaczęła delikatnie pieścić jego członek, ale Artur odsunął łagodnie jej rękę i powiedział z rozpaczą:

- Agnieszko, oni mnie zgwałcili pod przysnkiem. Było ich pięciu, jeden po drugim. Nie miałem najmniejszej szansy. Ja... nie potrafię o tym zapomnieć.

Ramiona mu zadrżały i rozplakał się, kryjąc twarz na piersiach Agnieszki. Zdrętwiała z przerażenia, bo to już nie był ten sam Artur, który się z nią kłócił, wypisywał na murach wywrotowe hasła i chciał zmieniać świat. Coś w nim pękło, coś się wypaliło.

Włosy Artura kiepsko odrastały i coraz mniej przypominał młodego Trockiego, a coraz bardziej urzędnika z banku. Ku przerażeniu Agnieszki zaczął mówić o małżeństwie. Był jak lew, któremu wyrwano wszystkie zęby, a ona nie potrafiła kochać kogoś, kto budził w niej współczucie. Coraz częściej przyłapywała się na myśli, że najchętniej by się go pozbyła. Zawiodła go i zamierzała go ponownie zawieść. Brakowało jej tylko odwagi.

Ponieważ jednak nie potrafiła się go pozbyć, coraz częściej rozmyślała nad zamążpójściem. Może uzdrowiłoby ich wzajemne stosunki? W końcu wszystkie dziewczyny chciały wyjść za mąż. Małżeństwo pozwoliłoby jej w elegancki sposób opuścić pokój dziecinny i uwolnić się od rodziców. Nauczyłaby się gotować, zaskakiwałaby Artura potrawką z kurczaka albo kaczką nadziewaną jabłkami, może nawet zaryzykowałaby jakieś wypieki? Dzięki jej troskliwym staraniom przytyłby, odzyskał energię i dawny blask w oczach. Już by nie sztywniała, czując jak jego ręka wsuwa się między uda, bo seks w małżeństwie jest nie tylko dozwolony, ale wręcz obowiązkowy. Kochaliby się na podłodze przy blasku świec i pod prysznicem, szczególnie pod prysznicem, w obłokach różowej pianki, żeby przezwyciężyć traumę Artura. Mogłaby sobie zażyczyć butlę takiej pianki z Peweksu w prezencie ślubnym.

Wszystko to było mało zachęcające.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Agnieszko?

Ze wstydem uświadomiła sobie, że zastanawiając się nad swoim przyszłym życiem u boku Artura, zupełnie zapomniała o jego obecności.

- Przepraszam cię, zamyśliłam się. O czym mówiłeś?

- O czeskich Tatrach. Pytałem cię, czy pojedziesz ze mną w czeskie Tatry.

Agnieszka jęknęła w duchu. Czeskie Tatry! Czeskie czy polskie, chodzenie od schroniska do schroniska w butach na grubej podeszwie absolutnie jej nie pociągało. W schroniskach do jedzenia była tylko fasolka po bretońsku, w zbiorowych salach śmierdziało niedomytymi ciałami, a o trzeciej rano budzili człowieka alpiniści, hałaśliwie szukający swoich czekanów i haków. Stanowczo był to jeszcze jeden argument przeciwko zawarciu małżeństwa z Arturem.

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę. Aśka załatwiła mi od czerwca robotę-marzenie w Paryżu, właśnie chciałam ci to powiedzieć. Doskonałe warunki, no i językowo dla mnie ogromna korzyść. Może uda mi się odłożyć na samochód?

- Nie wrócisz - burknął ponuro Artur. - Zostaniesz we Francji. Zawsze chciałaś tam zostać.

- Ależ skądże! - oburzyła się Agnieszka. - Wprost przeciwnie, myślę o nas, o naszej przyszłości.

We Francji ani razu nie pomyślała o wspólnej przyszłości z Arturem, ale bardzo dokładnie zaplanowała tę z Gerardem. Oszczędności wydała na długą suknię, w której poszła z nim na kolację do Maxima, kolekcję frywolnej bielizny, nieprzyzwoite koszulki nocne i botki do pół uda. Inwestycje, które miały ją uczynić w oczach Gerarda powabną i kuszącą. Ani jednej z tych szmatek biedny Artur nie zobaczy.

Jakoś będzie musiała mu to wyjaśnić. Na samą myśl o rozmowie z Arturem jeżyły jej się włosy na karku. Nie należał do tych, którzy wycofują się z godnością. Z drugiej strony, nic ich przecież nie łączyło - trochę rozmów, trochę wspomnień, to i owo w łóżku. Takie małe co nieco. Artur to na pewno zrozumie.

Nie chciał zrozumieć. Wymierzył Agnieszce siarczysty policzek, rzucił jej w twarz pogardliwe: Dziwka!, trzasnął drzwiami i wyszedł.

Przynajmniej na mnie nie napluł, pomyślała Agnieszka filozoficznie, rozcierając skórę. Chwała Bogu, mam to już za sobą.

- Nie był wart twojej miłości - powiedziała matka, mistrzyni patosu. - Z inteligentnej rodziny, a taki cham, kto to widział rękę na kobietę podnosić! Dobrze, że się go pozbyłaś. Wciąż czekałam, że wysadzi coś w powietrze, pomnik Dzierżyńskiego albo Dom Partii. Miał w sobie coś fanatycznego. Zresztą z tą kryminalną przeszłością nie miał żadnych szans na jakąkolwiek karierę zawodową.

- Artur nie miał kryminalnej przeszłości, tylko go relegowano ze studiów za poglądy polityczne - zaproponowała Agnieszka.

- Nawet jeżeli nie miał kryminalnej przeszłości, to ma gwarantowaną kryminalną przyszłość. Brutal!

Jak na kobietę o okazałym dorobku naukowym, matka Agnieszki wykazywała czasami zaskakującą skłonność do banałów i romantycznej egzaltacji. W ogóle była



mistrzynią paradoksów. Zastanawiając się kiedyś nad jej wypowiedziami na temat płci odmiernej, Agnieszka doszła do wniosku, że z punktu widzenia matki mężczyzną idealnym mógłby być tylko prostolinijny rybak po habilitacji albo fizyk atomowy dojeżdżający do swojego reaktora na karym koniu. Z różą w zębach. Artur do tego obrazu zupełnie nie pasował, ale Gerard, spadkobierca legendy o Świętym Graalu, na pewno jej się spodoba.

Ale czy ona spodoba się jemu?

Im bliżej było do przyjazdu Gerarda, tym bardziej rósł niepokój Agnieszki. Bardzo krytycznie rozglądała się dookoła i stwierdzała, że wszystko, co ją otacza, jest nie do przyjęcia: rodzice, mieszkanie, klatka schodowa, dzielnica. Nie do przyjęcia była też i ona sama. Spędzała godziny przed toaletką z trzyczęściowym lustrem, przeprowadzając surową analizę swojego wyglądu. Wypadała druzgo-cząco: była za duża, za gruba, zbyt zdrowa i zbyt hoża. Baba jak rzepa, jak przaśny chleb. Do tego ten wsiowy warkocz, gruby jak przedramię! Najchętniej by go ścięła i czesała się gładko na uszy, na chłopczycę, jak w latach dwudziestych, ale akurat ten warkocz zauroczył Gerarda. Owijał go sobie wokół przegubu i delikatnie pociągał jej głowę do tyłu, kiedy chciał ją pocałować. Warkocz musiał zostać. Ale te szerokie biodra, za duże piersi, zadarty nos? Będzie się codziennie zaciekle gimnastykować, nożyce, rowerek, brzuski, aż do utraty tchu - ale jaka gimnastyka zmieni jej nos?

Nachylała pod kątem boczne skrzydła toaletki jak w czasach dzieciństwa i w głębi lustra pojawiały się przed nią niekończące się rzędy Agnieszek, ustawionych wzdłuż prowadzących donikąd korytarzy. Kiedy była mała, bardzo ubolewała nad brakiem rodzeństwa i wyczarowywała ten tłum do złudzenia do niej podobnych małych dziewczynek w nadziei, że któregoś dnia opuszczą wnętrze toaletki i będą się z nią bawiły. Wierzyła, że są zaczarowane i wystarczy jedynie znaleźć odpowiednie zaklęcie, by znalazły się po drugiej stronie lustra. Wypróbowała każdą czarodziejską metodę opisaną w bajkach, ale nie udało jej się sprowadzić ani jednej. Dziewczynki pozostały w toalecie i dorastały razem z nią, a teraz dorosły i każda z nich była za

gruba, za prząsna i miała szyję owiniętą grubym jak pyton warkoczem, niczym pogromczynie węży w podrzędnym cyrku.

Trudno. Pojedzie na Chmielną i kupi długi do kostek luźny, czarny płaszcz à la Anna Karenina, futrzany toczek i mufkę. Francuzi mają fioła na punkcie wszystkiego, co rosyjskie. W Paryżu Gérard zaprosił ją do restauracji, która nazywała się - a jakże by inaczej! -, „Trojka”. Kelnerzy chodzili tam w czerwonych rubaszkach wyszywanych złotą nitką, orkiestra grała na bałajkach, pokrzykując „Hej! Hej!”, a ściany wybite były białym futrem. Będzie za dnia chodziła w płaszczu, żeby zatuszować biodra, a nocą włoży tę cudownie bezwstydną bieliznę, którą przywiozła sobie z Francji.

Gdybyż tylko rodzice zechcieli coś ze sobą zrobić! Byli wręcz kompromitujący. Wstyd powiedzieć, ale ojciec najchętniej chodził po domu w wyświechtanej bonżurce i gaciach z białej, prążkowanej bawełny. Do tego rozkładane kaptcie bez pięt, czysty horror. Matka wyciągała się po powrocie z kliniki na kanapie w starej nocnej koszuli, często z oberwanym obrąbkiem. Podkładała sobie pod nogi jasek, stawiała na taborecie talerzyk z pokrojonymi na małe kwadraciki kanapkami i wsuwała je do ust, nie odwracając głowy od telewizora.

- A bardzo proszę, jeżeli chcesz, możesz co wieczór siadać do kolacji w długiej sukni, ale ja mam za sobą cały dzień w szpitalu i jestem śmiertelnie zmęczona - mówiła.

Nic dziwnego, że w małżeństwie jej rodziców nie tliła się żadna iskra erotyki.

Nieźle się namęczy, zanim uda jej się namówić matkę, żeby kupiła sobie jakąś ładną sukienkę, ufarbowała odrosty i zrobiła mani-kiur. O ojcu wołała nawet nie myśleć. Uważałaby już za wielki sukces, gdyby nie zabierał ze sobą do toalety „Przekroju” i nie płukał głośno gardła w łazience. Na miłość boską, przecież chociaż przez tych czternaście dni mogliby się trochę zmobilizować!

- Czy ty się nas wstydzisz, moje dziecko? - chciała wiedzieć matka.

- Nie o to chodzi, ale chciałabym, żebyście zrobili na Gerardzie jak najlepsze wrażenie.

„Nie o to chodzi" brzmiało jednak znacznie bardziej elegancko niż „No chyba!".

- Za moich czasów młody człowiek musiał się starać zrobić dobre wrażenie na rodzicach dziewczyny, a nie odwrotnie - zauważył ojciec, ukryty za „Expressem Wieczornym". Spod „Expressu" wystawały tylko nogi, które moczył w misce z gorącą wodą. Zupełnie jakby był wiejskim listonoszem, a nie nauczycielem.

- No właśnie - wyjątkowo zgodziła się z nim żona. - Twoja matka jest lekarką, ojciec pedagogiem, wydaje mi się, że wcale tak źle z nami nie trafiłaś. Pomyśl sobie, że mogłabym mieć stragan z nabiałem na Bazarze Różyckiego, a ojciec byłby dozorcą. Także i z tym musiałby się twój Gérard pogodzić.

- Nie o to chodzi - powtórzyła znowu z rozpaczą Agnieszka. - Chodzi o to, że jesteśmy tacy przeciętni, tacy nijacy. Nigdy nie dzieje się u nas nic ciekawego.

- A co miałyby się dziać? - zainteresowała się matka. - Moim zdaniem w klinice dzieje się aż za dużo. Pacjenci mi umierają, na przykład. Przez cały dzień karetki przywożą mi ludzi z ością w gardle, nożem w plecach, widłami w brzuchu.

-Ale to przecież nie może być wszystko: praca i telewizor. Chciałabym żyć inaczej, intensywniej, ciekawiej. Żeby każdy dzień był jak kieliszek mocnego wina.

Ojciec wyjrzał nieśmiało zza „Expressu".

-Czy ty wiesz, Agnisiu, że w wielu kulturach powiedzenie: „Obyś żył w ciekawych czasach" uważane jest raczej za klątwę?

W przyszłości Agnieszce miało nie zabraknąć okazji, żeby mogła porozmyślać nad tym aspektem. Wtedy jednak wyobrażała sobie swoje życie jako pasmo radosnych przygód i niespodzianek, „Wichrowe wzgórza" skrzyżowane z „Przeminęło z wiatrem" i nie mogła się doczekać na swego ukochanego mężczyznę, który nigdy, ale to nigdy, nie będzie snuł się po domu w gatkach i kapciach.

- No więc dobrze - powiedziała z rezygnacją. - Czy mogłabym w takim razie chociaż poprzestawiać meble?

Okazało się, że nawet to nie jest proste. Matka walczyła jak lwica o każdy grat ze Swarzędza i kategorycznie nie zgadzała się na pomalowanie stołowego na kolor liści

agawy, chociaż Agnieszka tłumaczyła jej z anielską cierpliwością, że całe mieszkanie państwa Arnaud utrzymane było w tej właśnie tonacji i wyglądało szalenie elegancko.

- Bardzo możliwe - odpowiadała - ale państwo Arnaud mieszkali w paryskiej szesnastce, a tu jest Praga i to nawet nie czeska. Tam były amfilady, dwuskrzydłowe drzwi, sztukaterie i konsole, a tu mamy pokoje jak pudełka od butów. Jak je w dodatku pomalujesz na zielono, to będę się czuła w najlepszym wypadku jak topielica na dnie basenu.

Skończyło się na tym, że Agnieszka przemeblowała jedynie swój pokój. Wyrzuciła tapczan i położyła materac na podłodze, żeby choć trochę przypominał futon, przykryła go gobelinem z Desy i uszyła nowe zasłony z surowego lnu. Wnękę po zamurowanych drzwiach wybiła zielonym aksamitem i powiesiła w niej oprawione w stare ramki zdjęcia przodków, srebrny ryngraf po pradziadku i sznur sztucznych pereł prababki. W połączeniu z rozstawionymi na parapetach lichtarzami wyglądało to bardzo stylowo. Pokrytą zaciekami łazienkę całkowicie odmieniły ufarbowane na różowo i rozpięte nad i wanną prześcieradła, pęk cepeliowskich kwiatów, zatkniętych za zardzewiały rezerwuar i udrapowany wokół lustra tiul, owinięty sznurem lampek na choinkę. Rodzice byli pod wrażeniem i obiecali dostosować się estetycznie do nowego wystroju pomieszczeń.

Niestety, wciąż jeszcze raziło otoczenie domu, klejące się od brudu podwórko i zasikana klatka schodowa. Teoretycznie utrzymywał je w porządku dozorca, praktycznie mieszkańcy nawet nie znali jego nazwiska, bo zbyt często następowały zmiany na tym stanowisku. Każdy kolejny cieć, natychmiast po wprowadzeniu się do służbowego mieszkania, rzucał z miejsca miotłę i oddawał się temu, co sprawiało mu więcej satysfakcji, czyli piciu. Trzeźwiał wyłącznie na krótko przed Bożym Narodzeniem, żeby obejść wszystkie mieszkania i wyciągając łapę po pieniądze, złożyć lokatorom świąteczne życzenia.

Aktualnie stróżówkę zamieszkiwała kobieta, pani Banasiowa, nieszczęsna istota, tłuczona regularnie przez konkubenta. Z tego trudnego związku urodziło się czworo

dzieci, z których dwoje najmłodszych wlokło jeszcze za sobą po podwórku brudne pieluchy, a dwójka starszych kradła na bazarze z beczek kiszoną kapustę i ogórki.

Pani Banasiowa wstydziła się chodzić z życzeniami po ludziach ze względu na podbite na fiołkowo oczy, wysyłała więc z tą misją dzieci, z grubsza otarte mokrym ręcznikiem. Dzieci dzwoniły do drzwi, stały w progu, patrząc spode łba, i milczały. Za datki i podarunki nie dziękowały nigdy. Ojciec Agnieszki twierdził, że takiego słowa po prostu nie znały, no bo i skąd, skoro ich rodzice porozumiewali się za pomocą dwóch, maksymalnie trzech zdań:

- Co ty mi tu, kurwa, pierdolisz?

- A chuja!

W obliczu takiej nędzy życiowej wymaganie od pani Banasiowej, żeby zajęła się schodami, byłoby grubym nietaktem. Agnieszka postanowiła, że umyje je sama. Co do okien na klatce schodowej, liczyła na wczesny o tej porze roku zmrok. Wolałyby, oczywiście, żeby pani Banasiowa otwierała bramę w białym fartuszk i czepeczku, jak pokojówki na Eaton Place, a nie w brudnym szlafroku, zarzuconym na nocną koszulę, było to jednak zupełnie nierealne. Pani Banasiowa uważała szlafrok za swój strój służbowy. Najlepiej byłoby dać jej parę złotych i wyciągnąć od niej na czas pobytu Gerarda klucz od bramy, ale dozorczyńni strzegła go zazdrośnie jak oka w głowie. Klucz oznaczał informację, informacja oznaczała kontrolę, kontrola oznaczała władzę, a nawet tak żalosna istota jak pani Banasiowa nie miała zamiaru rezygnować z tej odrobiny władzy, którą dysponowała. Przyjemnie będzie oprzeć się o bramę i powiedzieć:

- A mnie to się ten nowy narzeczony pani Agnisi bardziej podoba niż ten poprzedni. Od razu widać, że ogień ma w portkach. Ale z serca pani powiem, dzidziu: pilnować się trzeba, bo wszystkie one, te chłopcy, to skurwysyny. Dzieciaka człowiekowi machną i po miłości.

Takiej gratki, jak francuski kochanek Agnieszki, pani Banasiowa z całą pewnością nie przepuści.

Mimo niepokoju, jaki poprzedzał przyjazd Gerarda, sam jego pobyt w Polsce miął całkowicie bezproblemowo i przypominał pochód tryumfalny. Wskoczył z pociągu w swojej absurdalnie cienkiej kurteczce na zaśnieżony peron, błysnął w uśmiechu zębami i z miejsca podbił wszystkie serca. Nawet pani Banasiowa była oczarowana i zamieniła na jego cześć szlafrok na ortalionową kurtkę, wykończoną białym mi-  
siem.

Agnieszka promieniała. Zawsze wiedziała, że nikt nie oprze się jego urokowi. Pękała z dumy i jednocześnie cierpiała męki zazdrości, widząc, jak wielkie wrażenie wywiera na kobietach. Nagle zorientowała się, że otacza ją stado pozbawionych najmniejszych skrupułów harpii, i ogarnęła ją panika. Te falujące piersi, rozchylone wargi, trzepoczące rzęsy! Były ładniejsze od niej, ciekawsze, bardziej wyrafinowane, dysponowały bogatszym doświadczeniem erotycznym, a przede wszystkim pragnęły odebrać jej Gerarda. Gerarda, którego oczy błyszcząły jak mokre kasztany i obiecywały życie w cieniu wieży Eiffla.

Oczywiście matkę owinał sobie natychmiast wokół palca. Po raz pierwszy od dawna Agnieszka widziała ją ożywioną, roześmianą, pełną kokieterii. Ze zdumieniem stwierdziła, że matka w pełni się z nią utożsaiała i przeżywała jej miłość tak intensywnie, jakby to ona sama była zakochana. W każdym razie robiła teraz rzeczy, których przedtem nie robiła. Wyciągnęła z szafy elegancki zielony kostium z tafty, przypięła sobie do uszu klipsy, naniosiła na powieki cień i skropiła uszy francuskimi perfumami, które Gérard przywiózł jej w prezencie. Pokazała mu też swój szpital, gabinet z autoklawem w szklanej gablotce i duże biurko, na którym stała sowa z brązu. Przetłumaczyła Gerardowi napis na cokole: *Drogiej szefowej - personel*, a nawet zaprezentowała mu swoją kolekcję szkaradzieństw: oklejone muszelkami pudełka, światełki z kory i ręcznie malowane talerze, dary od wdzięcznych pacjentów. Wszystko to wywarło na nim duże wrażenie, szczególnie stetoskop z różowymi jak parówki rurkami i

metalowa opaska na głowę z lusterkiem. Powiedział, że wygląda w niej jak debiutantka w diademie, wybierająca się na bal do Opery Wiedeńskiej, czym sprawił jej wielką przyjemność. Potem jednak na korytarzu wybuchło zamieszanie, matkę Agnieszki wezwano do rodzącej pacjentki, a kiedy wróciła, Gérard pokazywał pielęgniarce kroki francuskiej cha-chy, obejmując dwie z nich w pasie. Reszta, spocona i zaróżowiona z przejęcia, podrygiwała rytmicznie, śpiewając na melodię „Ulicą idzie Murzyn”:

*Ulicą idzie Gérard,  
Prawdziwy niebios dar,  
a za nim Polka mała,*

*Francuza pokochała.*

- O Jezu, pani doktor, jaki on słodki! - zawołały na jej widok, a matka Agnieszki pomyślała, że związek z tym francuskim elfem może oznaczać dla jej córki kawał ciężkiej roboty.

W tym czasie Agnieszka próbowała po raz pierwszy w życiu upiec bażanta. Polakierowała go już miodem i przygotowała koło zlewu pióra jego pysznego ogona, które zamierzała po upieczeniu wetknąć ptakowi w tyłek, żeby prezentował się elegancko.

- Co o nim sądzisz, tatusiu? - zapytała.

- Sądzę, że należało go wypatroszyć - odparł łagodnie ojciec zza gazety.

- Matko Boska, zupełnie zapomniałam! Dziękuję ci, ale miałam na myśli Gerarda.

Ojciec milczał, schowany za „Expressem” i Agnieszka doszła do wniosku, że pytanie do niego nie dotarło. Chrząknęła parę razy zachęcająco.

- Myślę, że bardzo się spodobał twojej mamie - odpowiedział w końcu smętnie. - Jest rzeczywiście bardzo atrakcyjny i nie dziwię się, że jesteś w nim zakochana. Ma w sobie to coś, co działa na kobiety.

„Jak piękne zwierzę” - chciał jeszcze dodać, ale ugryzł się w język, chociaż właśnie o to chodziło. Można było znać na pamięć „Ucztę” Platona, można było czytywać

Cyconera w oryginale, ale dla kobiet najważniejsze było w końcu piękne zwierzę w łóżku. Wystarczył im rzut oka i od razu wiedziały, że on sam do takich nie należy.

Widząc jednak roziskrzzone oczy swojej ślicznej córki, powiedział tylko:

- Jestem przekonany, że będziesz z nim bardzo szczęśliwa, Agu-niu. Tak jak chciałaś: każdy dzień jak kieliszek wina.

Gerardowi posłano w gabinecie matki, na wąskiej kanapce przykrytej ceratką i prześcieradłem, na której zazwyczaj kładły się pacjentki. Gabinet łączyły drzwi z pokojem Agnieszki, więc noce spędzał, rzecz jasna, w jej łóżku. Nad ranem wślizgiwał się do swojej pościeli i wprowadzał ją w stan artystycznego nieładu, żeby pozory zostały zachowane. Ta konspiracja niesłychanie go bawiła, była tak uroczo staroświecka i katolicka, a zarazem kompletnie nielogiczna. Cały ten kraj był absurdalny: podziurawione kulami domy, których nikt od końca wojny nie odnawiał, zdechłe muchy w pustych oknach wystawowych, obsikane klatki schodowe, a jednocześnie przepych wielkich hoteli i elegancja kobiet. Miło go zaskoczyło, że jego pieniądze są tu aż tyle warte. Za parę franków mógł zapraszać Agnieszkę z całą rodziną do najlepszych restauracji, kupować jej codziennie kwiaty i nieosiągalne na mieście drobiazgi, które za dewizy dostępne były w każdym hotelu.

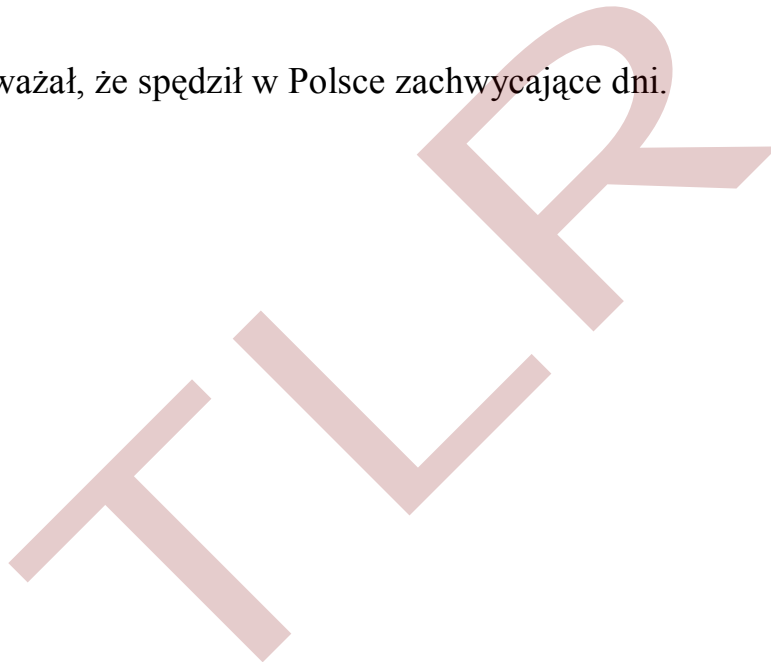
Zaintrygowały go sklepy z antykami i rękodziełem. Co prawda Agnieszka ostrzegła, że z Polski nie wolno wywozić żadnych staroci, ale nie mógł oprzeć się pokusie i kupił za grosze rewelacyjny stary samowar oraz śliczne srebrne spinki do mankietów z początku wieku. Futrzaną czapkę z nausznikami po prostu musiał mieć, była mu konieczna na kulig, który zorganizowali kumple Agnieszki, mający znajomości w jakiejś podwarszawskiej stadninie. Gérard już dawno tak dobrze się nie bawił. Konie biegły po śniegu różnym truchcikiem, puszczając potężne wiatry, w saniach podawano sobie z rąk do rąk termos z gorącym krupnikiem i śpiewano jakieś wywrotowe pieśni, zapewne antyradzieckie.



Podobało mu się tutaj. Nie bardzo wiedział, gdzie niby są ta straszna bieda i nie-ludzki reżim, o których mówiło się za żelazną kurtyną. Nic takiego nie zauważył. Owszem, po drugiej stronie ulicy był sklep z napisem „Mięso”, przed którym już od świtu wiła się tasiemcowa kolejka zakutanych w chusty babin, ale nikt z rodziny Agnieszki w niej nie stawał. Do nich przychodziła dyskretnie „baba z cielęciną”, a co jakiś czas jakiś pan Kazio podrzucał furgonetką pół świniaka.

Dawno też nie spędził równie udanego sylwestra. Luksusowy hotel, doskonała orkiestra, wyśmienite menu, pięciu kelnerów przy stoliku. W Paryżu mógłby o takim balu tylko pomarzyć. Jeżeli to była nędza, to niektóre jej oblicza były szalenie atrakcyjne.

W sumie uważał, że spędził w Polsce zachwycające dni.



Od wyjazdu Gerarda do połowy maja Agnieszka zajęta była głównie umieraniem z tęsknoty. Całe dni spędzała na pisaniu rozdierających listów i zasypiała na poduszce mokrej od łez. W maju wsiadła w samolot i poleciała do Paryża. Będąc jeszcze w Warszawie, Gerard wpadł na pomysł, że jej urodziny spędzą razem na południu Francji, w Camargue. Akurat tego samego dnia, 25 maja, Cyganie obchodzili swoje największe święto w Saintes-Ma-ries-de-la-Mer i Agnieszka po prostu musiała to zobaczyć.

Wydawało jej się, że nie przeżyje tych czterech miesięcy rozstania, ale jakoś przeżyła. W samolocie płakała za szczęścia, myśląc o oczekujących ją tygodniach z Gerardem, a kiedy na lotnisku znowu znalazła się w jego ramionach, natychmiast zapomniała o mękach rozstania.

Dobrze jej już już znanym starym volkswagenem pojechali niespiesznie przez wiosenną Prowansję w kierunku doliny Rodanu, przez krajobrazy, które pamiętała z obrazów van Gogha. Van Gogh malował je bez wytchnienia i nikt nie zdołał złożyć większego hołdu tej części Francji. Na życzenie Agnieszki zatrzymali się w Arles, gdzie mieszkał przez cały rok i dokąd sprowadził Gauguina w nadziei, że razem stworzą Pracownię Południa. Z projektu nic nie wyszło, kłócili się coraz częściej, w końcu van Gogh rzucił się któregoś dnia na przyjaciela z brzytwą. Przerażony Gauguin wyprowadził się do hotelu, a Vincent obciął sobie lewe ucho i zaniósł je do burdelu o poetycznej nazwie Maison de Tolérance.

Agnieszkę trochę speszyło, że Gérard nie znał tej historii i nazwisko Gauguina najwyraźniej nic mu nie mówiło, chociaż był w Arles nie po raz pierwszy i wiedział, z której restauracji jest najlepszy widok na katedrę Saint-Trophime.

Na łuk tryumfalny w Orange, akwedukt w Pont du Gard i amfiteatr w Nîmes zdążyła zaledwie rzucić okiem. Wszędzie chętnie zostałaby dłużej, podobały jej się kamienne miasteczka, pola lawendy i gaje oliwne, ale Gérard nie chciał przegapić święta w Saintes-Ma-ries-de-la-Mer. Wkrótce krajobraz się zmienił i zaczęły otaczać ich podmokłe łąki, wysokie szuwary i laski drzewiastego jałowca: wjechali do Camargue, krainy flamingów i żyjących na swobodzie białych koni.

Marie były trzy. Maria Jakobeja, siostra Najświętszej Marii Panny, Maria Salome i Maria Magdalena. W pozbawionej steru i żagla łodzi uciekły przed prześladowaniami z Judei. Towarzyszyli im siostra i brat Marii Magdaleny, Marta i Łazarz - ten sam Łazarz, którego wskrzesił Jezus. Ale to Sara, ich czarna służąca, stała się patronką Cyganów, to do jej relikwii pielgrzymowali co roku z całej Europy. Była niskiego stanu, była inna - i właśnie dlatego ją pokochali.

Saintes-Maries-de-la-Mer pękało w szwach. Przez uliczki przelewał się barwny tłum Cyganów w kapeluszach o szerokich rondach, z gitarami i tamburynami w rękach. Wśród ludzi z trudem torowali sobie drogę jeźdźcy na białych koniach. Było mnóstwo turystów i Agnieszka zapewne niewiele by zobaczyła z uroczystości, gdyby Gérard nie zarezerwował już dawno temu pokoju z balkonem w hoteliku przy nadmorskiej promenadzie: była zachwycona jego pomysłowością. Opowiedział jej, że przez całą noc Cyganie będą czuwali przy świecach w krypcie, prosząc świętą Sarę o pomyślność, pociechę, miłość kochanka, dobrego konia. Obcy przy tym nie są mile widziani: Cyganie woleli pozostawać we własnym gronie. Następnego dnia relikwie świętej Marii Jakobei i Marii Salome zostaną wystawione w trakcie popołudniowej mszy w nawie głównej kościoła. Każdy będzie próbował dotknąć ich rąbkiem odzieży albo chusteczką, żeby przelała się na nie ich cudowna moc. Poświęcone w ten sposób przedmioty będą przynosiły szczęście przez cały rok. Kulminacyjny moment święta nastąpi jednak dopiero pojutrze.

25 maja, po sumie, ustawiono relikwie i posągi na podestach i flankowana przez jeźdźców procesja ruszyła w kierunku plaży. Tam święci spoczęli na brzegu, konni wjechali głęboko w fale, a biskup Arles pobłogosławił morze. Agnieszka stała na balkonie hoteliku. Otaczając ramionami tors Gerarda, czując zapach jego skóry i morza, pomyślała, że nigdy nie była tak bliska odzyskania wiary. Pan Bóg, zsyłając jej Gerarda i miłość, złożył niezaprzeczalny dowód swojego istnienia. Tłumy pogrążonych w religijnej ekstazie Cyganów, wierzących żarliwie i ufnie, nie mogły się mylić.

Zaślubiny świętych z morzem. Zaślubiny Cyganów ze świętymi. Jej zaślubiny. Było dla niej zupełnie jasne, że się pobiorą, mówiła „tak”, za każdym razem, kiedy się kochali. Tak, tak, tak - ja chcę! Biedna mama, nawet nie wiedziała, jak może być cudownie. Kochała nie tylko rzuconą na krzesło marynarke Gerarda, kochała każdy jego ruch, sposób, w jaki mył zęby, wkładał skarpetki, burzył sobie włosy i kruszył niemiłosiernie croissanty. Dałeś mi wielki dar, Panie Boże, i dzięki Ci za to.

No bo chyba nie żartujesz sobie ze mnie, Panie?

Po południu religijną część uroczystości zakończyła tradycyjna formuła *Adieu aux Saintes* i relikwie powróciły do kaplicy. Następnego dnia w miasteczku rozszalała się dzika *ferrade*, ognisty prowansalski festyn z bykami w roli głównej. Od rana galopowały po ulicach, a za nimi pędzili młodzi mężczyźni, w nadziei schwywania któregoś z nich za rogi i rzucenia go na ziemię. Zamiary byków były bardzo podobne, ale zmagania zakończyły się ich zdecydowaną porażką i wszystkie znalazły się na arenie.

Sama corrida była, na szczęście, bezkrwawa - przynajmniej dla byków. Przy *course à la cocarde* zadanie polegało na zerwaniu zawiązanej na rogach kokardy. Nie było to wcale łatwe i dostarczało mnóstwo emocji. Podniecony tłum wiwatował, klasnął, gwizdał, fruwały kwiaty i chusteczki, także Agnieszka wstała i wołała *olei* póki nie ochrypła.

Nastrój udzielił się również Gerardowi, który nagle przeskoczył przez barierkę i zgrabnie osaczył zaskoczonego byka. Ogłupiałe zwierzę zaryło kopytami w piasek areny i rozgrzebując go przednią nogą, przyglądało się nowemu przeciwnikowi, jakby

się zastanawiało, czy było to w ogóle w scenariuszu i co począć dalej. Agnieszce sta-  
nęło serce w piersi, ale Gérard już trzymał w ręce kokardę i biegł w kierunku trybuny.

- *Ole!* - krzyknęli widzowie.

Gérard rzucił kokardę na kolana Agnieszki i przesłał bykowi palcami pocałunek.  
Pękała z dumy i czuła się jak średniowieczna dama, której rycerz zwyciężył w turnie-  
ju. Jeszcze żaden prezent nie sprawił jej tyle radości.

Następnego dnia zaczął jednak padać deszcz i hotelowa tapeta w rajskie ptaki i  
amorki nasiąkała wilgocią, a pościel zrobiła się lodowato lepka. Gérard włączył suszar-  
kę do włosów i cierpliwie owiewał strumieniem gorącego powietrza sztywne z zimna  
ciało

Agnieszki wyciągnięte na łóżku jak na katafalku. W końcu poczuła, że krew róż-  
niej kursuje w palcach jej stóp i może się tym ciepłem z nim podzielić. Nadsluchiwała  
przy tym czujnie, czy po labiryntach korytarzy nie skrada się właścicielka. Większość  
hotelarzy francuskich była gburowata i idealnie pasowała do ciemnych pieczar z kon-  
tuarem, nazywanych szumnie recepcjami, saloników z pseudoantycznymi fotelikami,  
zakurzonych roślin doniczkowych i gazet sprzed tygodnia. Napisy na drzwiach pokoi  
zabraniały używania suszarek do włosów i grzałek, za to na korytarzach stały przedpo-  
topowe maszyny do czyszczenia obuwia, chociaż prawie wszyscy goście nosili spor-  
towe buty. Samych gości traktowano zresztą często jak dopust Boży, szczególnie poza  
sezonem. W restauracjach można było umrzeć z głodu, jeżeli przy sąsiednim stoliku  
pożywiali się miejscowi znajomi personelu i mieli mu coś ciekawego do opowiedze-  
nia. W najlepszym wypadku kelner stawiał przed człowiekiem zamkniętą butelkę wina  
i dorzucał korkociąg. Kochała ten kraj, ale musiała przyznać, że poziom usług w wielu  
wypadkach nie różnił się od polskiej średniej krajowej.

Była tak zmarznięta, że nie mogła zasnąć, a kiedy w końcu zamknęła się nad nią  
mgiełka snu, zobaczyła, że siedzi przed toaletką z trzyczęściowym lustrem. Jego  
boczne skrzydła ustawione były pod kątem, jak za czasów dzieciństwa, kiedy szukała

w nim towarzyszek zabaw. Nie ujrzała w nim jednak własnego odbicia, tylko Gerarda: długie szeregi Gerardów w niekończących się korytarzach, Gerardów uśmiechniętych, machających do niej rękami, składających usta do pocałunku. Ucieszyła się na ich widok i też im pomachała, ale w głębi lustra zrobiło się nagle jakieś zamieszanie i odbicia Gerarda zaczęły niepewnie rozglądać się na boki, coś sobie nawzajem pokazywać i wzruszać ramionami. Z rosnącym niepokojem zauważyła, że najdalsi z Gerardów odwracają się i odchodzą, a za nimi znikają następni, coraz bliżsi i bliżsi powierzchni lustra, aż pozostał tylko jeden - ten ostatni. Położyła dłonie na zimnej tafli i przytuliła do niej twarz, żeby chociaż tego zatrzymać i rzeczywiście zobaczyła w jego oczach wahanie. Po chwili jednak uśmiechnął się do niej przepraszająco i pobiegł za innymi.

Zerwała się z krzykiem i usiadła wyprostowana na łóżku, nie mogąc z przerażenia złapać tchu.

- Co jest, Agnès? - mruknął sennie Gérard, a ona poczuła szaloną ulgę, słysząc jego głos. Ostrożnie wyciągnęła rękę, żeby się upewnić, że jest naprawdę, że to jego twarzy dotykają opuszki jej palców, że nie znika pod tym dotknięciem.

- Nic, tylko sen - odparła. - Przyśniło mi się coś okropnego.

-Co?

Nic nie odpowiedziała, bo zdanie: „Śniło mi się, że odszedłeś” było zbyt straszne, żeby je wymówić głośno. Przed oczami stanęły jej długie rzędy Gerardów, którzy wyłonili się z głębi jej marzeń i tam też powrócili.

- Zdażyłam już zapomnieć - szepnęła w końcu.

Żegnając się z Gerardem na lotnisku, Agnieszka płakała jak płaczka, jak wdowa, jak niedający się zakręcić kran. Spływające wzdłuż opuchniętego nosa łzy łapała otwartymi ustami i połykała z urwanym szlochem, ramiona jej się trzęsły i nic nie było w stanie jej utulić. Zdawała sobie sprawę z tego, że wygląda paskudnie i właśnie tak zapisze się w pamięci Gerarda, ale było jej wszystko jedno.

- No, no, mój skarbie, nie rozpaczaj, przecież ja jeszcze żyję - próbował żartować, poklepując ją czule po plecach.

- Ale ja umieram bez ciebie - zabulgotała w chustkę.

- Cierpliwości, zrobisz dyplom i będziemy już zawsze razem. Obiecuj mi, że będziesz dzielna i nie zatopisz całego samolotu w łzach. Niedługo przyjadę do ciebie.

- Na pewno?

- Na pewno.

Wytarła więc posłusznie nos i ruszyła samotnie dalej, prawie ślepa z bólu. Ale kiedy po kontroli paszportowej odróciła się, żeby popatrzeć na Gerarda po raz ostatni, zobaczyła, że jego wzrok spoczywa z zainteresowaniem na egzotycznej piękności w białym kapeluszu i z pieskiem w ramionach. Taksował ją, jak dżokej taksuje piękną klacz, z uznaniem dla jej nerwowych pęcin i lśniącego zadu. Agnieszce wydało się, że zauważyła w jego oczach obcy błysk, i ogarnęła ją na ten widok mdląca panika. Uniosła rękę w geście pożegnania i chciała coś zawołać, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej gardła.

Zresztą Gérard i tak na nią nie patrzył.

Ojciec Agnieszki nie chorował nigdy. Jego odporność była przysłowiowa, w szkole mówiło się „twardy jak Stary Opos”. Trudno było w to uwierzyć, gdy patrzyło się, jak powłócząc nogami, człapie w kierunku pokoju nauczycielskiego, zgięty jak znak zapytania pod ciężarem teczki, a jednak odznaczał się tą uporczywą wytrzymałością na poły zassuszonego owada, która pozwalała mu przetrwać bez uszczerbku zimę.

Uczniowie nie cenili sobie tej jego cechy. U profesora Oposzyńskiego nie istniała najmniejsza nawet szansa na to, że jakiś sprawdzian czy klasówka zostaną odwołane z powodu choroby. Równie niewielka, że wykaże choćby cień zrozumienia dla cudzych dolegliwości. Będąc sam żelaznego zdrowia, uważał choroby za coś nieprzyzwoitego. Budziły w nim takie samo obrzydzenie jak nie-odrobione lekcje i zapomniane zeszyty. Inni nauczyciele miewali przewlekłe anginy, kamienie w woreczku żółciowym i wrzody na dwunastnicy, ale nie Stary Opos.

Z biegiem lat zaczęto w szkole liczyć czas w odniesieniu do jedynej przypadłości, jaka mu się kiedykolwiek przytrafiła: złamanego kciuka prawej ręki. Złamanie zawdzięczał nadgorliwości przewodniczącej samorządu szkolnego, ogólnie znienawidzonej lizuski. Zaofiarowała się zanieść mu pomoce naukowe do samochodu i z typowym dla siebie zapalem zatrzasnęła klapę bagażnika, nie sprawdzając, czy poza mapami i atlasami nie znajduje się w nim coś jeszcze. W życiu profesora Oposzyńskiego wydarzenie to niewiele zmieniło, po prostu przez sześć tygodni nosił dziennik w lewej ręce, ale dla szkoły stało się kamieniem milowym. Od tego czasu mówiło się: „To było jeszcze przed gipsem Starego Oposa” albo: „Wydarzyło się rok po gipsie”.



Agnieszka wiedziała, oczywiście, jakie zdanie mają uczniowie o jej ojcu. Przez rok chodziła do liceum, w którym uczył, ale przeniosła się do innej szkoły, bo do szafu ją doprowadzało, kiedy stawał przy jej ławce i mówił w zamyśleniu:

- Oj, Agnieszko, Agnieszko, za mało się przykładasz. Chyba będę musiał porozmawiać z twoimi rodzicami.

Cierpiała też męki, widząc, że uczniowie się z niego bezlitośnie wyśmiewają. Kiedyś poszła do zoo tylko po to, żeby zobaczyć prawdziwego oposa, i musiała przyznać, że przezwisko pasowało jak ulał. Zwierzak był szary, niepozorny, przytulał się lękliwie do ziemi, a kępki jego zmierzwionego futerka sterczały na wszystkie strony tak samo jak włosy jej ojca, który miał zwyczaj przeczesywać je z roztargnieniem palcami. Wisząca na klatce tabliczka informowała, że w obliczu niebezpieczeństwa opos udaje nieżywego – i to też by się zgadzało. Zapadanie w stan skostnienia było ulubioną taktyką ojca w starciach z matką. Dalej przeczytała jednak, że rozwścieczony opos potrafi mordować mściwie i dla samej przyjemności zabijania, co sprawiło jej dużą ulgę. Istniała więc nadzieja, że któregoś dnia ojciec straci cierpliwość, zaplecie włosy w warkocz samuraja, rozbije w gabinecie pomocy naukowych gablotkę z osiemnastowieczną karabelą i urządzi w szkole jatkę, wycinając w pień wszystkich kpiarzy.

Ojciec Agnieszki poczuł w trakcie obiadu, że pokój nagle się za-kołysał, a potem zaczął wokół niego krążyć, coraz szybciej i szybciej. Odłożył ostrożnie łyżkę na obrus, żeby się przy tym wirowaniu zupa z niej nie wylała, i niepewnie zerknął na żonę. Chętnie by ją zapytał, co to może oznaczać, ale była całkowicie zatopiona w lekturze jakiegoś fachowego pisma. Jej milczenie miało w sobie coś zniechęcającego, wstał więc i ciężko opierając się o meble, ruszył w kierunku swojego pokoju.

- Skończyłeś? - zawołała za nim matka. Odchrząknął potakująco. Skinęła obojętnie głową, nie odwracając oczu od publikacji.

Kiedy usłyszała huk padającego ciała, pomyślała w pierwszej chwili, że posypały się z regałów książki, które jej mąż ustawiał w dwóch rzędach i jedne na drugich.

- Wszystko w porządku? - zawołała, nadsluchując, a ponieważ nie usłyszała odpowiedzi, wsunęła nóż między kartki, żeby zaznaczyć miejsce, do którego dotarła, czytając. Zamknęła pismo i podniosła się z krzesła.

Na widok trupio bladej twarzy leżącego na podłodze męża poczuła tę samą koncentrację, która zawsze ją ogarniała w obliczu krytycznego przypadku. Rzuciła się do przedpokoju po torbę lekarską, wyciągnęła z niej małą latarkę i strzykawkę, sprawdziła błyskawicznie reakcję źrenic i prawie natychmiast wbiła igłę w jego pierś. Wezwana przez nią karetka potrzebowała zaledwie dziesięciu minut i kiedy Agnieszka wróciła do domu, ojciec już był na oddziale intensywnej opieki.

- Niemożliwe - powiedziała. - Tata nigdy nie choruje. Ale dlaczego klinika wojskowa, a nie twój szpital?

Matka wyjaśniła jej, że będzie miał tam znacznie lepszą opiekę. Wojskowy szpital bije wyposażeniem technicznym każdy cywilny na głowę, a ona sama jest bardzo szczęśliwa, że udało jej się go tam umieścić. Agnieszka nawet nie musiała pytać, komu to zawdzięczają. Ordynator, doktor Szczypiorski, był starym przyjacielem matki jeszcze z czasów studenckich i częstym gościem w ich domu. Nie znosiła go od dziecka: za kępki wyrastających z uszu i nosa włosów, tubalny głos i otaczający go zapach francuskich cygaretek, które dostawał w prezencie od pacjentów. Znienawidziła go za to, że sadzał ją siłą na swoich szerokich kolanach, chociaż broniła się zawzięcie przed dotykiem jego owłosionych rąk, ale przede wszystkim za sposób, w jaki patrzył na jej matkę. Łączyła go z nią wiedza o tak tajemniczych rzeczach jak tracheotomia, wstrząs anafilaktyczny czy perforacja wyrostka i wzajemny szacunek, którego na próżno szukała w związku rodziców. W obecności doktora Szczypiorskiego matka była ożywiona i pełna energii, przed jego wizytami malowała się starannie i wkładała szykowne ciuchy. Imponował jej nie tylko wiedzą medyczną, ale i mieszkaniem na Pięknej, nowym modelem renaulta, dobrze prosperującą praktyką prywatną i koszulami szytymi na miarę. Leczył zarówno członków rządu, jak i właścicieli sklepów na Chmielnej, co czyniło go człowiekiem o nieograniczonych możliwościach. Mógł sobie pozwolić na przynoszenie w prezencie francuskich perfum oraz włoskich win i potrafił załatwić

wszystko, od części samochodowych po armaturę łazienkową. Dzięki temu cieszył się dużym powodzeniem u kobiet i nie miał najmniejszych problemów z wymianą kolejnej żony na nowszy model, a przez jego łóżko przewinęły się całe zastępy pielęgniarek. Ostatnio był wolny i twierdził, że czeka, aż Agnieszka podrośnie, ale w rzeczywistości zawsze pozostawał wierny swojej studenckiej miłości: jej matce.

O doktorze Szczypiorskim kursowała po gabinetach lekarskich piękna anegdota. Bohaterką jej była babina, która miała stragan z nabiałem na Bazarze Różyckiego i od lat cierpiała na obstrukcję. W końcu doradzono jej, żeby zwróciła się do słynnego specjalisty. Kobięcina zapakowała do koszyka jaja i ser, wybrała się do szpitala i bezradnie krążyła godzinami po jego niekończących się korytarzach, pytając o doktora Piórskiego: takie nazwisko jej podano, personel wruszał tylko ramionami, ale w końcu trafiła na młodego stażystę, który miał olśnienie.

- Doktor Piórski, mówi pani? Piórski? Zaraz, zaraz, coś mi to przypomina... ach, już wiem: pewnie Szczy, proszę pani. Szczy. Szczypiorski!

- A, jak tak, to nic nie szkodzi - odparła babina ze zrozumieniem. - Jak szczy, to ja poczekam.

Sam doktor Szczypiorski opowiadał chętnie, jak to dostał od wdzięcznego pacjenta butelkę koniaku i bombonierkę. Koniak wypił, a czekoladki podarował koleżance na urodziny. Następnego dnia wpadła do jego gabinetu, zaróżowiona z przejęcia.

- Panie Andrzeju, dziękuję panu najserdeczniej! Już same czekoladki to strasznie miły gest z pana strony, a co dopiero te tysiąc złotych w środku... Jestem panu ogromnie zobowiązana, ale to było zupełnie niepotrzebne.

Także i tym razem doktor Szczypiorski złożył dowody swoich nieograniczonych możliwości, załatwiając ojcu Agnieszki łóżko w dwuosobowym pokoju, a dla niej samej pozwolenie na nocowanie w szpitalu. Była mu za to szczerze wdzięczna, ale nie

zmieniła o nim zdania. Arogancki bufon, zarozumiały prostak, myślała o nim niechętnie, wiedząc jednocześnie, że jest bardzo niesprawiedliwa.

Na sąsiednim łóżku leżał młody żołnierz, cudem odratowany po perforacji wyrostka robaczkowego. Podłączony do kroplówki, wodził po pokoju rozszalałymi oczami jak przerażone zwierzę i bez przerwy pytał Agnieszkę:

- Czy ja umrę, proszę pani? Czy może mi pani obiecać, że nie umrę?

Pielęgniarki krzyczały na niego, bo wciąż wydawało mu się, że kroplówka się zatrzymała albo igła wysuwa się z żyły i nieustannie przyzywał je dzwonkiem. W rezultacie przestały kompletnie reagować i teraz cierpiał straszne męki, nie mogąc się doczekać, aż ktoś poda mu kaczkę. W końcu przewycięzył wstyd i poprosił o pomoc Agnieszkę. Odrzuciła kołdrę i ujęła jego żaloszny, zmięty jak szmaciana lalka członek, dziwiąc się, że nie odczuwa ani wstrętu, ani skrępowania.

-No i bardzo dobrze - powiedziała obojętnie pielęgniarka z końską twarzą, którą udało się jej zatrzymać na korytarzu. - Jak już tu siedzisz, to postaraj się chociaż na coś przydać. My wszystkie jesteśmy zawałone pracą.

Może i tak było, ale przede wszystkim chciały mieć święty spokój, zamknąć się w swoim pokoju, kłaść pasjanse i narzekać na chłopów i dzieci. Agnieszka nie miała jednak nic innego do roboty, a noce były rozpaczliwie długie, więc bez protestów kontrolowała poziom płynu w kroplówkach i podawała pacjentom kaczki. Resztę czasu spędzała, siedząc na łóżku ojca z podwiniętymi nogami i pisząc na kolanach listy do Gerarda.

Nocą ze wszystkich szpar wylaziły bursztynowe karaluchy z ruchliwymi czułkami i otaczały wyczekująco łóżka. Umierała ze strachu, bo nikt jej nie uprzedził, że szpitale, świątynie zdrowia, cierpienia i śmierci, są przede wszystkim królestwem robactwa. Młody żołnierz też się bał i chciał od niej wiedzieć, czy nie wleżą mu do ust albo nosa, jak tylko zaśnie. Zapewniła go, że jest to absolutnie wykluczone, ale bez większego przekonania.

- To przez te nowoczesne instalacje - wyjaśniły jej pielęgniarki. -Szyby wentylacyjne i tak dalej. Wszędzie przeleżą, nic się na to nie poradzi. W Nowym Jorku też ich nie brak.

Nocami Agnieszka wędrowała po niekończących się labiryntach korytarzy, uważnie patrząc pod nogi, żeby nie nadepnąć na karalucha. Zaglądała przez uchylone drzwi do sal, gdzie leżeli wijący się w mękach pacjenci, podłączeni do maszyn, kabli i rurek, i coraz bardziej podziwiała swoją matkę. Jak mogła mieć na co dzień do czynienia z tym oceanem bólu i nie stracić do reszty odwagi? Ją samą przerażała atmosfera tego miejsca, najchętniej by stąd uciekła. Zmieniona twarz ojca, z dziwnie wyostrzonym nosem, zapadniętymi policzkami i przezroczytą jak pergamin skórą, wydawała jej się obca i odległa, jakby już przeniósł się w nieznane jej miejsce, do którego ona nie ma wstępu. Dlaczego nie było przy nim mamy? To ona była jego żoną, to ona była lekarką, to ona wiedziała, jak się w takiej sytuacji zachować, jak pomóc i pocieszyć. Dlaczego nie pojawiała się teraz, kiedy Agnieszka jej tak bardzo potrzebowała?

Właściwie nie było jej nigdy, kiedy była naprawdę potrzebna.

Agnieszka dobrze pamiętała swój pierwszy dzień w szkole, obcą kobietę, która wzięła ją za rękę i powiedziała, że odtąd będzie jej panią, szlaczek z liści kasztana wzdłuż ścian pokoju, nazywanego „klasą”, paprotki na półeczkach, dziewczynki z kokardami we włosach, chłopców w spodniach na szeleczkach i mamusi - całe mnóstwo mamusi, roześmianych, pięknie pachnących, nieustannie poprawiających te kokardy i szeleczki.

Tylko jej mamusi nie było. Miała w szpitalu coś, co nazywało się ostry dyżur, i Agnieszkę odprowadziła do szkoły babcia z tatą, który był okropnie przejęty i zasypywał panią pytaniami. Agnieszka widziała, że pani wcale to wypytywanie się nie podobą, i bardzo się za niego wstydziła.

Tak było pierwszego dnia i tak było przez wszystkie następne. Mama nigdy nie przychodziła na wywiadówki, przedstawienia, w których jej córka grała ważne role, zabawy szkolne i rozdania nagród. Nie miała czasu.

- Powinnaś być z mamy dumna - tłumaczyła jej babcia. - Mało kto ma mamusię, która ratuje ludzkie życie Wykonuje bardzo ważną i odpowiedzialną pracę, musisz to zrozumieć.

Ale Agnieszka nie chciała zrozumieć. To cudze życie, które mama ratowała, było jej zupełnie obojętne. Wolałaby, żeby zajęła się tylko jej, Agnieszki, życiem, odrabiała z nią lekcje, chodziła na spacer, piekła ciasta - żeby była taka, jak wszystkie inne matki. Po Elżbietkę, z którą siedziała w tej samej ławce, codziennie przychodziła po szkole mamusia i razem szły nad Wisłę, do zoo albo na rurki z kremem. Któregoś dnia całą godzinę spędziły przykucnięte na środku ścieżki, obserwując mrówki. Mrówki męczyły się przy transporcie nieżywej wazki i dokonywały cudów organizacyjnych, żeby przytargać ją jakoś do mrowiska. Zaambarasowane naradzały się, machając czułkami, ustawiały się w zastępy i tworzyły żywe podwo-dy. W końcu zarzuciły sobie wazkę na bary, a ona, piękna nawet po śmierci ze skrzydełkami opalizującymi jak brokat wieczorowej sukni, płynęła majestatycznie nad ich głowami.

- Patrz, jakie zmyślne - powiedziała mama Elżbietki z szacunkiem. - Żeby to malarze, co nam remont od pół roku robią, tacy inteligentni byli.

W domu Agnieszka usiłowała zainteresować życiem mrówek matkę.

- Musisz ze mną pójść i na nie popatrzeć, to takie ciekawe, te mrówki - tłumaczyła zachęcająco.

- Poproś tatę, kiedy ja wracam do domu, mrówki już dawno śpią.

To ojciec pokazywał jej świat. Z nim chodziła na poranki do kina i do teatrzyku kukielkowego, karmiła w parku łabędzie i puszczała nad Wisłą latawce. On nauczył ją odróżniać wilgę w żółtym zakieciku od zimorodka z czerwonym brzuszkiem, rozpoznawać pawika po kolorowych oczkach na skrzydełkach i pazia królowej po niebieskim wzorku. On wiedział, gdzie szukać w mchu żółtych trąbek kurek, gdzie rosną kozłaki, a gdzie lepkie maślaki, do których kapeluszy przyklejały się igły sosen i ślimaki. Razem z nim oglądała w muzeum mumie o włosach przykrytych pasiastymi fartuszkami, figurki z głowami szakali i kości dawno wymarłych zwierząt. Kiedy uczyła się pływać, podtrzymywał ją pod brzusek, kiedy stawiała pierwsze kroki na łyżwach,

prowadził ją za rączkę i to on biegł za jej pierwszym rowerkiem. Był z niej bardzo dumny, a ona go podziwiała, bo tyle wiedział i wszystko potrafił. W jakim momencie przestała go podziwiać?

- Proszę pani, czy pani zostanie na noc? - przerwał jej rozmyślenia płaczliwy głos żołnierza. - Bo ja się boję, że tatuś pani umrze, jak ja tu sam z nim będę.

- Oj, zamknij się - prychnęła ze złością. - Miał raptem lekki zawał i za dzień, dwa go wypuszczą.

Następnego dnia jednak stan ojca się pogorszył. Kiedy Agnieszka wieczorem weszła do pokoju, siedział przed tacą z nietkniętą kolacją i przyglądał się z przerażeniem kuleczkom groszku.

- Aguniu, to okropne, popatrz, co w tym jest: pękające dziecięce główki i wydłubane świńskie oczy - co oni sobie myślą w tym hotelu? Zabierz mnie do domu, nie zostanę tu ani chwili dłużej. Rano pokojówka dołała mi czegoś do kawy i teraz każda połówka mojego mózgu obraca się w inną stronę, nie widzisz, że krew płynie mi z uszu? I wyrzyj na korytarz: jak przez chwilę drzwi były otwarte, widziałem, że chodzą po nim puste ubrania.

W ciągu następnych dni tylko raz odzyskał przytomność i rozpoznał Agnieszkę. Poprosił, żeby go ogoliła i pomogła mu się umyć. Uszczęśliwiona, przesuwała ostrożnie maszynką po jego zapadniętych policzkach pokrytych szorstkim zarostem. Przyjęła sobie, że jak tylko ojciec powróci do zdrowia, już nigdy nie pozwoli, żeby stał samotnie w oknie i patrzył na ulicę. Teraz wszystko się zmieni, będą prowadzili ze sobą długie rozmowy, powie mu to wszystko, co mówiła do niego w myślach, kiedy czuwała nocą przy jego łóżku. Co się, u licha, stało z jej rodziną i jak mogła do tego dopuścić?

- Mama się na mnie zawiodła - powiedział nagle ojciec. - Kiedyś i my byliśmy małżeństwem z prawdziwego zdarzenia, ale potem coraz bardziej ją rozczarowywałem. Ona osiągała coraz więcej, a ja stanąłem w miejscu. Nauczyciel w liceum, pożał się Boże... Chyba zaczęła się mnie wstydzić. Biedna Alisia. Ciężko jest żyć ze świadomo-

mością, że partner tobą pogardza, ale jeszcze ciężiej być tym, który pogardza. To moja wina, nie potrafiłem dać jej szczęścia, nie zrobiłem nic, żeby mogła mnie szanować. A teraz jest już za późno.

- Nigdy nie jest za późno - zaprotestowała Agnieszka. - Wyzdrowiejesz i wreszcie się rozmówicie. Jestem przekonana, że mama jest ci bardzo oddana, ale wiesz, jak to z nią jest: poza szpitalem nic się dla niej nie liczy.

- Jestem bardzo zmęczony, Agnieszko.

- Spróbuj zasnąć. Przede wszystkim musisz odzyskać siły, a z mamą wszystko jeszcze się ułoży.

Tej nocy nie napisała listu do Gerarda. Siedziała przy łóżku ojca, trzymała jego wychudzoną rękę i zastanawiała się nad małżeństwem swoich rodziców. Dlaczego oboje byli w nim tak bardzo samotni? Co będzie, kiedy ojciec wróci do domu? Jak się ułoży ich pożycie? Czy w ogóle może ich zostawić samych i wyjechać, żeby zacząć nowe życie z Gerardem?

I dlaczego Gérard przestał pisać?

Nad ranem ojciec otworzył oczy i powiedział do niej bardzo wyraźnie:

- Agnieszko, plecy mnie bardzo boją. To dlatego że mi skrzydła rosną, wiesz?

Było to ostatnie zdanie, jakie powiedział. Umarł, nie odzyskując przytomności. Pielęgniarki, które nagle zrobiły się bardzo miłe, zapewniały ją, że nie cierpiał. Na widok parawanu, którym zasłonięto łóżko umierającego, młody żołnierz poprosił, żeby go przeniesiono do innej sali, i wyprowadził się bez pożegnania. Agnieszce było to obojętne. Wciąż jeszcze nie mogła pojąć, że granica między życiem a śmiercią może być tak płynna i że ojciec ją właśnie przekroczył. Siedziała na krześle koło łóżka, obracając bezmyślnie w palcach plastikową torebkę, w której oddano jej jego obrączkę, zegarek i portfel. Nie wiedziała, co dalej.



Dzień pogrzebu był mroźny i pogodny. Oszronione drzewa skrzyły się w promieniach słońca, zmarznięte liście chrupały pod nogami sunących za trumną żałobników. Na kępce włosów wystających z nosa doktora Szczypiorskiego osadziły się kryształki lodu, nadawało mu to wygląd zatroskanego morsa. Miał na głowie futrzaną czapkę rosyjskich polarników i podtrzymywał troskliwie pod ramię matkę. Po raz pierwszy wydał się Agnieszce prawie sympatyczny. Była mu wdzięczna, że w sposób sam przez się zrozumiały przejął wszystkie obowiązki związane z pogrzebem, bo ku jej przerażeniu okazało się, że jest to nie tyle pożegnanie bliskiego człowieka, ile logistyczne wyzwanie. Jaka trumna? Czym wybita? Msza śpiewana? Wieńce czy wiązanki? Z szarfą czy bez? Napis na szarfi?

Doktor Szczypiorski zajął się wszystkim z takim samym zapałem, z jakim organizował sympozja i zjazdy koleżeńskie, a Agnieszka i jej matka odetchnęły z ulgą, szczęśliwe, że uwolnił je od koszmaru pertraktacji z grabarzami. Teraz wszystko było związane na ostatni guzik i doktora rozpieęła duma z dobrze wykonanego zadania. Ten pogrzeb był małym arcydziełem organizacyjnym, a on jego autorem. Cały promieniał i wręcz nie mógł się doczekać, kiedy zaprezentuje nieszczęśliwej wdowie rezultaty swoich wysiłków, jak w Wigilię pokazuje się dziecku świątecznie udekorowany pokój. Najchętniej kazałby jej zamknąć oczy i otworzyć dopiero przy obramowanym piramidami kwiatów grobie, za którym ustawiała się już orkiestra szkolna.

Agnieszka, żeby nie widzieć zadowolonego z siebie doktora Szczypiorskiego, wbiła wzrok w cmentarną ścieżkę. Leżały na niej pokryte szronem gałązki, podobne do tych, które tata kazał jej w dzieciństwie wkładać do szklanki z roztworem soli. Chciał, żeby rozumiała świat, a przede wszystkim, żeby zawsze zadawała sobie

pytanie: dlaczego? Dlaczego osadziły się na nich kryształki, Agu-niu? Dlaczego druty telegraficzne są zimą napięte, a latem nie? Dlaczego po deszczu ukazuje się na niebie tęcza? Dlaczego nie ma taty?

Doktor Szczypiorski, przejęty swoją rolą administratora rodzinnej tragedii, koniecznie chciał znaleźć odpowiedź na to pytanie. Matka już była skłonna wyrazić zgodę na sekcję, ale Agnieszka rzuciła się jej do oczu jak rozwścieczona kotka.

- Oboje chyba oszaleliście! Ani mi się wazcie kroić tatę! Chociaż po śmierci dajcie mu święty spokój!

Zaskoczony doktor Szczypiorski dukał coś o możliwości błędu w sztuce lekarskiej i konieczności ustalenia prawdziwej przyczyny zgonu, ale Agnieszka o niczym nie chciała słuchać. Nie mogła znieść myśli, że obce ręce będą dotykały udręczonego ciała ojca, wtargną do jego brzucha i wyszarpną wnętrzności. Na co umarł? Na zbędność. Na niedostatek miłości. Jego śmierć była taką samą pomyłką jak jego życie.

Za to pogrzeb był imponujący. Nauczyciel muzyki, profesor Robertowicz, przezywany „ciotką Robertą” ze względu na wypielegnowane siwe loki sięgające do ramion i wiązane pod szyją w artystyczne kokardy kolorowe fulary, wznosił ręce do góry. Chór zaintonował „Ave Maria”, a z oczu Agnieszki polały się łzy. Ulubiona pieśń taty, sama mu kiedyś podarowała płytę, której często słuchał, czytając swój „Testament Adama”. Dlaczego nigdy nie zapytała, co go w tej książce tak fascynuje? Tajemnicze obce kraje? Dalekie podróże? Fanatycy, którzy niestrudzenie szukali granic swojego ziemskiego więzienia?

Dlaczego tak rzadko z nim rozmawiała - a teraz jest już za późno?

Chór ucichł i na przód wysunęła się przewodnicząca samorządu szkolnego z kartką w ręku, którą ze zdenerwowania wciąż rozkładała i składała. Przez chwilę łąpała ustami powietrze jak ryba, głośno przełknęła ślinę i zezując w stronę kartki, przeczytała:

- Zebraliśmy się tutaj, żeby pożegnać pana profesora Oposzyńskiego, wielkiego pedagoga i przyjaciela młodzieży. - Nagle przerwała, potoczyła przerażonym wzro-

kiem po zebranych, załamała ręce i zawołała w stronę trumny, z której cicho jak płatki śniegu opadały kwiaty:

- Kiedy to takie niesprawiedliwe! Żeby akurat pan, panie profesorze! Myśmy pana kochali! Myśmy pana naprawdę kochali!

Schowała twarz w dłoniach i zanosła się szlochem. Ciotka Roberta przytomnie dała orkiestrze znak i rozległy się słodkie dźwięki Scherza h-moll, odwracając nieco uwagę od rozpaczającej przewodniczącej, ale wszystkie dziewczyny już płakały, obejmując się w poszukiwaniu pociechy. Trumna osunęła się do grobu, grabarze sprawnie wyciągnęli spod niej pasy i młode, przejęte twarze ustawiły się w długi korowód składających kondolencje.

- Był naszym ulubionym nauczycielem. Będzie nam go okropnie brakowało. Szkoła bez pana profesora to nie to samo.

Agnieszka w milczeniu dziękowała skinieniem głowy, ale z trudem tylko powstrzymywała się, żeby nie wykrzyknąć:

- Dlaczego, dlaczego nie powiedzieliście mu tego wcześniej?

Ziemia uderzała o wieko trumny z ohydny stukotem, od którego zrobiło jej się niedobrze. To przecież tata leżał w tej skrzyni, jego twarz oddzielała od żywych tylko warstwa desek, nie mogą go tak po prostu zagrzebać w piachu! Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale poczuła, że otacza ją czyjeś mocne ramię. Podniosła oczy i zobaczyła przez łzy zatroskaną twarz Artura, drżącą i rozpluwającą się jak odbicie w wodzie.

- Och, Artur - jęknęła - nie zniosę tego. Zacznę krzyczeć.

- Zniesiesz, nie masz pojęcia, ile człowiek jest w stanie znieść. Jesteś silna, zrobisz to dla niego. Na pewno byłby bardzo przygnębiony, gdybyś się załamała.

Do końca pogrzebu Artur trzymał ją w mocnym uścisku i ciepło jego ciała podziało na nią kojąco. Tylko na chwilę ją opuścił, żeby położyć na grobie wiązanek rdzawych chryzantem, którą doktor Szczypiorski za chwilę przywalił wieńcem grubym jak opona ciężarówki. Złoty napis na szarfię głosił: „Najlepsze z przyjaciół - Andrzej”.

Głupi pozer, pomyślała z niechęcią Agnieszka. Wcale nie byli przyjaciółmi. Zawsze traktował ojca z góry. Wyciągnęła spod wieńca wiązanek Artura i położyła ją na samym wierzchu.

Gdybyż to Gérard był tutaj. Wszystko byłoby wtedy o tyle łatwiejsze.

Ale Gerarda nie było. Nie wiedziała nawet, czy już doszła do niego wiadomość o śmierci ojca, czy w ogóle otrzymuje jej listy. Coraz rzadziej odpisywał. Znalazł nową pracę w Marsylii i zamierzał się tam przeprowadzić, ale jeszcze nie znalazł mieszkania. Kiedy po powrocie z pogrzebu, szukając pociechy, ułożyła na łóżku całą korespondencję z ostatnich tygodni, musiała ze smutkiem stwierdzić, że nie było tego wiele. Trzy pocztówki z Paryża, dwie z Owernii i jeden list z Marsylii. Raz do niej zadzwonił i raz przysłał kwiaty. Ona sama napisała w tym czasie prawie trzydzieści listów.

Patrząc na skromną garstkę kartek, poczuła, że żołądek podjeżdża jej ze strachu do gardła.

W następnych dniach doktor Szczypiorski praktycznie od nich nie wychodził, więc o każdej porze dnia i nocy musiała znosić widok kłaków wystających z jego nosa i uszu.

Matka oddała się z zapałem tworzeniu legendy o zmarłym mężu. Nie była z nim szczęśliwa, przynajmniej nie w ostatnich latach, nie potrafiła go ani kochać, ani szanować, dopóki żył, ale teraz widocznie zamierzała zostać oddaną mu wdową. Agnieszka nie wierzyła własnym uszom, kiedy matka powiedziała do niej z przekonaniem: -Był takim dobrym, wartościowym człowiekiem! Byłabym szczęśliwa, gdybyś trafiła na takiego partnera.

- Wielka szkoda, że nie powiedziałaś mu tego, kiedy jeszcze żył -odparła zjadliwie Agnieszka i wcale się nie zdziwiła, gdy matka wyszła z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

Nie mogła pozbyć się wrażenia, że ojciec musiał dopiero umrzeć, żeby zaczęto go doceniać. Zgłaszali się różni ludzie - koledzy ze studiów, towarzysze broni z czasów wojny - i obraz ojca, który pojawiał się w ich wspomnieniach, zupełnie nie przypominał szarego człowieczka wciśniętego w fotel i schowanego za gazetą.

W tydzień po pogrzebie złożył im wizytę dyrektor szkoły.

- Bardzo nam wszystkim brak Olka - powiedział, przecierając nerwowo chusteczką szkła okularów. - Szkoła bez niego to nie to samo. Panie na pewno wiedzą, że prowadził u nas kółko literackie i teatralne? Przygotowywał z uczniami „Wariatkę z Chaillot”, premiera miała być na wiosnę. Próbuję kontynuować, ale już czuję, że nie dam rady, nic nie zastąpi jego charyzmy. Aktorzy sztywnieją w mojej obecności.

Oczywiście nie wiedziały o tym. Myślały, że siedzi godzinami w szkole, bo poprawia klasówki albo dał się wrobić w zastępstwo, którego nikt nie chciał się podjąć.

- Sądzę, że właśnie za to go uczniowie kochali. Za ten świat poezji i teatru. Lepszy, piękniejszy świat, który przed nimi otwierał. I za odwagę. Nie bał się głośno mówić, co myśli. Działał w KOR-ze i wcale tego nie ukrywał. Nawet przewodniczący

ZSMP, ten gruby z dziesiątej, Maciek Dzikiewicz, nie odważył się na niego donieść. Wiedział, że koledzy by go rozszarpali.

Matka i Agnieszka wymieniły zaskoczone spojrzenia. Działacz opozycyjny? Ojciec? Ten sam Gichy człowiek, z którym spędziły pod tym samym dachem tyle lat?

- Oczywiście panie lepiej o tym wszystkim wiedzą niż ja, ale chciałem panie zapewnić, że my w szkole, grono i uczniowie, podziwialiśmy go za jego bezkompromisowość. Wszyscy jesteśmy rozdarci pomiędzy świadomością, że nie wolno nam milczeć, i naszą słabością, szczególnie w pracy pedagogicznej jest to trudne, bo jak tu wychować młodzież w poszanowaniu istniejącego prawa, a zarazem wartościową i odważną? A Olek tę odwagę praktykował na co dzień, uczył, że trzeba walczyć z dyktaturą głupoty, wierzyć, że przyjdzie lepsze, uczciwsze życie. W końcu kosztowało go to karierę, wtedy, po sprawie Orłosiowej, ale po co ja to wszystko paniom mówię, przecież wy same najlepiej...

- Orłosiowej? - przerwała mu matka - Co było z Orłosiową? Wiem tylko, że oboje nie żyją, Orłosiowa i jej mąż. Olek był z nimi bardzo zaprzyjaźniony, bywali u nas, ich śmierć była dla nas wielkim szokiem.

- Nie była pani na pogrzebie?

- Niestety nie, termin kolidował z jakimś sympozjum.

-I mąż w domu nic nie opowiedział?

Matka rozłożyła bezradnie ręce. Od dawna niczego jej nie opowiadał. Szczerze mówiąc, od dawna nikt go nie słuchał, ale jak to powiedzieć dyrektorowi?

- Mój mąż był bardzo małomównym człowiekiem, proszę pana. Samotnikiem. Przynajmniej w domu.

Dyrektor poważnie pokiwał głową. Uczył od wielu lat i wiedział, że między reakcjami człowieka w domu i w miejscu publicznym może być ogromny rozdźwięk. Najbardziej agresywni uczniowie okazywali się czasami wzruszająco czułymi synami i braćmi. W szkole tłukli kolegów, ile weszło, a w domu sadzali młodsze rodzeństwo na nocniczek i popychali wózek sparaliżowanej babci. On sam uważany był ogólnie

nie za moralistę i wolałby, żeby nikt się nie dowiedział o jego młodziutkiej przyjaciółce, dzięki której wróciły mu siły i dawna energia.

- W domu, tak, w domu człowiek chciałby oszczędzić najbliższemu niepokojowi.

Coś na ten temat wiedział.

-Pan dyrektor wspomniał o pogrzebie państwa Orłosiów -przypomniała mu Agnieszka. Jako dziecko bardzo lubiła panią Orłosiową, nazywała ją ciocią Izą. Ciocia Iza znała mnóstwo pięknych bajek i znajdowała dla niej pod jałowcami czekoladki w srebrnych papierkach. Twierdziła, że tam rosną, jak maślaki. Przez wiele lat Agnieszka sumiennie schylała się nad każdym jałowcem, ale czekoladki rosły tylko dla cioci Izy.

Długo nie zdawała sobie sprawy z tego, że ciocia Orłosiowa i Iza Szlossberg to jedna i ta sama osoba. Nazwisko Szlossberg padało czasami z ust ojca, kiedy opowiadał o wojnie, która - tak się przynajmniej wówczas Agnieszce wydawało - musiała się toczyć przed wiekami. Iza Szlossberg z tamtych opowiadań uciekła z miejsca nazywanego gettem i przez całą wojnę ukrywała się przed Niemcami. Miała fałszywe papiery, o których ojciec mówił „aryjskie”, kościelną metrykę urodzenia i świadectwo chrztu. Siostry zakonne nauczyły ją „Ojcze nasz” i wyszukiwały dla niej kolejne kryjówki u chłopów. Były to historie o głodzie, szantażystach, akowcach, partyzantach i tych, którzy w Treblince albo Oświęcimiu „wyszli przez komin”. Agnieszka nie wiedziała, co to znaczy „wyjść przez komin”, i wyobrażała sobie wysportowanych młodych ludzi, którzy wspinali się ku niebu po fabrycznym kominie. Często też padało słowo „Żyd”, którego nie rozumiała, bo żadnego z nich nigdy nie poznała. Musiało się z nim wiązać coś niedobrego, gdyż byli ścigani, zamykani w obozach i zabijani. Najprawdopodobniej musieli zrobić coś okropnego - napluć w kościele na hostię albo wyrzucić krucyfiks na śmietnik.

Słowo „Żyd” widywała też w pamiętnikach koleżanek, które dostawała do wpisania się. Pamiętniki miały kolorowe okładki i strony ze złożonymi brzegami. Pamiętnik Elżuni z tej samej ławki miał nawet małą kłódeczkę i można go było zamknąć na klucz, czego wszystkie dziewczynki Elżuni bardzo zazdrościły. Był tak piękny, że

Agnieszka nie odważyła się wymyślić własnego wierszyka i przekaligrowała starannie strofki z pamiętnika Bożenki:

|                         |                         |
|-------------------------|-------------------------|
| <i>Na górze róże,</i>   | <i>Na górze róże,</i>   |
| <i>na dole fiołki,</i>  | <i>na dole cytryny,</i> |
| <i>kochajmy się</i>     | <i>wypędzaj Żydów</i>   |
| <i>jak dwa aniołki.</i> | <i>do Palestyny.</i>    |

Wkleiła zasuszony fiołek, ozdobiła tekst szlaczkiem z róż i zadowolona z siebie pobiegła w podskokach do ojca, żeby się mu pochwalić.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyła go naprawdę rozszuszczonego. Poblądł ze zdenerwowania, potrząsnął ją szorstko za ramiona i zawołał:

- Głupia, niedobra dziewczucha! Jak mogłaś napisać coś równie paskudnego? Kogo ty chcesz wypędzać do Palestyny? Żydów? Jakich Żydów, ciocię Izę? Znasz poza nią jakichkolwiek innych? Nie znasz, bo już ich nie ma, Niemcy wszystkich zagazowali w Oświęcimiu albo rozstrzelali w getcie. Ciotka Iza przeżyła piekło, cudem się uratowała, a ty chcesz ją wypędzić do Palestyny?

Agnieszka uderzyła w ryk, okropnie poniżona i nieszczęśliwa. Oczywiście nie chciała, żeby ciocia wyjechała, nie rozumiała tego, co przepisała, wierszyk wydał jej się miły i niefrasobliwy. Ale od tej pory patrzyła na ciocię Orłosiową zupełnie innymi oczami, z mieszaniną podziwu i grozy. Słowo „piekło” nabrało dla niej teraz zupełnie innego znaczenia: „piekło” było miejscem, w którym kiedyś przebywała ciocia Iza i z którego można było wyjść tylko przez komin.

Orłosiów znalazła pani Jadzia, ich gospoia. Trzymając się zgodnie za ręce, leżeli na starannie poślany łóżku, on w swoim najlepszym trzyczęściowym garniturze, ona w kostiumiku, który zakładała tylko na koncerty i akademie. Na stoliku nocnym stał bukietek fiołków, co przez długi czas nie dawało Agnieszce spokoju. Czy to nie dziwne, że człowiek szykujący się do samobójstwa kupuje sobie kwiaty? Dlaczego ciocia



Iza to zrobiła? O czym przy tym myślała? Że umierając, będzie na nie patrzeć? Że będą żyły dłużej niż ona sama?

Otruli się cyjankiem potasu, być może nawet tym samym, który ciotka Iza nosiła na szyi w czasie wojny. Zostawili list oskarżający rząd. Był burzliwy rok 1968 i władze rozpętały bezprzykładną nagonkę na Żydów, obciążając ich odpowiedzialnością za zamieszki na uczelniach. Także i Orłosiom zarzucono syjonizm, działanie na szkodę socjalistycznej Polski i szpiegowanie na rzecz Izraela. Stracili pracę i legitymacje partyjne, pod drzwiami mieszkania znajdowali na wycieraczce kartki: „Żydy do Izraela”. Czego mieli szukać w Izraelu? Co z nich byli za Żydzi? Czuli się tylko Polakami, nie chodzili nawet do synagogi.

„Do tej pory śnię o wojnie i budzę się z krzykiem” - napisała ciotka Iza w swoim liście. „Straciłam w niej prawie wszystkich swoich bliskich, ale przeżyłam - choć nie zapomniałam. Niemcom nie udało się mnie ani zniszczyć, ani zaszczuć. Nie pozwolę, żeby udało się to Polakom”.

- O tym wszystkim mówił pani mąż podczas pogrzebu. - Dyrektor zaciekle polewał szkła okularów. - O tym, jak razem budowali naszą szkołę po wojnie, własnymi rękami, cegła po cegle. O wielkim zaangażowaniu Izy, jej trosce o los każdego ucznia. I jak absurdalne były stawiane jej zarzuty, bo czuła się Polką i absolutnie nie była związana z Izraelem. Owszem, miała tam paru krewnych i znajomych, prowadziła z nimi korespondencję, ale to wszystko. Powiedział dosłownie: „Izo, spotkała cię wielka niesprawiedliwość. Jaka szkoda, że nie starczyło ci cierpliwości, by poczekać, aż historia przyzna ci rację. Głęboko wierzę, że któregoś dnia ci, którzy są winni twojej śmierci, staną przed sądem i zostaną ukarani. Władza, która zabija swoich najlepszych obywateli, nie może trwać wiecznie”.

Dyrektor umilkł, myśląc o tamtym pogodnym, majowym dniu, w którym szkoła pożegnała Izę Schlossberg i zdecydował się los Olka Oposzyńskiego. A teraz Olek też odszedł. Trudno w to uwierzyć - ileż mógł mieć lat? Pewnie tyle, co on sam. Coraz częściej bywa na pogrzebach ludzi w swoim wieku, a nawet i młodszych. To przez ten

cały cyrk socjalistyczny ludzie tak się wykruszają: źle jedzą, źle się leczą, źle żyją. Umierają młodo, bo żyć nie ma po co. Na Zachodzie taki pięćdziesięciolatek jest mężczyzną w sile wieku, u nas starcem. Ale on sam ma na szczęście Agatę, która mu przywróciła młodość i siły. Zobaczy ją dziś wieczorem, przytuli do siebie i poczuje się, jakby znowu miał dwadzieścia pięć lat: Agata, Agatka, Agusia...

- Na pewno panie wiedzą, że to Olek miał zostać dyrektorem. Po pogrzebie Orłosiowej mowy o tym, oczywiście, nie było. Musiał się cieszyć, że z pracy go nie wywalili. Kiedy mu to nasza organizacja partyjna zakomunikowała, powiedział tylko:

- Panowie, żyjemy w nerwowych czasach i nie należy tracić głowy. Ale nie tracąc głowy, trzeba uważać, żeby nie stracić twarzy.

Tak im prosto w oczy powiedział. Olek był wielkim człowiekiem, proszę pań. Największym z nas wszystkich.

Dyrektor dawno już wyszedł, a one wciąż jeszcze siedziały w milczeniu przy stole. Matka potrząsała od czasu do czasu głową, jakby nie mogła uwierzyć w jego słowa. W końcu rozłożyła bezradnie ręce i powiedziała z rozpaczą:

- No i powiedz mi, Agnieszko, jak ja mam teraz z tym żyć?

**Z listu Gerarda:**

*Moja najmilsza Agnès, z wielkim żalem dowiedziałem się o Twojej stracie. Przyjmij moje najserdeczniejsze wyrazy współczucia. Wysłałem przez Fleurop kwiaty, połóż je, proszę, na grobie Twojego ojca. Niestety, nowa praca absorbuje mnie całkowicie i mój przyjazd nie jest w tej chwili możliwy. Ucałowania - Gérard*

Miesiące, które nastąpiły po śmierci ojca, Agnieszka nazywała później w myślach zimą swojej goryczy. Nie mogła się pogodzić z tym, że umarł, zanim zdążyła mu powiedzieć, ile znaczył w jej życiu. Prowadziła z nim w myślach niekończące się rozmowy, z poczuciem klęski, bo na wszystko było za późno. Przeszedł przez życie cicho i nieśmiało, i dopiero po śmierci zajął w rodzinie tę pozycję, która mu się należała.

Nie brałyśmy go na serio, myślała z goryczą. Lekceważyłyśmy go. Ukarzał nas za to. Będziemy musiały z tą świadomością żyć i niczym nie możemy zmasać naszej winy.

Ból czynił ją głuchą i ślepą na wszystko, co działo się dookoła, ale nie na tyle, by nie zauważyć, że kartki od Gerarda przychodzą coraz rzadziej i są coraz bardziej lakoniczne. Początkowo tłumaczyła sobie wysychający nieubłagany strumyczek wiadomości cenzurą i opieszałością poczty. Łudziła się, że jest to związane ze zmianą pracy - na jaką, nie miała nawet pojęcia - ale mijały miesiące i odstępy między kolejnymi wiadomościami tylko rosły. Gérard odsuwał się od niej.

- Co pisze? - chciała wiedzieć matka.

- Jak zwykle. Nic nowego.

Badawcze spojrzenie matki ogromnie ją złościło. Wydawało jej się, że dostrzega w nim współczucie, ale i wyrok. Równie dobrze matka mogłaby otwarcie powiedzieć: „Moje biedne dziecko, przestań się oszukiwać. Ten chłopak dawno już o tobie zapo-

mniał. No i chwała Bogu - francuski mechanik, też coś! Doprawdy, zasługujesz na kogoś lepszego".

- Odezwie się, na pewno się odezwie - pocieszała ją Aśka. -Może jest chory? Albo wyjechał do jakiegoś departamentu zamorskiego, na Gwadelupę albo Martynikę? Odezwie się chociażby dlatego, że podarował ci pierścionek wielkiej wartości. Czegoś takiego nie daje się ot, tak sobie, to najlepszy dowód, że jego zamiary były poważne.

- Och, Aśka, to wcale nie jest pierścionek od Gerarda. Mama mi go dała, należał do prababci.

Aśka spojrzała się na nią dziwnie, ale nic nie powiedziała.

- Napisz do jego rodziców. Albo do dziadków. -Nie znam ich adresu.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak mało o nim wiedziała. Właściwie nic. Była zdecydowana spędzić z nim życie, ale nie miała pojęcia, gdzie szukać jego rodziców. Nie grało to zresztą żadnej roli - cóż miała im powiedzieć, gdyby ich znalazła? Że Gérard przestał ją kochać? Że tak się skończyły jej marzenia o elfie z Ar-goat?

Nie istnieje nic żałośniejszego od porzuconej kobiety. Także i z tym będzie musiała żyć.

Aśka jednak nie dawała za wygraną. Intensywnie przeżywała miłość Agnieszki i nie mogła uwierzyć, że tak mogłaby się skończyć. Każda inna, ale nie ta. Agnieszka musiała się mylić, Gérard jej nie opuścił. Zginął w wypadku samochodowym albo został uprowadzony na Martynice przez rastafarian, którzy zrobili mu pranie mózgu. Mogli to też być powstańcy na Gwadelupie, tam też nie było spokoju.

Najbardziej podobała się Aśce wersja, w której Gérard miał kraksę na autostradzie i stracił pamięć w wyniku odniesionej kontuzji. Wiódł teraz życie samotnego szypca na kanałach Burgundii albo hodowcy owiec na bezludnych płaskowyżach Owernii, nie mając pojęcia, kim przedtem był. Wtedy Agnieszka mogłaby go odszukać i wszystko mu przypomnieć.

Im dłużej rozmyślała nad tą hipotezą, tym bardziej wydawała jej się prawdopodobna. Z pewnością tak właśnie było, musiało być. Biedny Gérard po prostu o wszystkim zapomniał.

Podczas następnego pobytu we Francji Aśka poruszyła niebo i ziemię, żeby odnaleźć Gerarda. Ani w Paryżu, ani w Marsylii, ani w Owernii nie udało się jej natrafić na jego ślad, chociaż zadzwoniła chyba do wszystkich firm, które kiedykolwiek wyprodukowały dźwig albo windę. Być może zmienił zawód albo tych dźwigów i wind było więcej.

Zdesperowana kupiła rozklekotanego citroena 2 CV z korbką pod maską i ruszyła do Bretanii. Na kolanach miała rozłożoną mapę, w głowie opowieści Agnieszki: Finistère, Argoat, Las Brose-liandu, rodzina Leclerców, hortensje. To chyba nie może być takie trudne?

Było trudne. Leclerców i hortensji w Bretanii nie brakowało, wyglądało na to, że szuka igły w stogu siana. Przynajmniej był to bardzo piękny stóg i krążenie po nim sprawiało jej przyjemność. Teraz zrozumiała, dlaczego Agnieszka mówiła o krainie elfów, jej też by nie zdziwiło, gdyby nagle wychynęły z zarośli janowca. Być może nigdy nie znajdzie Gerarda, ale z całą pewnością spędzi pełne emocji wakacje.

A jednak go odnalazła. W momencie, kiedy kompletnie straciła nadzieję i już tylko z poczucia obowiązku rozpytywała ludzi o Leclerców, chłopak na stacji benzynowej w Pont-l'Abbé odpowiedział bez wahania:

- Dom Leclerców? Tam, gdzie mieszka stara Honorine? Za kalwarią na lewo i cały czas prosto przez las. Stąd może piętnaście kilometrów. Ale niech się pani pośpieszy, po nocy będzie pani trudno przejechać po tych wybojach.

A rzuciwszy okiem na jej wehikuł, dodał:

- Szczególnie tym samochodem.

Dom dziadków Gerarda rozpoznała bez trudu. Wszystko było takie, jak jej Agnieszka opowiadała: ściany z nieociosanych kamieni, pokryty łupkiem dach, nie-

bieskie okiennice, koronkowe firanki. Nagle się zawahała. Wjechała w krzaki i wysiadła. Co teraz? Zapuka do drzwi i co powie? Przepraszam, czy Gérard nie żyje? A może przypadkiem cierpi na amnezję w dalekiej Owernii? Idiotyczne.

W tym momencie drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Gérard. Żywy i na oko zdrowy. Nie wyglądało też na to, żeby stracił pamięć, przynajmniej nie na tyle, żeby nie mógł znaleźć drogi do domu. Aśka już ruszyła w jego stronę, kiedy z sieni wyłoniła się młoda kobieta. Ani trochę nie była podobna do Agnieszki. Miała krótkie, kręcone włosy, śniadą skórę i smukłą figurę, tylko trochę zniekształconą przez ciążę. Zawołała coś do Gerarda i zarzuciła mu ręce na szyję, a on się roześmiał i uniósł ją do góry. Miała zgrabne kostki i bose stopy.

Aśka wycofała się cicho do samochodu. No i tak to się skończyło, po prostu tak.

Co w naszym życiu jest przypadkiem, co świadomym wyborem, a co przeznaczeniem?

W przyszłości Agnieszka nieraz będzie szukała odpowiedzi na te pytania, próbując zrozumieć, jakie zrządzania losu, kaprysy fortuny i zbiegi okoliczności złożyły się na logiczną całość i doprowadziły ją do małego niemieckiego miasteczka o nazwie Erlenbach i do Hagena.

Gdyby ogród *madame* Grinicz nie przylegał do ogrodu babki, być może nigdy nie nauczyłaby się francuskiego i nigdy nie poznałaby Gerarda. Oszczędziłoby to jej wiele bólu, ale też i zubożyło o doświadczenia, które pragnęła na zawsze zachować w pamięci.

Gdyby nie umarł ojciec, najzdrowszy na świecie człowiek, doktor Szczypiorski nie zagnieździłby się w ich mieszkaniu, a matka nie uciszałaby swojego sumienia w jego pokrytych czarną szczecina ramionach. Pełna niesmaku Agnieszka zaczęła się poważnie zastanawiać, czy przypadkiem nie jest im całkowicie zbędna, a może wręcz zawadza.

Gdyby, opuszczona przez ojca i porzucona przez Gerarda, nie czuła się tak rozpaczliwie samotna, zapewne nigdy nie zdecydowałaby się na wyjazd do Niemiec. Ale Agnieszka była samotna i bezgranicznie nieszczęśliwa, toteż kiedy Aśka, ten geniusz przedsiębiorczości, zaproponowała jej pracę w ogródku piwiarni w Ober-Ramstadt, nie zawahała się ani przez chwilę.

Gdyby dom babki w Falenicy leżał po drugiej stronie torów -czy jej życie potoczyłoby się zupełnie inaczej? A może los dawał jej coraz to i nową szansę, żeby je odmieniła, tylko nie wiedziała o tym? Co by było, gdyby nie dała panu Arnaud po pyzku, tylko w spokoju ducha pozwoliła mu obmacywać swoje piersi? Czy i wtedy zatrzymałby się przed nią volkswagen Gerarda, na Bulwarze Malesherbes, na przykład? Czy ojciec żyłby jeszcze, gdyby okazywała mu więcej miłości? A przede wszystkim: jaki oczekiwałby ją los, gdyby ciotka Aśki nie przypomniała sobie nagle, że jest właściwie prawdziwą Niemką ze śląskiego Schweidnitz\*<sup>12</sup> i nie osiedliła się w malowniczym Odenwaldzie? Gdyby nie ten powrót ciotki do niemieckich korzeni, Aśka nie dysponowałaby całym wachlarzem adresów restauracji, których właściciele z otwartymi ramionami czekali na czystą, robotną i pracującą za grosze Polkę. I wreszcie, jaka czekałaby ją przyszłość, gdyby Hagen usiadł nie przy jej stoliku, tylko przy stoliku Gabrysi, Gosi albo Jitki? Gdyby nie rozłożył na kolanach ostatniego numeru „Figara”? Jej wzrok spoczął na francuskiej gazecie, kiedy przyjmowała zamówienie - pilzner, sznycel po wiedeńsku, sałatka - i zapytała z nadzieją w głosie:

- *Vous êtes Français, monsieur?*\*<sup>13</sup> - a Hagen, zaskoczony, odpowiedział:

- *Ah non, mademoiselle. Mais je passe souvent mes vacances en France. Un pays de rêve*\*<sup>14</sup>.

Jedno było pewne: w momencie, kiedy rozradowana zawołała:

---

<sup>12</sup> \* Świdnicy

<sup>13</sup> \* Czy pan jest Francuzem?

<sup>14</sup> \* Ach nie, ale spędzam często we Francji wakacje. Bajeczny kraj.

- *Je suis tout à fait de votre avis!*<sup>\*15</sup> - przypieczętowała swój los. Zupełnie, jakby przeznaczenie rozłożyło ręce i oświadczyło:

- No więc dobrze, moja droga: sama chciałaś. Nieraz dawałem ci szansę to i owo zmienić w mojej koncepcji, ale z niej nie skorzystałaś. Jak nie, to nie. Radź sobie teraz dalej sama.

Agnieszka była uszczęśliwiona. Nareszcie spotkała kogoś, kto mówił językiem Racine'a i Baudelaire'a, kogoś, z kim mogła się swobodnie porozumieć. Jej szkolny niemiecki był pozałowania godny. Nie lubiła tego języka. Nie dało się polubić języka, którego uczyła pani Szwarc.

Pani Szwarc miała gorejące wieczną złością oczy i wzburzone włosy, jakby uniósł je powiew orkanu. Odpowiadało to zresztą prawdzie, w czasie wojny pani Szwarc znalazła się w samym oku cyklonu, w Oświęcimiu. Otarła się tak blisko o śmierć, że groza na zawsze spiętrzyła jej włosy i pozostawiła w jej sercu miejsce już tylko na gniew. Widziała, jak wysyłają jej męża i półroczną córeczkę do gazu, ale nie dane jej było umrzeć razem z nimi. Wzbudziła zainteresowanie doktora Wernera, oddanego całym sercem nauce lekarza, którego badania miały zrewolucjonizować medycynę. Pani Szwarc, prawie lilipuciego wzrostu i z nietypowym rozmieszczeniem nerki, była jednym z jego najciekawszych królików doświadczalnych. Dla dobra nauki zarażał ją kolejno rzeżączką, syfilisem i tyfusem i nie posiadał się z zachwytu, że jego ulubiona pacjentka, nafaszerowana po uszy gonokokami, krętkami bladymi i prątkami Kocha, ważąc zaledwie trzydzieści kilo, wciąż jeszcze uparcie żyła.

Spotkanie doktora Wernera w Norymberdze sprawiło pani Szwarc dużą przyjemność. Z radością złożyła drobiazgowo zeznania - pamiętała wszystko. Była tylko trochę rozczarowana, że go po prostu powieszono: wolałaby, żeby umierał powoli. Dało-

---

<sup>15</sup> \* Całkowicie się z panem zgadzam!



by mu to okazję do lepszego poznania istoty cierpienia, którym tak hojnie ją obdarował.

*Madame Grinicz* uczyła francuskiego z miłości, pani Szwarc uczyła niemieckiego z nienawiści.

- Zawsze jest lepiej znać język wroga - oznajmiła na pierwszej lekcji. - Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

W tych warunkach Agnieszce nigdy nie udało się go pokochać, a język niekochany mści się i nie daje się przyswoić. Patrząc na panią Szwarc, widziała dymy krematorów i nie była w stanie nauczyć się najprostszycich słówek. Po sześciu tygodniach w Niemczech jej słownictwo ograniczało się do spisu potraw i pytania: „Czy państwu smakowało?”.

Dlatego ucieszyła się ogromnie, że chociaż z Hagenem przestała być niema. Jemu też ta rozmowa sprawiała widoczną przyjemność, przedłużał posiłek w nieskończoność, zamówił aż dwa desery, a w końcu zaproponował, że poczeka, aż Agnieszka skończy pracę i zabierze ją na festyn do pobliskiego Darmstadt. Jest tam Kolejka Górską, Wielkie Koło i Tunel Duchów, całe miasto stoi na głowie. Agnieszka koniecznie musi to zobaczyć.

Agnieszka, która od przyjazdu do Niemiec przeżyła tylko jedną atrakcję - polską mszę - zarumieniła się z radości i odparła, że to bardzo dobry pomysł. Zdmuchnęła spadające na czoło włosy, bo w rękach trzymała akurat stos brudnych talerzy i obdarzyła Hage-na promiennym uśmiechem.

- Słońce wschodzi! - zawołał zachwycony. Jeszcze nigdy nie widział dziewczyny, która rumieniłaby się z przejęcia i szczerze mówiąc, zawsze myślał, że jest to tylko literacka metafora. Była urocza, z tymi dołeczkami w policzkach, grubym warkoczem przerzuconym przez ramię i kciukami zanurzonymi w resztkach sosu. Przyciskała talerze do piersi, a cóż to była za pyszna pierś! Ledwie przykryta głęboko wyciętą białą bluzeczką dirndla\*<sup>16</sup>, opięta sznurówką czarnego stanika, krągła jak dojrzałe jabłko.

---

<sup>16</sup> \* tradycyjny strój bawarski

Ta śliczna mała, mówiąca pięknym francuskim i przerażającym niemieckim, wyglądała w bawarskim dirndlu jak Heidi z gór, uosobienie męskich fantazji, alpejska ślicznotka.

- Słońce? - zapytała oszołomiona piękność. - Słońce przeszkadzać? Parasol przynieść?

- To taki niemiecki zwrot - wyjaśnił Hagen. - *Une locution*, rozumie pani? Oznacza mniej więcej tyle, że świat się rozjaśnia, kiedy się pani uśmiecha. Jakby ukazało się słońce.

- Bardzo ładny zwrot, taki poetyczny. Dziękuję panu.

- Agnes! - od strony kuchni rozległ się ryk pani Baumkotter, właścicielki „Ogródka Monachijskiego”. Agnieszka wzdrygnęła się. Ile razy zamknęła oczy, widziała swoją szefową w oficerkach, z pejczem w rękę i owczarkiem przy boku. W innych czasach pani Baumkotter byłaby ozdobą każdego obozu koncentracyjnego, miała naturę poganiacza niewolników. Owczarek rzeczywiście istniał, piękne zwierzę

Omądrych bursztynowych oczach i imieniu Merlin. Większość czasu spędzał na tarasie, z głową opartą na skrzyżowanych jak do modlitwy łapach. Kiedy w drzwiach pojawiała się pani Baumkotter, odprowadzał ją tęsknym spojrzeniem - naprawdę ją kochał. Na próżno jednak rwało się do niej jego serce: przepisy sanitarne, alergie gości

1łękliwość dzieci zabraniały mu wstępu do restauracji. Cierpiał więc w milczeniu. Dla Agnieszki był dobrym przykładem, jak bardzo mentalność niemiecka różniła się od francuskiej. We Francji przeróżne przepisy też niewątpliwie istniały, ale nikt się nimi nie przejmował i na wystawach cukierni spały tłuste koty.

W Niemczech było to absolutnie wykluczone, choć odniosła wrażenie, że zwierzęta traktowano tu znacznie cieplej niż dzieci. Widywała starsze panie padające na kolana przed pekińczykiem w szydełkowej kamizelce, ale nigdy przed niemowlakiem. Niemowlaki budziły ich nieufność. W każdej chwili mogły narobić wrzasku albo nasikać człowiekowi na spódnicę.

---

Pani Baumkotter też nie znosiła dzieci. Uśmiechała się do nich ze słodyczą - klient to klient - ale ze szczelnie zaciśniętymi szczękami. Jej powściągliwość nie była bezpodstawna. W obecnych czasach rodzice kompletnie nie mieli swojego przychówku pod kontrolą. Bachory były rozpuszczone jak dziadowski bicz, przyklejały do krzesel gumę do żucia, przewracały doniczki z kwiatami i próbowały wyrwać ogon Edwinowi. Edwin był prawdziwym pawiem, ozdobą „Ogródka Monachijskiego” i miał bardzo skomplikowaną osobowość.

Merlin reagował nawet na jej szept, wystarczyło, żeby syknęła cicho „psst”, i już się podnosił. Na swoje dzieci też nigdy nie podnosiła głosu, wyrosły bez tego na porządnych ludzi. Uta wyszła za mąż za dyrektora fabryki słonych paluszków i była przykładną matką trzech dziewczynek, a Wolfgang piastował odpowiedzialne stanowisko w urzędzie finansowym. Za to na tę rozmarzoną Polkę musiała krzyczeć nieustannie.

- Agnes! Czyś ty ogluchła? Stolik numer pięć od godziny czeka na białą kiełbasę, a dziesiątka piwa nie może się doprosić!

- Już leczę, już leczę, pani Baumkotter! - zawołała wesoło Agnieszka. Przerzuciła warkocz przez ramię, wsunęła ołówek za ucho, za-furkotała spódnicą dirndla i już jej nie było.

Czarująca! Samo życie!, wykrzyknął w duchu Hagen i z miejsca się zasepił. Jak tu zwrócić na siebie uwagę tak pięknego stworzenia? W porównaniu z przypominającą soczyste jabłko Agnieszką poczuł się okropnie nijaki. Prawda była taka, że dziewczyny niby to szukały solidnych i wrażliwych, ale w łóżku chciały mieć kawał chłopca. Hagen był dla nich po prostu za chudy.

Podczas gdy połowa ludzkości katowała się dietami, on sam mógł jeść jak drwal i nadal pozostawał chudy jak szczapa. Był bardzo wysoki, ale spodni musiał sobie szukać w dziale dziecięcym, wśród konfekcji dla przerośniętych nastolatków. Sprzedawczynie obrzucały go pogardliwym wzrokiem i mówiły:

- Jak ja panu mówię, że w męskim pan nic nie znajdzie, to ja już wiem, co ja mówię. Pan pójdzie do dziecięcego.

Upokarzało go to ogromnie. Wydawało mu się, że chcą mu w ten sposób dać do zrozumienia, że nie uważają go za mężczyznę. Raz nawet usłyszał, jak blondyna z krwawymi pazurami szepcze do koleżanki o wardze przebitej kolczykiem:

- Takie pięć minut! Pomyśl pani, pani Fischer, co on tam w ogóle może mieć w tych spodniach!

Zakolczykowana rozchichotała się ochryple, a jej sztuczny diament rozkołysał się przy tym jak monstrualny pryszcz. Hagen miał nadzieję, że za chwilę pęknie i tryśnie z niego ropa. Życzył jej tego z całego serca. Kobiety potrafiły być bezlitosne. W jego życiu wszystkie kobiety były bezlitosne: mama, Tilly, Karen.

Przede wszystkim Karen.

Na myśl o Karen poczuł ostre drzazgi wbijające się w jego serce i zapiekły ból, jak wciąż powracający atak ischiasu. Dlaczego ludzie mówią, że czas goi rany? Jego rany czas tylko rozdrapywał. Nikt nie przyzwyczaja się do cierpienia tylko dlatego, że trwa wystarczająco długo. To, co mu zrobiła Karen, nie stało się z latami ani mniej podłe, ani mniej bolesne. Ale ta dziewczyna w dirndlu -jak ją nazwała szefowa? Agnes? - no więc ta Agnes ani trochę nie przypominała Karen. Karen była twarda jak hartowana stal, ta natomiast miała w sobie jakąś wielką łagodność, coś ciepłego. Jak się na nią człowiek patrzył, przychodziły mu na myśl takie rzeczy, jak świeżo upieczony chleb, chabry na łące i świeżo wyklute kurczęta.

Agnes. Ładne imię. Po grecku oznacza „cnotliwa”.

Agnieszka z kolei doszła do wniosku, że gość przy stoliku numer siedem jest bardzo miły. Miał sympatyczny uśmiech, ładnie wykrojone usta i interesująco zrośnięte brwi. No, może linia podbródka była nieco za miękka. Stanowczo był też za chudy, matka, żona, kochanka powinny były go trochę podtuczyć. Ona by tam w niego wpychała pierogi, kluski i wypieki, aż nabrałby ciała.

Gérard był wprawdzie wspaniałym męskim zwierzęciem, wszystko w nim było gładkie i twarde, krągłe i oszalamiające, ale co z tego miała? Cóż, nie przyjechała tutaj, żeby myśleć o Gerardzie, tylko żeby o nim zapomnieć. Wyleczyć się z niego jak z przewlekłej choroby, usunąć z serca ostatni strzępek miłości. Jak przy skrobance. Fe-

styn w towarzystwie tego nieznanego z niedowagą i dobrą znajomością francuskiego mógł jej przy tym pomóc. W każdym razie wszystko było lepsze od kolejnego wieczoru spędzonego ze świętą Gabrysią w pokoiku na poddaszu.

- Być wolna o dziesiątej - szepnęła do ucha Hagen, spiesząc z białą kiełbasą do stolika numer pięć. Staniczek jej dirndla znalazł się tuż przed jego nosem. Zajrzał w głąb sztywno wykrochmalonych koronek i jęknął z zachwytem.

- Za późno? - zmartwiła się Agnieszka.

- Wprost przeciwnie, doskonale. Czy pani rzeczywiście nazywa się Agnes?

- Agnes, Agnès, a tak naprawdę to Agnieszka. Tylko nikt tu nie może tego wymówić. To po polsku.

- Polka! - ucieszył się Hagen. Polki były łagodne, pracowite i katolickie. Babka nie mogła się nachwalić Helenek i Maryś, które służyły w Stradunken. W jej opowieściach, kiedy państwo spakowali manatki i ruszyli na zachód, uciekając przed zbliżającą się Armią Czerwoną, Helenki i Marysie serdecznie płakały. Podejmowały ich pod kolana i prosiły o błogosławieństwo. Jak rodziców.

- Myśmy w Stradunken jak jedna wielka rodzina żyli - rozmarzała się babka. - Żadnych tam wariactw rasowych, *Übermenschów* i *Untermenschów*. Nasi pracownicy byli Polakami, serca mieli ze szczerego złota, a my o nich dbaliśmy jak o własne dzieci.

Pewnie jak plantatorzy z Georgii o niewolników, myślał Hagen. We wspomnieniach babki życie w Prusach Wschodnich było czystą idyllą, a mająteczek w Stradunken rozrastał się do rozmiarów laty-fundiów. Z każdym rokiem przybywało mu pól, lasów i pełnokrwistych koni. Nawet wojna nie zakłóciła w nim spokoju. Aż do momentu wkroczenia Sowietów, jedyną jej przykrą stroną był brak mężczyzn. Toczyła się gdzieś daleko i szczerze mówiąc, babka do tej pory w nią nie wierzyła. Ani w obozy zagłady.

- O tych, którzy przegrali, zawsze opowiada się okropności - twierdziła. - Dlaczego nikt nie mówi o zbrodniach popełnionych przez Amerykanów? Zrównali z ziemią Hamburg, Drezno i Darmstadt, ludzie topili się w gotującym się asfalcie, cywile,

kobiety i dzieci. Ale Amerykanie wygrali wojnę i tylko dlatego nie można im o tym przypominać. Bo niepolitycznie.

Dyskusje z babką z góry były skazane na niepowodzenie. W Stradunken babka prowadziła dostatnie i wygodne życie, pozbawienie jej tego wszystkiego uważała za niesprawiedliwość dziejową. Niemcy byli w Prusach Wschodnich od sześciuset lat, spełniali tam misję kulturotwórczą, nie istniał żaden powód, dla którego należałoby zmienić ten porządek rzeczy. Hagen kochał babkę, w końcu to ona go wychowała. Z czasem zaprzestał prób rewidowania jej obrazu świata.

- Ruski to zwierzę - mówiła konspiracyjnym szeptem. - Polak to co innego. Bywali wykształceni, na poziomie. Ich oficerowie wyglądali jak marzenie, sama byłam kiedyś w jednym z nich zakochana. Miał nazwisko nie do wymówienia: Woszczrzsztowski albo jakoś tak. I wiesz, co ci powiem? Jestem zupełnie pewna, że w naszych żyłach płynie kropelka słowiańskiej krwi. Nieduża, ale zawsze. Jedna z twoich praprababek miała dziecko z takim malowniczym polskim ułanem. Prapradziadek wolał udać ślepego i uznał je za swoje. Na głos się o tym, oczywiście, nie mówiło, szczególnie po 1935, kiedy weszły w życie ustawy norymberskie\*<sup>17</sup>.

Być może to właśnie ta kropelka krwi w Hagenie szaleńczo się ucieszyła na widok Agnieszki.

Pani Baumkotter lubiła podkreślać, że traktuje swoje nielegalnie zatrudniane Polki jak matka. Z czasem sama w to uwierzyła. Uważała za akt miłości bliźniego, że rozbudowała dla nich poddasze dawnej stodoły, służącej obecnie za garaż. Parkował tam jej srebrny mercedes, audi Wolfganga i honda Rebekki, synowej pani Baumkotter. Pani Baumkotter nie pochwalała ani hondy, ani synowej. Kto to widział, żeby kupować samochód produkowany przez Japończyków, żyjąc w kraju, w którym produkowano najlepsze auta na świecie! Do innych nieprzyjemnych cech Rebekki należało pa-

---

<sup>17</sup> \* rasistowskie ustawy o „ochronie czci i krwi niemieckiej”

skudne imię, palenie cygar, malowanie ponurych obrazów olejnych i mądrzenie się na wszystkie tematy. W dodatku tonem, do jakiego Rebekka przywykła, ucząc klasy zerowe w podstawówce. Jakie powaby odkrył w niej Wolfgang, było dla pani Baumkotter absolutnie niejasne.

Spuszczane na łańcuchach strome schodki prowadziły z tego za-improvizowanego garażu na strych, gdzie Polki miały, jak to nazywała, „swoje królestwo”: malutki pokoik i łazienkę z prysznicem. Pani Baumkotter prowadziła przedsiębiorstwo gastronomiczne i kładła duży nacisk na to, żeby dziewczyny były czyste i wyglądały schludnie. Nawet jeżeli serce krwawiło jej na myśl o kosztach zużywanej przez nie wody. Własna toaleta byłaby jednak już przesadą i musiały korzystać z tej samej, co goście, położonej w głębi ogródka. Dawało im to okazję do przetarcia kafelków i armatur.

Skośne ściany pokoju wyklejone były tapetą w bukietiki różyczek. Zdaniem pani Baumkotter wdzięczny i dziewczęcy motyw, zdaniem śpiących wśród tych kwiatków dziewcząt - okropnie nie-gustowny. Podobnie jak doniczka ze sztucznym asparagusem i plecione z plastikowych sznurków chodniki. Miały jednak dach nad głową, szafkę na ubrania, stół i krzesła, a nawet półeczkę na książki. Wyposażenie uzupełniał obrazek z Matką Boską Częstochowską nad łóżkiem Gabrysi i zdjęcie ojca nad łóżkiem Agnieszki.

Rozmowy z Gabrysią były okropnie monotonne. Opowiadała albo o swoich pielgrzymkach do Częstochowy, albo o swoim narzeczonym, Krzysiu. Poznała go - a jakże by inaczej - w czasie pielgrzymki. Właściwie Krzyś wybierał się do seminarium duchownego, ale kiedy ich oczy spotkały się przed cudownym obrazem, Matka Boska zupełnie wyraźnie się do nich uśmiechnęła. Od tej pory wiedzieli, że są sobie przeznaczeni.

Oczywiście byli zdecydowani zachować czystość aż do ślubu. Saksy Gabrysi u Baumkotterowej bardzo były przy tym pomocne. Pieniądzy też zresztą potrzebowali,

trzeba było przecież jakoś się urządzić, w jej domu się nie przelewało i nie mogła liczyć na żadną wyprawę. Krzyś miał na szczęście mieszkanie po dziadku, nie będzie więc musiała siedzieć u teściowej, ale przydałyby się jakieś meble, lodówka, telewizor, no i samochód, chociażby mały fiat.

Na samą myśl o tym oczekującym ją bogactwie policzki Gabrysi różowiły się z radości, a oczy rozjaśniały się blaskiem. Jedyne, co ją martwiło przy snuciu marzeń o wspólnej przyszłości z Krzysiem, to jego rezygnacja z duszpasterstwa. Czuła się czasami z tego powodu winna, ale jak Agnieszka uważa: skoro sama Matka Boska dała im znak, to chyba nie ma w tym nic złego?

Agnieszka uważała, że Gabrysia ma sporego fioła. Objawienia przytrafiały się jej co drugi dzień, przy odmawianiu codziennej porcji litanii wpadała w ekstazę, spała z różańcem pod poduszką. Jednocześnie, przy całym swoim uduchowieniu, koncentrowała uwagę wyłącznie na zdobywaniu dóbr doczesnych i o niczym innym nie dało się z nią rozmawiać.

Pani Baumkotter była natomiast Gabrysią zachwycona. Nareszcie porządna dziewczyna, która spędza wolny czas w kościele, a nie w dyskotecie! Nie mógł to Wolfgang na taką trafić, zamiast na palącą cygara Rebekkę? Jak się miało później okazać, Wolfgang też zadawał sobie to pytanie.

Kiedy Agnieszka po latach ponownie odwiedziła „Ogródek Monachijski”, do głębi zgnębiona pani Baumkotter złożyła jej szczegółową relację o przerażających przemianach, jakie zaszły w Gabrysi. Zaledwie rok spędzony z dala od rodzinnej podkrakowskiej wsi wystarczył, żeby otworzyły się jej oczy na korzyści, jakie niesie ze sobą brak kontroli społecznej. Nagle odkryła, że ani rodzice, ani sąsiedzi, ani ksiądz proboszcz nie patrzą jej na ręce, nie ma nikogo, kto by zabraniał, strofował, potępiał - i uznała, że jest to cudowne!



Błyskawicznie nadrobiła zaległości. Kupiła sobie czarne stringi i koronkowe biustonosze, zaczęła się malować, palić papierosy i popijać drinki. Zupełnie jak pies spuszczonego z łańcucha, uznała wstrząśnięta pani Baumkotter. Coś z tym trzeba zrobić!

Ale już było za późno. Już krążył koło przemienionej Gabrysi Wolfgang, już wystawał w deszczu pod jej oknem jak oszalały z miłości kocur, już kupował jej czekoladki, gadzety i kwiaty. Rozwścieczona Rebekka wyrzuciła go w końcu z domu, ale nie na wiele się to zdało: Wolfgang zaczął nocować w swoim audi, co zresztą zupełnie mu nie przeszkadzało, bo schodki na poddasze miał teraz na wyciągnięcie ręki. Kiedy okazało się, że Gabrysia jest w ciąży, na której usunięcie nie pozwalają jej uczucia religijne, Rebekka spakowała wszystkie swoje ponure oleje i odjechała hondą ze świsstem opon.

- Złapałaś tego idiotę, mojego syna, na najstarszy babski fortel, jaki istnieje! - rozpacziała pani Baumkotter. - Nie boisz się Boga, ty, taka pobożna? Nie wstyd ci?

- Och, Pan Bóg mnie kocha i na pewno zrozumie - odpowiedziała spokojnie Gabrysia, ale przestała chodzić do kościoła. Na wszelki wypadek, bo mimo wszystko nie była w stu procentach pewna, czy na stopniach ołtarza nie trafi jej biblijny piorun.

Krzysiowi napisała, że jest go niegodna i nie ma prawa stać między nim a jego powołaniem. W tamtych czasach jednak nad czytaniem listów mozoliła się cenzura, przez co tygodniami były w drodze. Kiedy Krzyś w końcu je otrzymał i postanowił wsiąść w pociąg, żeby na własne oczy zobaczyć, jaki szatan opętał jego

Gabrysię, w Polsce wprowadzono stan wojenny i żadne pociągi już nie jeździły.

Wszystko to jednak zdarzyło się znacznie później. Kiedy Agnieszka wybierała się na festyn z Hagenem, z Gabrysia wszystko było jeszcze w najlepszym porządku i odmawiała na klęczkach różaniec.

- No to cześć - powiedziała Agnieszka w stronę jej pochyłonych pleców. - Idę na festyn. Nie czekaj na mnie, wrócę późno.

Gabrysia przerwała modlitwę i odparł ze słodyczą:

- Uważaj na siebie. Świat jest pełen zła, a imprezy masowe szczególnie przyciągają psychopatów.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Agnieszka. - Przecież na żadne nie chodzisz.

- Z telewizji - odparła Gabrysia z prostotą. - Z kina. I ksiądz mówił.

- A, jak ksiądz mówił to co innego. W takim razie będę uważała - obiecała Agnieszka już w drzwiach.

Miasto, zazwyczaj wymarłe po zamknięciu sklepów, tętniło życiem. Przewijał się przez nie korowód kolorowych bud, obwieszonych balonikami, plastikowymi kwiatami i pulsującymi światełkami. W jednych sprzedawano słodycze, amulety, horoskopy, serca z piernika, fosforyzujące opaski na włosy, lizaki z poczwarką w środku i puszki z powietrzem alpejskim, w innych można było strzelać do blaszanych zajęcy, rzucać lotkami do celu albo wyławiać magnesem z akwarium metalowe rybki. Budy loterii poznawało się z daleka po zaspach kolorowych papierków, zmiętych losów, które nie wygrały, i wiszących nad nimi głównych nagrodach. Były to na przykład różowe, pluszowe misie wielkości słonia. W pobliżu Wahadła Śmierci, Diabelskiego Młyna i Morderczej Katapulty panował nieopisany zgiełk, bo do wycia głośników, imitujących start rakiety, dołączał krzyk pasażerów, wiszących akurat głową w dół. Przy ustawionych między budami stołach można było wypić kieliszek wina albo piwa, zjeść szaszłyk, porcję cynaderek, kebabu czy paelli, ale w powietrzu dominował swojski zapach frytek i pieczonych na rożnie kiełbasek.

Agnieszkę najbardziej zaskoczyła skala tego kolosalnego Wesołego Miasteczka. Zaimponowało jej logistyką. Całe śródmieście było wyłączone z ruchu, wszystkie autobusy jeździły na zastępczych trasach. Ulicami płynął nieprzerwany strumień spragnionych rozrywki obywateli, na ogół w zaawansowanym już wieku, co ją zdumiało: jakoś nie mogła wyobrazić sobie swojej matki z fosforyzującymi wiatraczkami we włosach i sercem z piernika na piersi.

Hagen, który trzymając mocno Agnieszkę pod ramię, ostrożnie lawirował w tłumie, pochylił się nad jej uchem. Przekrzykując ryk Morderczej Katapulty, zapytał:

- Podoba się pani?

- Bardzo! - odchrząknęła, nie spuszczać oczu z klatki Morderczej Katapulty, wypełnionej pasażerami o pozieleniałych twarzach. Spadała właśnie w dół z wysokości dziesiątego piętra przy ich potępieńczych wrzaskach. Grubej blondynie sukienka podwinęła się do pasa, ukazując różowe majtki, jej wyprostowane jak drut włosy sterczały nad głową niby aureola.

Na jej miejscu nie wkładałabym na festyn barchanowych majtek, pomyślała Agnieszka.

Na bastionach zamku ustawiono pod starymi kasztanami stoliki i rozpięto nad nimi pasiasty namiot na wypadek przelotnego deszczu. Noc była jednak pogodna i ciepła, niebo pełne gwiazd, łagodny wietrzyk szeleścił w gałęziach kasztanów i osuszał spocone twarze uwijających się kelnerów.

- Jak miło, że tym razem to ja mogę siedzieć i czekać, aż ktoś mnie obsłuży - zauważyła z zadowoleniem Agnieszka. - Przedtem nigdy mi do głowy nie przyszło, że to taki męczący zawód. Cały dzień na nogach. Czuję się potem, jakbym codziennie chodziła na piechotę do Frankfurtu i z powrotem. Wieczorem, jak listonosz, marzę tylko o tym, żeby wrócić do domu i wymoczyć nogi w misce z wodą.

- Jak miło, siedzieć w towarzystwie dziewczyny, która mówi po francusku jak paryżanka, ma oczy Nefretete i marzenia listonosza. Cieszę się, że jest pani Polką. Moja rodzina pochodzi z Ostpreus-sen, z okolic Treuburga. Dzisiaj to chyba Margrabowa. Nasz majątek leżał koło wioski, która nazywała się Stradunken, mała dziura, nie sądzę, żeby tam pani kiedykolwiek była.

- A pan?

- Owszem, przed trzema laty. Dwór jeszcze stoi, mieści się w nim szkoła. Dookoła łąki, pastwiska, sady. Chyba nic się tam nie zmieniło od czasu, kiedy moja rodzina tam mieszkała. Wszystko się tylko postarzało, rozrosło, zdziczało. W oficynie mieszkają ludzie, których wysiedlono z Rosji. Mili, przyjęli mnie obiadem. Gospodyni zrobiła barszcz ze śmietaną, taki sam, jaki robiła moja babka. Nauczyła mnie paru słów po polsku: proszu, dziakuje, dzińdobry. Myśmy tam od dwustu lat siedzieli, wie pani?

- I co, przypominał pan tym miłym ludziom, kto jest prawowitym właścicielem? - nastroszyła się Agnieszka. - Myśmy też od lat mieszkali w Warszawie, a pańscy rodacy spuścili nam bomby na głowy.

- Uchowaj Boże, wcale nie chciałem przez to powiedzieć, że mamy do Stradunken jakiegokolwiek prawa. Po prostu cieszę się, że mogę wypić kieliszek wina z dziewczyną z Polski. Czuję się związany z pani krajem, miło mi pomyśleć, że być możejechała pani kiedyś z Lycku\*<sup>18</sup> do Królewca koleją, którą budował mój pradziadek.

- Do Królewca? A kto by tam do Królewca jeździł? - zdumiała się Agnieszka.

Hagen westchnął. Nawet trzydzieści lat po wojnie pewnych tematów lepiej było nie poruszać, a przecież chciał tylko wyrzeć jak najlepsze wrażenie na tej ślicznej Polce.

- Agnes, zapewniam panią, że nie pojechałem do Polski, żeby zgłosić roszczenia do majątku ani żeby wykopać srebra rodzinne. Pojechałem, żeby zobaczyć Oświęcim. Właśnie dlatego, że wszyscy w Stradunken byli zagorzałymi narodowymi socjalistami, także i mój ojciec. To były biedne tereny, zadupie Niemiec. Dopiero kiedy NSDAP doszła do władzy, skończyło się bezrobocie, wybudowano drogi, koszary, zakłady zbrojeniowe, autostradę z Elbląga do Królewca. Zanim wkroczyła Armia Czerwona, żyło się mojej rodzinie w Stradunken jak u pana Boga za piecem. Tak to przynajmniej mają w pamięci.

- A co myślą teraz, po pana wizycie w Oświęcimiu?

- A nic. Niektórzy zdążyli umrzeć, inni twierdzą, że o niczym nie mieli pojęcia. Kto tam mógł wiedzieć, co się dzieje gdzieś na końcu świata? Jeszcze inni, między innymi moja babka, do dziś w Oświęcim nie wierzą. Są święcie przekonani, że to tylko sowiecka propaganda, że tam były normalne zakłady przemysłowe i już. Ale ja dobrze wiem, co widziałem. Tej winy nic nie może zmasać. Nie pojmuję, jak cały naród mógł dać się opętać tak zbrodniczej idei. Dlatego podziwiam Polaków, wy się nigdy

---

<sup>18</sup> \*Ełku

nie podporządkowujecie. Buntujecie się, strajkujecie, wychodzicie na ulicę. Mam nadzieję, że opowie mi pani o tym jak najwięcej.

Agnieszka, mile zaskoczona, że Hagen zaliczył ją do grona bohaterów konspiracyjnego podziemia, poprawiła się na krześle i poszukała w pamięci, co jej Artur opowiadał o swojej wywrotowej działalności. Zdmuchnęła włosy z czoła, przyjęła poważny wyraz twarzy i powiedziała:

- No tak, to są sprawy, o których wy, w tej waszej sytej, uporządkowanej rzeczywistości pojęcia mieć nie możecie. - Pogardliwie machnęła ręką w stronę bud, karuzel i Miasteczka Grozy. Sięgający trzeciego piętra King Kong podnosił przed budynkiem muzeum skąpo ubraną dziewczeczkę do umazanych krwią warg. Widocznie nie była w jego typie, bo za każdym razem opuszczał ją zniechęcony na ziemię. - Widziałam już, jak u was wygląda strajk. Funkcjonariusze rozdają gwizdki i czapeczki, policja pilnuje, żeby nikomu krzywda się nie stała, związki zawodowe płacą za nieprzepracowany czas. Tak to sobie można strajkować. U nas trzeba ryzykować życie, milicja pałuje, zamykają ludzi w więzieniach, wyrzucają z pracy.

- Była pani aresztowana? - zapytał Hagen z szacunkiem. Agnieszka rzuciła mu pełne politowania spojrzenia i wzruszyła ramionami.

- Wolałabym o tym nie mówić, chyba sam pan rozumie - odparła z godnością, dając do zrozumienia, że młodość spędziła w kazamatach, wyławiając z zupy karaluchy.

- Każdy z nas musi być gotów do poświęceń, jeśli chcemy coś zmienić. Słyszał pan o KOR-ze? Po to właśnie powstał: żeby pomagać uwięzionym robotnikom i ich rodzinom. Wielu studentów angażuje się w jego pracę. Zajmujemy się dziećmi, żeby żony aresztowanych mogły jeździć na procesy, kolportujemy nielegalną prasę, spotykamy się na wykładach Uniwersytetu Latającego.

- Uniwersytetu Latającego?

- Tak się nazywają kursy organizowane w prywatnych domach przez KOR. Gdzieś ludzie muszą przecież dowiedzieć się prawdy, no nie? Taki uniwersytet zresztą już kiedyś istniał, za rozbiorów.

Piękna, mądra i zbuntowana! Hagen nie posiadał się z zachwytu, że udało mu się zwrócić na siebie uwagę kobiety tak niezwyklej.

- Podziwiam panią i pani rodaków. W Niemczech ludzie zajmują się raczej konsumowaniem, a nie szukaniem prawdy. Całkowicie przestaliśmy samodzielnie myśleć, pędzimy jak lemingi tam, gdzie nam każą. Konsumpcja dawno wyparła Boga z kościołów. Gdyby się nagle pojawił Jezus Chrystus, aresztowano by go za agitację komunistyczną.

Agnieszka poczuła się zdezorientowana. Z perspektywy kraju, którego gospodarka zajmowała się głównie dystrybucją niedoboru, trudno było sobie wyobrazić, że konsumpcja może stanowić zagrożenie. Podobało jej się jednak zaangażowanie Hagen. Poza tym miał naprawdę piękne oczy i nie ukrywał zainteresowania jej osobą. Jego towarzystwo było balsamem dla duszy Agnieszki, która w hierarchii przedsiębiorstwa pani Baumkotter zajmowała pozycję daleko za Merlinem.

- To ogromnie ciekawe - powiedziała z uśmiechem. - Bardzo proszę, niech mi pan to bliżej wyjaśni.

Kościelny zegar wybił właśnie dwunastą, kiedy Agnieszka wysiadła z samochodu Hagen przed pogrążonym w ciemnościach

„Ogródkiem Monachijskim”. Na ustach czuła jeszcze smak jego pocałunków, w głowie kręciło się jej przyjemnie od wina i po raz pierwszy od dawna czuła się pogodzona z losem i samą sobą. Jak dobrze wygłaskany kot, pomyślała i roześmiała się głośno. Zdawała sobie sprawę, że jest na rauszu - no i bardzo dobrze, przynajmniej przez cały wieczór ani razu nie pomyślała o Gerardzie. Dzięki temu szczupłemu, sympatycznemu facetowi, który płynnie mówił po francusku i martwił się kondycją świata. Hagen. Ładne imię. Z „Pieśni o Nibelungach”.

- Mój ojciec, gorliwy narodowy socjalista, był wielkim wielbicielem Wagnera i znawcą mitologii gemańskiej. Nadał mi imię, które było jego zdaniem kwintesencją niemieckości. Kompletnie do mnie nie pasuje. Hagen był zabójcą Zygryda - czy możesz sobie mnie wyobrazić w roli mordercy?

Wrażliwy, delikatny Hagen, z rzęsami długimi jak u dziewczyny? Sama myśl była absurdalna i Agnieszka, sunąc chwiejnie w stronę kwatery nielegalnego personelu pani Baumkotter, parsknęła znowu śmiechem. W tym momencie twarda dłoń zamknęła się na jej ustach i usłyszała wściekły szept:

- Gdzie ty być całą noc, ha? Co ty robić z ta niemiecka szkieleta?

- Odczep się, Gigi - syknęła, usiłując wyrwać się z żelaznego uścisku. - Moja noc, mój szkielet, nic ci do tego. Napędziłeś mi strachu, ty idioto!

Głos należał do Gigi Amareno, włoskiego kucharza pani Baumkotter. Gigi spędzał sześć miesięcy w roku, trzaskając patelniami w jej kuchni, a pozostałe sześć w Ponte, malowniczym porcie na Ischii. Miał tam przy Via Luigi Mazella małą galerię, w której sprzedawał swoje akwarele, przedstawiające Castello Aragonese, rybaków i romantyczne zaułki. Inne motywy okazały się niechodliwe. Jego „prawdziwych” obrazów, dużych, surowych abstrakcji o niepokojących tytułach: „Pejzaż z krukiem”, „Śmierć głuszca” albo „Wiwisekcja”, nikt nie chciał kupować. Nie należały do tych pamiątek z podróży, które turyści chętnie powiesiliby sobie na ścianie po powrocie do domu. Mimo to Gigi był święcie przekonany, że znajduje się na progu wielkiego przełomu. W ostatnich latach Gabriele Mattera, właściciel Castello, wystawiał w sezonie jego obrazy na zamku, w zaadaptowanej na galerię ruinie kościoła Niepokalanego Poczęcia. Gabriele był uznaną wielkością w środowisku artystycznym, odwiedzali go marszandzi z Neapolu i Rzymu, więc odkrycie i uhonorowanie twórczego dorobku Gigiego było tylko kwestią czasu. Na razie jednak musiał z czegoś żyć i tym czymś było rzucanie garnkami w „Ogródku Monachijskim”.

Do „Ogródka” ściągnęła Gigiego Rebekka Baumkotter, na której jego malarskie - i inne - talenty wywarły tak wielkie wrażenie, że postanowiła być jego muzą i mecenasem. Najłatwiej było stać się muzą: wystarczyło parę godzin, w czasie których Wolfgang, w czerwonych podkolanówkach i spiętych pod kolanami pumpach, szturmował krater Epomeo. Gigi, żeby dać jej jakieś pojęcie o prawdziwej cyganerii, obdarzył Rebekkę najpierw rozkoszą na rzuconym na podłogę biskupim płaszczu, w którym odgrywał rolę Girolamo Rocca w festynie ku czci świętego Aleksandra, a potem nama-

lował jej akt. Zdaniem Rebekki obraz był doskonały i na szczęście na tyle abstrakcyjny, że rozpoznanie modelki było całkowicie wykluczone, choć dość wyraźnie widoczne były sterczące sutki piersi i kłęb włosów łonowych. Gigi też był z siebie bardzo zadowolony. Nazwał dzieło „Przeorane pole” i umieścił je na wystawie. Ile razy Rebekka spacerowała pod rękę z Wolfgangiem po Via Luigi Mazella, odczuwała na widok swojego aktu podniecający dreszczyk, szczególnie że tylko ona wiedziała, o jakie przeorane pole chodziło artyście.

Przejęcie mecenatu nad tak wielkim talentem uważała za swój obowiązek, nie wiedziała tylko, jak się do tego zabrać. Zbawienny pomysł wpadł jej do głowy, kiedy któregoś dnia - Wolfgang zdobywał właśnie Monte Trippodi - nasycony seksualnie i twórczo Gigi postanowił nasycić także i ich żołądki. Pohałasował trochę w swojej zagraczonej kuchni i postawił przed Rebekka górę kolorowych sałatek i najlepsze *vitello trifolato*<sup>\*19</sup>, jakie kiedykolwiek jadła.

- Wyśmienite! - zawołała po paru kęsach. - Sam ugotowałeś?

- Gdybym czekał, że wyżywią mnie moje modelki, umarłbym z głodu - odparł rzeczowo. - Chyba każdy potrafi przygotować sobie coś do jedzenia, no nie?

Rebekka pomyślała o ponurej pani Haferkamp, która w kuchni jej teściowej produkowała brudnoczerwone zupy ogonowe i oślizgłe knedle. Wzdrygnęła się i powiedziała:

- Coś do jedzenia, ale nie takie jedzenie. Gigi, jesteś genialny -nie tylko jako artysta i jako... sam wiesz kto. Czy nie myślałeś nigdy o sezonowej pracy w Niemczech - w jakimś ogródku piwiarni, na przykład?

Pani Baumkotter była wścibską i ograniczoną kobietą, ale w interesach odznaczała się węchem wyżła. Szybko zorientowała się, że Gigi jest na wagę złota. Piwiarni było w okolicach wiele, żadna jednak nie mogła się poszczycić doskonałą włoską kuchnią i kucharzem, który, gdy mu humor dopisywał, chodził od stolika do stolika, całował co ładniejsze dziewczyny i śpiewał *Toma a Sorrento*. W odróżnieniu od tej



idiotki Rebekki potrafił też rzeczywiście malować. Podarował jej kiedyś śliczny obraz, na którym widać było jakiś zamek wyrastający z morza i rybaków naprawiających na nabrzeżu sieci. Wszystko było jak żywe. Powiesiła go na honorowym miejscu w restauracji.

Jeżeli jednak myślała, że nadal będzie miała coś do powiedzenia w swojej kuchni, to bardzo się myliła. Gigi był południowcem i nie mógł ścierpieć, kiedy kobiety próbowały go pouczać. Przy pierwszej próbie sił wziął panią Baumkotter po prostu za kark i wystawił ją za drzwi kuchni.

- *Signora Bocottore, carissima* Rosalia - powiedział spokojnie, wduszając ją tak głęboko w poduszki fotela, że jej oczy znalazły się na wysokości kraciastej ścierki, którą był opasany. Musiała odchylić głowę do tyłu i wyciągnąć szyję, żeby móc zobaczyć cokolwiek poza tą ścierką. - *Signora* być *padrona di casa*<sup>\*20</sup>, a ja *padrone* od kuchni. Ja nie wchodzić do twoja robota, a ty nie wchodzić do Gigi kuchnia - albo ty gotować sama. *Ha capito?*<sup>\*21</sup>

Pani Baumkotter przypomniała sobie wszystkie mrożące krew w żyłach historie na temat południowców, jakie tylko знаła, i powiedziała ugodowo:

- Gigi, jestem tylko biedną, samotną wdową. Mam ciężkie życie. Gigi pokiwał ze zrozumieniem głową. Jego zdaniem pani Baumkotter na żadne inne nie zasługiwała.

- Tam, skąd pochodzę, *signora* Bocottore, wdowa siedzieć w kościół albo na cmentarz, a nie w interesach. A już w żadnym wypadku nie w moja kuchnia.

- Dobrze już, Gigi, dobrze, rób sobie w tej kuchni, co tylko chcesz - pisnęła pani Baumkotter. - Ja przecież tylko zapytałam, czy rzeczywiście każdy talerz musi być myty pod bieżącą wodą, bo rachunki za wodę są horrendalne, ale....

Reszta zdania zamarła na jej wargach pod lodowatym spojrzeniem Gigiego.

- ...ale ty już wiesz najlepiej, jak ma być - zakończyła z rezygnacją. Gigi skinął z zadowoleniem głową i poklepał ją po policzku.

---

<sup>19</sup> \* cielęcina z grzybami w śmietanie

<sup>20</sup> \* Pani jest szefowa od domu

<sup>21</sup> \* Zrozumiała pani?

- *Giusto*\*<sup>22</sup>, *signora Bocottore, giusto, pettirosso mio!*

W chwilach szampańskiego humoru Gigi miał zwyczaj nazywać panią Baumkotter *pettirosso*, co zupełnie mylnie interpretowała jako „małą różyczkę” i uważała za ogromnie poetyczne. Byłaby bardzo rozczarowana, gdyby wiedziała, że *pettirosso* oznacza po prostu rudzika.

Krótko mówiąc, pozycja Gigi Amareno była nieporównywalnie lepsza od pozycji nielegalnych Polek. Pani Baumkotter potrzebowała go znacznie bardziej niż on jej, więc nie mogło być mowy o przewadze na jej korzyść. Albo chociażby równowadze. Gigi trzymał ją w garści, a ona musiała się starać, żeby był zadowolony i zechciał wrócić w następnym roku. W wypadku Gigiego nie wchodziły, oczywiście, w grę żadne poddasza i toalety na podwórzu, na zapleczu restauracji miał tylko dla siebie przemiłe dwupokojowe mieszkanie z dużą werandą. Stał na niej biały fotel na biegunach, jak w Nowym Orleanie. Przez to mieszkanie przewinęło się całe mnóstwo ładnych dziewczyn z okolicy, które koniecznie chciały wiedzieć, czy robi *amore* równie dobrze jak spaghetti. Ogólne zdanie było: owszem, tak, a może nawet i lepiej.

Pod koniec sezonu Gigi musiał przyznać, że robota jest ciężka, ale urozmaicona i daje dużo satysfakcji. Przez całą zimę miał o czym opowiadać w *Trattoria Coco*, gdzie przesiadywał ze swoimi kumplami Gennaro, Giancarlo, Franco i Nicola. Właściwie wszyscy czterej mu zazdrościli. Pieniądzy, niemieckich dziewczyn, a przede wszystkim inspiracji, bo wracał tak naładowany twórczo, że trząsał obraz za obrazem.

W tej chwili jednak Gigi był naładowany wyłącznie wściekłością, szczególnie że ta mała bezczelna Polka ugryzła go akurat w palec.

- *Porco dio*, czyś ty zupełnie zwariować? - syknął, wkładając palec do ust. - Zakażenia krwi dostać po tobie na pewno.

---

<sup>22</sup> \* słuszni

- To nie wkładać nosa w nie swoje rzeczy - odparowała Agnieszka. Porozumiewali się przerażającym niemieckim pidginem, nieprzypominającym ani trochę języka Schillera i Goethego.

- Czekać na ciebie od godziny. Ty wstydu nie mieć: faceta pierwszy raz w życiu widzieć, wsiadać do samochodu jego i całą noc do domu nie wracać - a co, jeżeli on psycho albo zboczony, hę?

- A ciebie co obchodzić, czy zboczony?

- Jak najbardziej obchodzić. Już nie pamiętać, w którym ty łóżku tydzień temu być, A-Kiszka?

Rzeczywiście wolała nie pamiętać. Tydzień temu była bardzo samotna i bardzo smutna. Dobrze jej zrobiło wypłakanie się na szerokiej piersi Gigi. Została pocieszona, utulona, nakarmiona *pastą*, napojona doskonałym winem, a potem nagle okazało się, że kochają się pod kraciastą pierzyną pani Baumkotter. Sprawa kompletnie bez znaczenia, o której chciała jak najszybciej zapomnieć. Kochanie się z Gerardem to było zupełnie co innego, ważne i wielkie jak przystępowanie do komunii, ale Gérard o niej zapomniał. Trudno, żeby nadal podchodziła do tych spraw równie poważnie. No cóż, nie da się zaprzeczyć, miło jej było z Gigi pod tą pierzyną. Piękne męskie zwierzę, dziecko słońca, ciało, które wszystko pojmowało w lot. Po prostu: południowiec. Ale już żaden południowiec nie zawróci jej w głowie. Lawenda, czosnek i rozmaryn, śpiew w sercu, sól morza na skórze, obietnice i zaklęcia... teraz wiedziała, że to wszystko funta kłaków nie jest warte. Nigdy więcej. Nie jej świat, nie jej kultura. Nie jej malarze i nie jej poeci, obce potrawy i obce tradycje. Hagen to co innego. Jest taki delikatny, wrażliwy. Traktuje ją, jakby zeszła ze świętego obrazka. Temu na pewno nie przyszłoby do głowy, żeby zaciągnąć ją do łóżka, a potem urządzać po nocy karzemne sceny zazdrości. Cholerni południowcy.

- Gigi, mój drogi, być późno i ja być bardzo zmęczona - podjęła ugodowym tonem, znając wybuchowy temperament artysty. -Porozmawiać o wszystkim jutro, dobrze? Nie wiedzieć, jak to jest na tej twojej wyspie, ale w pozostałej części świata dziewczyny móc umawiać się z kim chcą i kiedy chcą.

- Ale nie tobie, A-Kiszka, i nie z ta niemiecka szkieleta.

- To być bardzo sympatyczny i interesujący człowiek, chociaż rzeczywiście trochę za szczupły - odparła z godnością Agnieszka. - Miły i delikatny.

- Nic nie szkodzi - zapewnił ją Gigi. - I tak ja go rozjechać samochodem, jak się tu znowu pojawić.

Na początku sezonu niemieckiego Gigi składał uroczystą wizytę u swojego kumpla Francesco, który handlował pod Frankfurtem używanymi samochodami. Wypijali razem butelkę grappy, wymieniali nowiny i ploteczki, a potem w długich, poważnych dyskusjach rozstrząsali wady i zalety wszystkich kabrioletów, jakie Francesco aktualnie miał na placu.

Gigi uznawał bowiem tylko kabriolety. Podwozie mogło być jak sito, opony łyse, hamulce zdarte i siedzenia porośnięte mchem, ale dach koniecznie musiał być otwierany. Co do innych detali Gigi nie był wybredny, chociaż nie ukrywał, że najbardziej podobają mu się samochody nisko zawieszane, najchętniej z płetwami z tyłu, kremowe, białe, w ostateczności srebrne. Obicia ze skóry, wazoniki na kwiatki i barek były mile widziane, ale nieobowiązkowe.

Taki kabriolet Gigi prowadził, prawie leżąc, z łokciem niedbale wywieszonym za okno, dotykając kierownicy co najwyżej dwoma palcami, w śmietankowej panamie na głowie i okularach słonecznych na nosie, bez względu na pogodę. W ten sposób dawał do zrozumienia, że traktuje jazdę samochodem poważnie, ale bez stresu i nie pozwoli, żeby trąbienie innych kierowców zepsuło mu przyjemność przejażdżki. Jeżeli pozostali użytkownicy szosy nie podzielali jego upodobań, sygnalizował im za pomocą wyprostowanego środkowego palca prawej ręki, co mogą mu zrobić. Dla kogoś, kto zdobył prawo jazdy w Neapolu, i tak te wszystkie niemieckie przepisy, zakazy i inne dyrdymały były tylko śmiechu warte. Dorosły mężczyzna nie potrzebował żadnych świateł, żeby przejechać przez skrzyżowanie: sam mógł podjąć decyzję.

Agnieszka nie miała wątpliwości, że nie zawahałby się przed rozjechaniem domniemanego rywala aktualnym pletwiastym kabrioletem. No cóż, sama była sobie winna. Powinna się domyślić, że wystarczy zbliżyć się do południowca, żeby narobić sobie kłopotów. Z drugiej strony to zbliżenie miało też swoje miłe strony.

- My rozważyć tę ewentualność rano, Gigi - powiedziała ugodowo. -1 nie mów do mnie A-Kiszka. Nazywam się A-gnieszka: A-g-niesz-ka!

- Przecież mówię: A-Kiszka!

Agnieszka westchnęła. Gigi był uparty jak muł.

Na wszelki wypadek wsypie mu do baku pół kilo cukru: to powinno na jakiś czas ostudzić jego temperament.

THUR

Po prostu od nas odeszła, Agnes. Była młoda, ładna, miała powyżej uszu wojny, brudu, ubóstwa. Wychowana była na dziedziczkę i miała zamiar przetańczyć życie na balach. Nikt jej nie przygotował na to, że będzie musiała opuścić Stradunken, ciągnąc za sobą cały swój dobytek na drewnianym wózek. Nikt jej nie uprzedził, że jej mąż zostanie skazany i spędzi całe lata w amerykańskim więzieniu.

Nie czuła się za nic odpowiedzialna. Chciała tylko żyć i przeżyć, mieć nylony, szminki, perfumy i czekoladę. Dlaczego miałbym mieć jej to za złe?

Nikt nie był przygotowany i nikt nie był winny. Mylisz się, jeżeli sądzisz, że oskarżonych w procesach norymberskich uważano za zbrodniarzy. Ludzie mówili: „Spełniali przecież tylko swój obowiązek, byli oficerami - jak można było ich za to powiesić?”. Byli naprawdę dumni z Keitela, który wchodząc na szafot, zawołał: *Heil Hitler! Heil Deutschland!*

Moja matka nie zamierzała cierpliwie czekać, aż ten kraj po-dźwignie się z gruzów. Amerykanie mieli wszystko i to aż w nadmiarze, brakowało im tylko kobiet. Szczególnie czarnym oficerom podobały się jasnowłose *Fräuleins* o niebieskich oczach. Jeden z nich, James Gracy, zabrał ją ze sobą do Chicago. Przysyłała nam stamtąd paczki i pieniądze, ale już jej nigdy więcej nie zobaczyłem.

Agnieszka i Hägen siedzieli na podłodze jego spartańsko urządzonego mieszkania, chrupali prażone fistaszki i popijali chianti. Rozmawiali o matce Hagena - to znaczy, Hägen mówił, a Agnieszka uważnie słuchała.

- Biedny Hägen. Ile miałeś wtedy lat?

- Sześć. Pamiętam tylko, że miała długie, miękkie włosy i pięknie pachniała. Ten Gracy oblewał ją widocznie perfumami.

- Nie chciałeś jej odwiedzić, kiedy dorosłeś?

-Nie zdążyłem. Zginęła w wypadku samochodowym, kiedy miałem siedemnaście lat. Już za nią wtedy nie tęskniłem. Jedyne, co do niej czułem, to zapiekły żal, że nas zostawiła i najadała się do syta, kiedy my głodowaliśmy. Kradłem kartofle z pola i chodziłem w koszulach z amerykańskich worków na cukier, babcia mi je szyla. Wciąż byłem głodny.

- Biedny, biedny Hagen.

- Ojciec dostał trzy lata. Był w *Reichsippenamt*, mimo to dali mu tylko trzecią grupę. Miał szczęście. Uznano, że jest *Minderbelastet* -mniej winny. Nawet nie protestował. Pod tym względem był wyjątkiem, bo nagle się okazało, że prawie nikt nie był w NSDAP, a ci, co byli, zostali do tego zmuszeni. On natomiast wcale nie ukrywał, że wstąpił do partii z przekonania. Przez całą wojnę z dumą nosił swoją złotą odznakę partyjną. Uważał za swój obowiązek szerzenie w *Stradunken* idei wielkoniemieckiej, szczerze wierzył w wyższość rasową narodu niemieckiego i jego przywódczą rolę. W dalekowzroczność Himmlera też wierzył. Dla *Lebensborn* selekcjonował wartościowe rasowo dzieci, które miały być oddane w Niemczech do adopcji i wychowane na dobrych narodowych socjalistów. Robił to z całkowicie czystym sumieniem, bo czyż mogło te dzieci spotkać w życiu coś lepszego? Dostawały przecież szansę na dobre życie i zdobycie porządnego wykształcenia. Ich mniej szczęśliwych rodaków oczekiwały zgodnie z planami Himmlera co najwyżej cztery klasy.

Dziadkowie odnosili się do działalności partyjnej mojego ojca krytycznie. Uważali go za parweniusza, żeby nie powiedzieć chama, chociaż jego czaszka była klasycznym przykładem czystości rasowej. A jednak, kiedy siedział w więzieniu, kazali mi pisać do niego listy. Uważałem to za katorgę, zdążyłem ojca zapomnieć i nie miałem mu nic do powiedzenia. Usiłowałem o nim myśleć jako o bohaterze wojennym, wyobrażałem go sobie w pięknym mundurze lotnika, z orderami na piersi i krzyżem rycerskim na szyi, ale ten obraz nie pasował do kogoś, kto poddał się bez walki i przysyłał mi z więzienia ohydne zabawki. Na przykład ulepione własnoręcznie z chleba szachy.

Tego, że siedział, nikt w szkole nie brał mi za złe. Ojcowie walczyli, ginęli, byli w niewoli albo w więzieniu, w każdej rodzinie tak było. To było normalne. Po pysku dostawałem za matkę, bo zadawała się z amerykańskim oficerem, do tego czarnym. Nocą na ścianach naszego domu pojawiały się napisy: *Ami-Flittchen*\*<sup>23</sup> albo - jeszcze bardziej obraźliwe - *Neger-Flittchen*\*<sup>24</sup>. Wiedziałem, że jej zachowanie jest niegodne niemieckiej żony i matki, i bardzo się za nią wstydziłem, ale nigdy nie przypuszczałem, że po prostu ucieknie.

Tamten dzień wrył się Hagenowi w pamięć z taką ostrością, jakby wszystko to wydarzyło się dopiero wczoraj. Wrócił ze szkoły -był bardzo dumny z tego, że wraca sam, po inne dzieci przychodziły matki albo babki - i wpadł do domu, wołając: „Mamo, już jestem!”. Szukając jej, przebiegał z pokoju do pokoju, najpierw rozbawiony, myśląc, że schowała się przed nim dla zabawy, potem coraz bardziej zaniepokojony, w końcu przerażony. Dziadkowie siedzieli, milcząc w kuchni przy stole, na którym leżał rozłożony list. Na widok Hagen a babka wstała, schowała szybko list do kieszeni fartucha i zamknęła wnuka w ramionach.

- Hagen, mój skarbie, usiądź. Musimy porozmawiać.

Minęło od tej pory już tyle lat, ale wciąż jeszcze budził się nocą oblany zimnym potem, bez tchu, z gardłem ściśniętym paniką i uczuciem, że stało się coś okropnego. Uświadamiał sobie wówczas, że znowu śnił mu się rząd pustych pokoi, w których nie mógł znaleźć matki, i że nie przestanie jej szukać do końca swoich dni. I nigdy jej nie wybaczy. Zabrała mu siebie, zabrała mu dzieciństwo, zabrała mu ufność - dziwka, amerykańska dziwka!

---

<sup>23</sup> \* amerykańska dziwka

<sup>24</sup> \* murzyńska dziwka



- Och Hagen, tak mi przykro. - Agnieszka zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła policzek do jego twarzy. - To okropne. Jak mogła ci to zrobić? Jaka matka porzuca własne dziecko?

- Myślę, że wcale nie miała tego zamiaru. Uciekła przed ojcem. Lada dzień miał zostać zwolniony, a nie należało się ludzić, że więzienie radykalnie zmieniło jego poglądy na hańbę rasową. Wychodziła z założenia, że uda się jej sprowadzić mnie do Ameryki. Potem okazało się, że nie jest to takie proste. Ojciec musiałby udzielić zgody na mój wyjazd, czego, oczywiście, nie zamierzał zrobić. Z czasem ja sam nie chciałem jej widzieć. Nie mogłem jej darować, że nas zdradziła, bo chciała żyć w kraju, w którym nie brakowało papierosów, nylonów i czekolady. Ale dość tych smutnych tematów, mój skarbie. Wszystko to jest teraz kompletnie nieistotne, teraz tylko ty się liczysz. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, bo jesteś ze mną. Co zrobiła moja matka trzydzieści lat temu, nie odgrywa już żadnej roli.

Myśli Agnieszki krążyły jednak nadal wokół dzieciństwa Hageny. Życie rasowo mniej i więcej warte, *Lebensborn*, przymusowe adopcje, więzienie, trzecia grupa, mniej winny... Dziwne. Jak można być „mniej winnym”? Do tej pory sądziła, że bywa się winnym albo niewinnym, ale „trochę winnym”? I co to jest *Reichsippenamt* - pewnie jakiś urząd od aryjskiego pochodzenia? Dobry Boże, ten cały narodowosocjalistyczny obłąd opierał się na doskonale zorganizowanym aparacie urzędniczym, wszystko było uregulowane przepisami, jakby chodziło o podatki. Trudno uwierzyć, że wszystko to działo się wcale nie tak dawno temu. Oni wciąż jeszcze żyją, ci od wyższości rasowej, *Lebensborn* i *Reichsippenamt*. Gdzieś tu są-może siedzą nadal w jakichś urzędach? Wielu pewnie odpoczywa na zasłużonych emeryturach i ma czas, żeby przychodzić codziennie na piwo do „Ogródka Monachijskiego”. Patrzą na nią i myślą sobie: Polka? Ruska? Przynajmniej tu, w „Ogródku”, świat wciąż jeszcze jest w porządku: ona w kuchni, a my państwo.

- Po wyjściu z więzienia ojciec wprowadził się najpierw do nas - ciągnął Hagen. - Dziadkowie przyjęli go chłodno. Winili go za utratę Stradunken, klęskę Niemiec, a przede wszystkim za ucieczkę matki. Gdyby pozostał tam, gdzie był, czyli w kiciu, nie wyjechałaby do Ameryki. Już wystarczająco przykre było, że puszczała się z tym amerykańskim oficerem, w dodatku kolorowym, ale żeby opuścić własne dziecko i żyć wśród tych, którzy rzucili jej kraj na kolana! Było to niegodne córki potomka junkrów pruskich, niegodne tradycji Stradunken i kompletnie nieniemieckie.

Poza tym obecność narodowego socjalisty pod tym samym dachem budziła w dziadkach uzasadniony niepokój. Uciekinierzy ze wschodu napotykali wszędzie na falę niechęci, bo trzeba było się z nimi dzielić mieszkaniami i kartkami żywnościowymi. Zazdroszczono im też dodatkowych bonów i asygnat, jakie dostawali od władz. Zawsze mógł się więc znaleźć jakiś czekający na mieszkanie denuncjant, który w przeszłości ich zięcia zwietrzyłby swoją szansę.

Gdy tylko ojciec znalazł pracę, dziadkowie poprosili go, żeby się wyprowadził. W końcu nie był żadnym krewnym. Został zatrudniony jako kontroler w magazynach dużych zakładów chemicznych. Jego narodowosocjalistyczne przekonania firmie ani trochę nie przeszkadzały, wprost przeciwnie, jako pracownik był bardzo ceniony. Wielkoniemieckie cnoty - sumienność, dyscyplina i talent organizacyjny - były na tym stanowisku mile widziane. Z czasem przydzielono mu paru Turków z Anatolii, którzy, jego zdaniem, nie mieli żadnego pojęcia o uczciwej pracy, ale w więzieniu trochę złągodniał i traktował ich z dobroduszną pobłażliwością.

W naszym domu nigdy nie mówiło się o wojnie. Nigdzie się o niej nie mówiło. Ojciec był po prostu żołnierzem, spełniał swój obowiązek patriotyczny, został skazany jak wielu innych i tyle. Dopiero po latach, kiedy już kończyłem studia, odważyłem się zapytać go o przeszłość. Na uczelni wrzało wtedy jak w ulu, byliśmy rozpolitykowani, demonstrowaliśmy, protestowaliśmy, budowaliśmy barykady. Wydawało się, że w Niemczech powiał nowy wiatr. Wielkie nadzieje wiązaliśmy z Willim Brandtem, wierzyliśmy, że dzięki niemu znormalizują się stosunki z blokiem wschodnim. Wstąpiłem do SPD i powiedziałem o tym ojcu. Wzruszył tylko ramionami.

- Dlaczego nie? SPD lada dzień dojdzie do władzy, trzeba trzymać z tymi, którzy rządzą. Ja też należałem do NSDAP.

- Chyba żartujesz, nie możesz porównywać socjaldemokratów z nazistami! - oburzyłem się, ale ojciec parsknął śmiechem i powiedział:

- Różnica jest tylko jedna: przegraliśmy wojnę. Gdybyśmy ją wygrali, bylibyśmy bohaterami. Zwycięzcy zawsze mają rację. Rachunki płacą tylko ci, co przegrali.

Był po prostu niepoprawny. Matka nie miała żadnych trudności z przeprowadzeniem na odległość rozvodu, z amerykańskiego punktu widzenia nikogo nie można było zmuszać do pozostania w związku małżeńskim z narodowym socjalistą. Nie wywarło to na nim żadnego wrażenia. Dla niego umarła w momencie, kiedy związała się z przedstawicielem armii, która podbiła jej kraj. W dodatku kolorowym.

-Wszystko przez ten uniwersytet - po co babie studia? -oświadczył. - Dziadek zupełnie niepotrzebnie wysłał ją do wyższej szkoły rolniczej. Chował ją na dziedziczkę Stradunken, zupełnie jakby była chłopakiem, zamiast przygotować ją do roli żony i matki. Kursy gospodarstwa domowego całkowicie by jej wystarczyły. Stradunken diabli wzięli, ona siedzi z tym czarnym za oceanem i tyle teraz ma twój dziadek z tego jej studiowania.

Pewnie dlatego, zawierając po raz drugi związek małżeński, ojciec wybrał sobie kobietę, która bardziej odpowiadała jego wyobrażeniom o dobrej żonie. Elsa była bufetową w kantynie firmy, w której był zatrudniony. Oczywiście, natychmiast po ślubie zrezygnowała z pracy, żeby całkowicie poświęcić się prowadzeniu domu. Ojciec nie mógł jej się nachwalić i może rzeczywiście była dla niego lepszą partnerką niż moja kapryśna matka. Im bardziej ją chwalił, tym bardziej jej nie lubiłem. Uważałem ją za kompletną idiotkę i regularnie doprowadzałem do łez, chociaż bardzo się starała o moje względy, robiła dla mnie na drutach swetry i podtykała mi pod nos ciasta własnego

wypieku. Babka powiedziała o niej kiedyś: „*Ackergaul*\*<sup>25</sup>. Są konie do wyścigów i konie do furmanki - ta jest do furmanki". Elsa była spokojną, tęgą kobietą, która na swój plebejski sposób byłaby nawet ładna, gdyby nie kompletny brak szyi. Wydawało się, że jej duża głowa z ondulowanymi blond loczkami wyrasta bezpośrednio z ramion. Usiłowała tuszować ten mankament kolorowymi apaszkami i nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział ciotkę Elbę bez szaliczka czy jakiejś chusteczki.

A jednak właśnie z tego niedobranego związku, z małżeństwa supernordyckiego przedstawiciela rasy wyższej ze zwykłą kuchcią, urodziło się niezwykle stworzenie: moja przyrodnia siostra Tilly.

Ojciec pozostał wierny swojej skłonności do napuszonych imion i nazwał ją Otylią, ale wszyscy mówili do niej Tilly. Była samym wdziękiem. Ludzie rozpltywali się na jej widok, wołali: „Jaka słodka mała przylepka!" i brali Tilly na kolana, żeby ją wycalować i wyściskać.

Szalałem za nią. Od chwili jej przyjścia na świat kochałem w niej wszystko, ale chyba najbardziej uwielbienie, jakie mi okazywała. Byłem dla niej najważniejszym człowiekiem na świecie, największym autorytetem. Dzielilo nas dziesięć lat różnicy, chłopaki ze szkoły pękali ze śmiechu, że robię za niańkę, a ja naprawdę z przyjemnością pchałem jej wózek. Byłem z niej dumny jak paw. Robiłem dla niej latawce, wycinałem z kory łożeczki, kiedyś nawet zbudowałem trzypiętrowy dom dla lalek z prawdziwymi tapetami, frankami w oknach i drewnianymi parkietami. To ja nauczyłem ją jeździć na łyżwach i pływać, a kiedy była starsza, fokstrota i rock and rolla. Byliśmy nierozłączni - a jednak w tym jednym decydującym momencie zabrakło mnie u jej boku i nigdy tego sobie nie wybaczę.

Tilly miała zaledwie siedemnaście lat, kiedy po kłótni z ojcem wyprowadziła się z domu. Zamieszkała w komunie - pięciu chłopaków i cztery dziewczyny - w zrujnowanej willi w Sachsenhausen. W tej dzielnicy domy wykupywali spekulanci, żeby je wyburzać i budować na ich miejscu nowe i większe, ale budynki natychmiast zajmo-

---

<sup>25</sup> \* koń pociągowy

wali studenci, żeby nie dopuścić do ich zniszczenia. W tamtych czasach Frankfurt był siedzibą nowej lewicy i przypominał beczkę prochu, ale ci, z którymi zamieszkała Tilly, nie byli żadną rewolucyjną elitą, tylko rozpuszczonymi szczeniakami z zamożnych domów. Była nimi kompletnie zafascynowana, szczególnie jednym z nich, Felixem, który wyglądał tak, jakby się nigdy nie mył. Niestety, właśnie w tym czasie Tilly dowiedziała się, że nasz ojciec, skromny kierownik magazynu, ma za sobą karierę w NSDAP i zupełnie ją

TILLY

to wytrąciło z równowagi. Zerwała wszelkie stosunki z rodzicami i znalazła w komunie swoją nową duchową ojczyznę.

Gdy ją znowu zobaczyłem, była już po praniu mózgu i bredziła w kółko o walce klas i zrywaniu maski z twarzy faszyzmu. Przyjaciele z komuny nawet nie pozwolili mi z nią sam na sam porozmawiać, powiedzieli, że u nich wszystkie problemy omawia się w grupie i grupa decyduje. Grupa zdecydowała, że Tilly ma rację, zrywając ze swoim faszystowskim domem rodzinnym i należy jej przy tym pomóc - na przykład wyrzucając mnie za drzwi. A o Tilly nie muszę się martwić, już oni się o nią zatroszczą.

Ale źle się o nią zatroszczyli, bo pół roku później już nie żyła. Wypadła z okna drugiego piętra, była pod wpływem LSD. LSD było wtedy modne i uważane je za nieszkodliwe, ale zdarzało się, że po zażyciu miało się zamiast słodkich snów koszmarne stany lękowe i popadało się w depresję. Być może to stało się powodem śmierci Tilly, a może po prostu wychyliła się zbyt daleko z okna i straciła równowagę.

Jak było naprawdę, pewnie nigdy się nie dowiem.

Uważam, że robisz duży błąd, moja droga, wprowadzając się do mężczyzny, którego znasz zaledwie od miesiąca - powiedziała potępiająco pani Baumkotter.

Stała na środku pokoju i posepnie obserwowała pakującą się Agnieszkę z ramionami skrzyżowanymi na wykrochmalonych koronkach dirndla. Ten romantyczny strój zupełnie nie pasował do jej płaskiej piersi i szerokich barów. Zamiast wyglądać jak Heidi z gór, wyglądała jak ciasno zasznurowany kościsty baleron. Nawet żółte oczy Merlina śledziły ją krytycznie. Ilekroć musnęła, przechodząc rąbkiem spódnicy jego złożony na łapach pysk, wzdychał ciężko, jakby chciał powiedzieć:

- Och, Effi, daj sobie spokój z tą przebieranką. Włóż lepiej jakieś oficerki i skórzany płaszcz, w falbankach i haftach zupełnie ci nie do twarzy.

Po co ona tu sterczy?, zastanawiała się Agnieszka. Myśli, że coś ukradnę? A może to taka forma pożegnania, coś w rodzaju ostatniej posługi?

Sądząc po minie opartego o framugę drzwi Gigi Amareno, przeprowadzka Agnieszki do Hageny była czystym szaleństwem. Jak mogła! Prosto z jego, Gigi, ramion w objęcia tego cherlaka! Jeszcze nigdy nie czuł się tak okropnie upokorzony. Poprzedniego dnia usiłował zaciągnąć ją do łóżka, żeby zrozumiała, ile traci. Chciał ją doprowadzić do niebotycznego orgazmu, jęków zachwyty, krzyków rozkoszy i błagania o więcej, uszczęśliwić, jak tylko mężczyzna Południa potrafi uszczęśliwić kobietę, a potem namalowałby jej akt, pijąc ciężkie wino i pogryzając oliwki. Był nawet skłonny okazać wspinałomyślność i wybaczyć jej niefortunny epizod z niemieckim szkieletem, ale nie dała mu żadnej szansy. Postukała się palcem w czoło, ale nic nie powiedziała, pomyślała tylko: Wiesz Gigi, na czym polega problem z wami, południowcami? Każdy z was uważa się w jakiś sposób za Chrystusa. Do trzydziestego roku życia mieszka z rodzicami, jest przekonany, że jest synem Boga, a jego matka jest dzie-

wicą. Bardzo możliwe, że w twoim kraju wywiera to na kobietach piorunujące wrażenie, ale u mnie nie masz żadnych szans.

Może musiała po prostu odejść, żeby wrócić?, pomyślał z kolei Gigi. Tak jak on co roku opuszczał swoją wyspę, żeby się rozejrzeć, co mu świat ma do zaoferowania, stwierdzić, że wcale nie więcej niż może znaleźć w Ponte, i wrócić z przyjemnością.

- Możesz w każdej chwili wrócić, A-Kiszka - zapewnił posepnie. - Możesz mieszkać u mnie.

O nie, żadnego włoskiego burdelu pod moim dachem tolerować nie będę, chciała się zastrzec pani Baumkotter, ale przypomniała sobie ostatni atak szału Gigi i zrezygnowała. Powtórzyła tylko:

- Robisz błąd, Agnes. Prawie go nie znasz. Nic o nim nie wiesz.

- Och, wiedzieć wystarczająco dużo, pani Baumkotter, naprawdę. Pan Merz być solidny człowiek i pracować w poważnej, państwowej instytucji.

Urzędnik! Może nawet Wydziału Finansowego? Pani Baumkotter jęknęła w duchu. Nie miała najmniejszej ochoty widywać urzędników finansowych w swoim przedsiębiorstwie popychanym siłami nielegalnie zatrudnianych Polek.

- Jaki urząd? - zapytała podejrzliwie. - Podatkowy może? Albo pracowników cudzoziemskich?

Agnieszka pokręciła z zapalem głową.

- Nie, coś z budowaniem, ale zapomnieć nazwy. Budowlany! Też niedobrze. Nie daj Bóg, taki od pozwoleń na

budowę, przepisów przeciwpożarowych i kontroli wykonawstwa. Pani Baumkotter budowała jak żyła, nie stosując się do przepisów i - gdzie się tylko dało - nie płacąc podatków. Śmiechu warte, żeby miała składać plany, liczyć statykę i przykładać pieczątki, ile razy potrzebowała nowej mansardy dla swoich nielegalnych pracowników.

- Mam nadzieję, moja droga Agnes, że zdajesz sobie sprawę z tego, jaką okazją jest dla was praca u mnie. Daję wam możliwość godziwego zarobku, który pozwala wam przeżyć w waszej biednej ojczyźnie. Obawiam się jednak, że ta forma pomocy twojemu nieszczęśliwemu narodowi nie znajdzie zrozumienia w oczach władz fi-



skalnych. Trzymaj więc język za zębami i pamiętaj, że chodzi tu nie tylko o ciebie, ale i o Gabrysze, Małgosze i Kasze.

- Pamiętać, pamiętać, pani Baumkotter. Niech się pani nie martwić, wszystko będzie dobrze. Jutro przyjść do pracy jak zawsze.

Dzień wcześniej Hagen powiedział do Agnieszki:

- Skarbie, naprawdę nie musisz dźwigać brudnych talerzy. Dobrze zarabiam, wystarczy dla nas obojga. Mam oszczędności, jeżeli chcesz, poszukamy nowego mieszkania i ładnieje urządzimy. Do tej pory nie zależało mi na gratach czy garnkach, ale teraz kupimy wszystko, co ci się tylko spodoba.

Rzeczywiście, Hagen mieszkał po spartańsku w trzech pokojach na poddaszu, umeblowanych głównie książkami. Stały na regałach, leżały na krzesłach i piętrzyły się w porządnie ułożonych stosach wzdłuż ścian. Poza tym mieszkanie było puste jak klasztorna cela. Całe wyposażenie stanowiło proste łóżko i duże biurko, szafę zastępował drążek gimnastyczny w przedpokoju. Odnosiło się wrażenie, że właściciel powrócił właśnie z dalekiej podróży i jeszcze nie zdążył się rozpakować.

Drzwi do jednego z pomieszczeń pozostawały w trakcie pierwszych wizyt Agnieszki zawsze zamknięte. Sądziła, że Hagen wrzuca tam po prostu wszystkie kłopoty i drobiazgi, które zazwyczaj zagracają kawalerskie gospodarstwo: pudła po przeprowadzce, zepsuty sprzęt elektroniczny, stare narzędzia, przypalone patelnie i brudne skarpetki. Myliła się jednak. Zamiast stosu rupieci Hagen ukrywał w tym pokoju swój skarb.

Postanowił pokazać go Agnieszce dopiero w chwili, kiedy zawisła mu na szyi i powiedziała, że na gratach i garnkach też jej nie zależy, ale na nim to nawet bardzo. Zamknął każdą jej powiekę pocałunkiem i nie pozwolił otwierać oczu, aż powie „już”. Przekreślił klucz w drzwiach, zapalił światło i szepnął do jej ucha:

- Już.

W pierwszej chwili nie mogła pojąć, co właściwie widzi. Najbardziej przypominało to senne majaczenia. Pomieszczenie wypełniały pelgające światełka i roztańczo-

ne cienie, dziesiątki drżących, rozkołysanych figur. Ze wszystkich stron otaczały ją splecione jak koronka fałdy szat, rozwiane fryzury, wygięte ramiona, rozpędzone kopyta, trzepoczące skrzydła, wyszczerzone kły, błyskające białka oczu. Oddalały się i przybliżały, rozpląwały się w szafranowej poświacie, żeby po chwili pojawić się znowu z taką wyrazistością, że mogła rozpoznać każdą zmarszczkę i każdą gniewnie wygiętą brew. Czarne, czerwone, złote - żywe.

- Jakże to piękne! - zawołała i jej dłoń przywarła mocniej do jego dłoni. - Ale... co to właściwie jest?

- Mój teatr cieni, Agnes - odpowiedział Hagen.

Dopiero teraz zrozumiała, że wzdłuż ścian ustawione są ekrany, a to, co widzi, to cienie znajdujących się za nimi figur, które ożywiło pulsujące światło. Hagen ostrożnie wydobywał jedną po drugiej i mówił z czułością:

- Zbierałem je po całym świecie. To Nang Taloong z Tajlandii. Te na bambusowych kijkach, to Wayang Kulit z Bali. Tamtego dziwnego zwierzaka przywiozłem z Chin, nazywa się Quilin. Jest symbolem miłosierdzia i przynosi synów bezdzietnym małżeństwom. Damarwulan pochodzi z Jawy, sprytny chłopak, wygrywa z każdym przeciwnikiem. Ale najcenniejsza jest ta duża postać, Nang Yai, żeby ją znaleźć, przejechałem cały Bangkok.

Figury były wykonane z cienkiej, delikatnej skóry, misternie wycięte i pomalowane. Niektóre miały na sobie kostiumy, pokryte ornamentami, przypominającymi bogaty haft. Były półprzezroczyste i kiedy Hagen przybliżał je do ekranu, pod światło widoczne były nie tylko ażurowe kształty postaci, ale i ich barwy.

- Są niezwykle, Hagenie. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie pięknego.

- Są jak dzień i noc, jak ogień i ciemność, jak światło i cień. Jak ciemna strona nas samych. Dla Azjatów nie istnieje różnica między rzeczywistością a snem, cienie pośredniczą między światem żywych i światem duchów. Teatr cieni to misterium. Ludzie Dalekiego Wschodu wierzą, że jak długo trwa spektakl, tak długo towarzyszą im ich przodkowie i otaczają ich swoją opieką. Od tej chwili będą czuwali także nad tobą, Agnes.

Hagen wciąż zadziwiał Agnieszkę. Jak buddyjski mnich obywatel się bez większości zdobyczy cywilizacji, nie miał ani telewizora, ani elektrycznej maszynki do golenia, ale gromadził bezcenne przedmioty, których zdobycie musiało go kosztować wiele trudu. Wartość jego teatru cieni była na pewno ogromna, a miał też setki szlakerskich płyt, prawdziwy adapter na igłę i imponujący zbiór pocztówek z początku wieku. Agnieszce najbardziej podobały się te z Franciszkiem Józefem, przedstawiające go jako słodkie bobo w koronkowej sukience. Inne służyły pokrzepieniu serc, widnieli na nich bohaterscy żołnierze ze wszystkich frontów pierwszej wojny światowej, którzy wprost nie mogli się doczekać, żeby zginąć za ojczyznę. Ale była też i pocztówka z 1941 roku z małym chłopcem w stroju Hitlerjugend. Jego wyprężone w faszystowskim pozdrowieniu ramię przepasane było czerwoną wstążką ze swastyką. Na odwrocie jakaś ciotka Marta gratulowała kochanej Luizie i drogiemu Dietmarowi przyjścia na świat potomka. Miała szczerą nadzieję, że mały Hagen wyrośnie na chwałę ojczyzny i Fuhrera.

Widząc niedowierzanie w oczach Agnieszki, Hägen rozłożył bezradnie ręce.

- Co chcesz? Takie wtedy były czasy. Ciocia Marta nie była żadnym potworem, tylko przemiłą, serdeczną kobietą. Bardzo ją lubiłem! Szkoda, że jej nie możesz poznać, zmarła trzy lata temu. Wierzyła w to, w co wszyscy wierzyli: w Hitlera, wyższość kultury niemieckiej i ostateczne zwycięstwo. Była estetką i intelektualistką, wielką wielbicielką Goethego i muzyki Wagnera. Założyła w Stradunken teatr amatorski i muzeum ziemi ojczystej. Do śmierci była przekonana, że Oświęcim był wymysłem komunistycznej propagandy.

- Nie jestem pewna, czy chciałabym poznać ciocię Martę, nawet gdyby jeszcze żyła - zauważyła sztywno Agnieszka. - Na podstawie twoich opowiadań obraz twojej rodziny wydaje mi się raczej... jakby tu powiedzieć? Niepokojący?

- Mój aniele, moja rodzina nie odgrywa dla mnie żadnej roli, tylko ty się liczysz. Zrobię wszystko, żebyś była bardzo, bardzo szczęśliwa. Moi rodzice już nie żyją, Tilly też nie, pozostała tylko babcia Minna. Byłem z nią jako dziecko bardzo związany, ale

w tej chwili trudno się z nią porozumieć. Odplynęła w szczęśliwsze czasy, w których była młoda, piękna i bogata. Coraz rzadziej z nich powraca. Chciałbym, żebyś ją poznała. Pojedziesz ze mną do niej? Na pewno ogromnie się ucieszy.

Agnieszka wcale nie była o tym przekonana, ale wyraziła zgodę i w niedzielę po śniadaniu ruszyli do Bad König, gdzie babka Hagenowa zajmowała wygodne jednopokojowe mieszkanie w Rezydencji Seniora *Odenwaldpalais*. W tym kraju większość staruszków umieszczano w jakichś otoczonych parkiem „rezydencjach”, położonych pośród pięknego krajobrazu i możliwie daleko od miasta. Widocznie, żeby nie wpadło im do głowy wrócić piechotą do domu. Agnieszce, której własna babka do ostatniej chwili była pełnoprawnym członkiem rodziny, to zamykanie staruszków w luksusowych, ale przymusowych rezerwatach, wydało się nieludzkie.

Babka Hagenowa leżała w wózku inwalidzkim na tarasie przed domem, owinięta ciepłym kocem w kratę. Pod plecy miała podsunięty jasieczek, na jej kolanach leżała grzbietem do góry rozłożona książka. Siwy warkocz był starannie upięty w staroświecką koronę i przykryty eleganckim słomkowym kapeluszem, przepasanym jedwabną szarfą. Pokryta brunatnymi plamami i pomarszczona jak zimowe jabłuszko skóra robiła wrażenie przezroczystej. Jej oczy były zamknięte, na twarzy malował się wyraz niebiańskiego spokoju. Być może spała i śniła coś miłego, ale równie dobrze mogła być nieżywa.

- Ile babcia ma lat? - szepnęła Agnieszka do ucha Hagenowa.

- Dziewięćdziesiąt pięć - odszepnął. - Trzyma się świetnie jak na swój wiek, prawda? Babciu? Halo, babciu, obudź się, to ja, Hagen.

Staruszka otworzyła oczy niebieskie jak niezapominajki i uśmiechnęła się.

- Wcale nie spałam - powiedziała serdecznie. - Czekałam na ciebie, Karl. Tak długo nie przychodziłeś.

- Oj, babcia chyba nie jest dzisiaj w formie - mruknął Hagen.

- Bierze mnie za dziadka. Babciu, jestem Hagen, twój wnuk, przypominasz mnie sobie?

Na twarzy staruszki odmalował się niepokój.

- Hagen? Hagen mnie martwi, proszę pani, bardzo martwi -zwierzyła się Agnieszce. - Biedny aniołek, jak uciekaliśmy ze Stradunken, stracił wszystkie swoje zabawki. Nigdy nie odzyskał równowagi po tym ciosie. Ale, ale, czy już przedstawiłam pani mojego męża? Karl jest inżynierem, zbudował drogę żelazną do Królewca. Mamy teraz połączenie kolejowe ze stolicą, to taka wygoda!

- Wszystko jej się pomieszało - zmartwił się Hagen. - Babciu, to moja narzeczoną, Agnes. Agnes jest z Polski.

- Polska? Ja mówię po polsku: cientopry, cienkuje, nie tszepa. Nasz zarządca w Stradunken jest Polakiem, Herr Kornecki. Cokolwiek by się mówiło o Polakach, bardzo kompetentny człowiek. Zna go pani może? A mojego męża? Pani pozwoli: Karl Kroków, inżynier. Zbudował kolej do Królewca.

- Hagen, babciu, Hagen. Twój wnuk.

Staruszka wbiła ptasie pazurki w grzbiet dłoni Agnieszki i przyciągnęła ją do siebie.

- Hagen chce mnie zamknąć w domu starców - wyszeptała. -A przecież w Stradunken dla każdego wystarczy dachu nad głową i miejsca przy stole. To jakieś nowomodne wymysły, żeby pozbywać się starszych ludzi, chociaż to właśnie oni pielęgnują tradycje rodzinne i są wzorem dla młodszych pokoleń. A jak się pani podoba u nas w Stradunken? - zakończyła głośno, zataczając szeroki krąg laską. - Trzeba przyznać, że dzięki panu Korneckiemu park jest pięknie utrzymany.

- Bardzo - westchnęła Agnieszka i posłusznie rozejrzała się dookoła. Po alejkach spacerowały rozćwierkane pielęgniarzki, popychając energicznie wózki z bezwładnie zwisającymi pacjentami.

- Szalenie romantyczne miejsce.

- Ale nie podoba mi się, że wciąż rekwirują dom dla rannych żołnierzy - poskarżyła się babka Hagen. - Rozumiem, że jest wojna i wszyscy musimy ponieść ofiary, ale jak wszyscy to wszyscy, a nie tylko my w Stradunken. Są jeszcze inne dwory w okolicy. Jedno skrzydło wystarczyłoby w zupełności. Karl, koniecznie musisz poroz-

mawiać z tym niesympatycznym majorem, który był wczoraj u nas na kolacji. Bądź stanowczy. A teraz przyprowadź mi Hagenę, kochane dziecko.

Hägen spojrzał bezradnie na Agnieszkę i wzruszył ramionami.

- Babcia ma lepsze i gorsze dni. Dziś jest ten gorszy.

Ścieżką przemknął żwawo staruszek z laseczką. Jego prawie łysy czerep był starannie przykryty pasemkami długich, siwych włosów, zaczesanych na bok i przyklejonych utrwalaczem. Poruszał się, przesuwając bardzo szybko stopy i prawie nie odrywając ich od ziemi, jak tancerki „Bieriozki”. Można by przysiąc, że płynie przez park unoszony powiewem wiatru.

- Witam, pani von Kroków, dobrodziejko, witam serdecznie! Piękny mamy dzisiaj dzień, nieprawdaż? Widzę, że ma łaskawa pani gości, wnuk panią odwiedził. Kochany chłopak, wyjątek w dzisiejszych czasach! O wiele za rzadko zdarzają się podobne przykłady wzruszającej troski i miłości rodzinnej - szczęściara z pani, pani Minno. Co z naszym koncertem w parku zdrojowym? Wybierze się pani ze mną?

- Nie mogę! Jak sam pan zauważył, odwiedziła mnie rodzina. Przyjechał mój mąż i kuzynka ze Stradunken.

- Ze Stradunken? Ależ to teraz Polska, łaskawa pani!

- Jak to Polska? Od kiedy? Żadnej Polski w Stradunken nigdy nie było! - zdenrowowała się babka Hageny.

- No, chyba od Konferencji Poczdamskiej - podsunął usłużnie starszy pan. - A już z całą pewnością od ratyfikacji umów wschodnich, od 1972 roku.

- Dlaczego nikt tego ze mną nie uzgodnił, Hagenie?

Na szczęście, rozległ się dźwięk gongu i pielęgniarki zaczęły zaganiać pensjonariuszy w kierunku budynku, nawołując ze sztucznym ożywieniem:

- Podwieczorek! Prosimy na podwieczorek!

Dla Agnieszki i Hageny nakryto przy stoliku pani von Kroków. Siedziała już przy nim jakaś kobieta, przyglądając się im spode łba.

- Mam nadzieję, że wystarczy dla wszystkich ciasta - powiedziała ponuro.

- Z całą pewnością - obiecał jej Hägen. - Poza tym przywieźliśmy cały karton ptysiów.

- Nie mam zamiaru nimi się dzielić - zakomunikowała babka Hagen, a obca kobieta popatrzyła na nią ze złością i wydlubała z ust sztuczną szczękę. Położyła ją na obrusie obok talerza i skrzyżowała wyczekująco ręce na piersi.

- To się jeszcze okaże - oświadczyła sucho. - Istnieją pewne zasady dobrego wychowania, których w tym domu należy przestrzegać.

Zaledwie wesoła pielęgniarzka z dużym biustem zdążyła postawić na stole półmisek z ciastem rabarbarowym, nieznajoma chwyciła błyskawicznie dwa kawałki. Jeden ścisnęła mocno w garści, a drugi wsunęła sobie do ust, przy czym oczy wylazły jej z orbit i policzki wypchnęły się jak balony.

- Ajajaj, pani Meyer, pani Meyer, przecież tak nie można, nie jest pani sama. Niegrzeczna dziewczynka - pogroziła jej żartobliwie palcem pielęgniarzka. - Proszę położyć ciasto, które trzyma pani w ręce, z powrotem na półmisku.

- Nie jestem głodna - zapewniła ją szybko Agnieszka. -1 nie lubię rabarbaru.

Lekarz opiekujący się babką Hageną był jowialnym grubasem z rozwichrzoną kruczoczną brodą i przyprószoną siwizną czupryną. Przyjął ich w staroświecko urządzonym gabinecie, gdzie na ścianach straszyły oprawione w ciężkie ramy tablice ukazujące obdartych ze skóry mężczyzn pokrytych pajęczyną tętnic. Na biurku stał model lędźwiowej części kręgosłupa, którym lekarz bawił się w czasie rozmowy.

- No więc, ja bym tam nic nie zmieniał w terapii pana babci - powiedział, grzechocząc wesoło kręgami. - Przecież to wielkie szczęście, kiedy człowiek może zapomnieć o wszystkim, o czym nie chce pamiętać. Sam bym tak chciał. Dla niej nadal żyją wszyscy, którzy byli jej bliscy, jest młoda, piękna, sądzi, że ma dobra w Prusach Wschodnich, wydaje bale i jeździ na polowania w tym swoim Stradunken... dobry Boże, czego chcieć więcej? Stradunken to teraz Polska, prawda? Był pan tam kiedyś?

Hagen skinął głową.

- Byłem. Dwór stoi, nawet go odnowiono. Mieści się w nim szkoła. Ziemię rozparcelowano. Wszystko bardzo biedniutkie, myślę, że nigdy nie było takie, jak we wspomnieniach babci.

Lekarz roześmiał się hałaśliwie.

-No to sam pan widzi, że babcia jest szczęśliwsza od nas wszystkich! Nadal bawluje i goni konno za lisem. Niechże jej pan pozwoli zostać tam, gdzie ma dobrze: w Stradunken swoich marzeń.

- Martwię się jednak, że mnie nie poznaje. Czasami odnoszę wręcz wrażenie, że się mnie boi. Kiedy myśli, że jestem dziadkiem, skarży się na Hagenę, to znaczy na mnie.

- Niestety, to typowe dla starczej demencji - westchnął lekarz, strzelając z dużą wprawą miednicą kręgosłupa. Być może używał go w adwencie do łupania orzechów.

- Taka mała mania prześladowcza, nic na to nie można poradzić. Człowiek przestaje rozumieć świat, a czego nie możemy ogarnąć, wydaje się nam groźne. Robimy się podejrzliwi, zaczynamy posądzać bliźnich, że dybią na nasze życie, pielęgniarzki dosypują do jedzenia arszeniku, a lekarze z czystej złośliwości nie pozwalają nam na kieliszek koniaku. Pojęcia pan nie ma, z jakimi najdzikszymi zarzutami już byłem konfrontowany! Niech się pan tym zupełnie nie przejmuje. W rzeczywistości babcia czuje się tu doskonale. Może terroryzować pielęgniarzki, traktować je jak służące i kręcić nosem na inne pensjonariuszki, bo nie potrafią grać w brydża. Ma nawet adoratora. Pan Schemmeling podkochuje się w niej, zabierają do parku na koncerty, przynosi jej kwiaty i czekoladki. Pewnie by się z nią ożenił, gdyby nie była przekonana, że jej mąż żyje.

Pan Schemmeling musiał być tym zwawym staruszkiem z laseczką, który przypomniał babce Hagenę o umowach wschodnich. Pewnie jej się tym bardzo naraził.

- Panie Merz, niech mi pan wierzy: robi pan dla babci absolutnie wszystko, co jest w pana mocy. - Lekarz wstał, okrążył biurko i przysiadł na nim. Jęknęło pod jego ciężarem i ugięło się niebezpiecznie. Podziwiamy pana, wszystkie pielęgniarzki są w panu zakochane. Sam bym chciał mieć wnuka, który by się o mnie z takim oddaniem



troszczył. Może by mnie zastrzelił, zanim zrobię się paskudnym, złośliwym staruchem. - Znowu roześmiał się hałaśliwie i wyciągnął do Hageny okrągłą jak bochenek chleba dłoń.

- Jestem przekonany, że pańskie wizyty sprawiają babci wielką radość. Nawet jeżeli w pierwszej chwili jest zdezorientowana, z czasem ułoży sobie wszystko w głowie. My zaś dołożymy starań, żeby czuła się u nas jak najlepiej.

Poklepał Hagenę uspokajająco po ramieniu, uścisnął rękę Agnieszce i otworzył przed nimi szeroko drzwi. Wizyta była zakończona.

- Ja poznać też rodzinę Hageny, być bardzo sympatyczna - zapewniła Agnieszka panią Baumkotter. - Mieć przemiłą babcie.

Zakończyła pakowanie i zasunęła suwak torby. Gigi i Gabrysia asystowali jej, pogrążeni w żalobnym milczeniu.

- To żaden powód, żeby się do niego wprowadzać. - Pani Baumkotter była coraz bardziej niezadowolona. Za tym nowym wielbicielem Agnes rysował się niebezpieczny cień urzędów i przepisów, których firma „Ogródek Monachijski” absolutnie nie potrzebowała. - Przyjeżdżacie z tej Polski takie skromne, ciche i bogobojne, a potem, to jakby psa z łańcucha spuścił. Żadnych granic.

Gigi pośepnie pokiwał głową. Dokładnie tak właśnie było. Jak pies spuszczonego z łańcucha, kompletny brak hamulców. I to ma być polska katolicka dziewczyna!

Gabrysia wyjęła z szuflady figurkę Matki Boskiej stojącej na niebieskiej muszli z napisem „Pozdrowienia z Kalwarii Zebrzydowskiej”. Głowę figurki otaczała aureola z małych lampek. Włączone do kontaktu zapalały się i gasły jak światełka na choinkę.

- Weź ze sobą na nowe mieszkanie Najświętszą Panienkę, Agnieszko - chlipnęła. - Będę się za ciebie modlić.

- Nie musisz się za mnie modlić, możesz mnie po prostu odwiedzić - poradziła jej Agnieszka, której już spieszno było opuścić nielegalne poddasze pani Baumkotter i zacząć u boku Hageny nowe, lepsze życie.

Jednak do nowego domu Agnieszki niełatwo było trafić. Miasteczko nazywało się Erlenbach\*<sup>26</sup>, leżało w głębi Odenwaldu i rzeczywiście przecinał je obrośnięty olchami strumień. Prowadząca do Erlenbachu droga wiała się w głębi doliny, usiłując zachować potok na oku. Oddalała się od jego koryta, kiedy bieg strumienia stawał się wolniejszy i w zakolach zieleniły się splechotki łąk, na których pasły się konie, ale już za następnym zakrętem śpieszyła do jego brzegu. Ziemia tu była żyzna, trawa soczysta, a konie lśniące i dobrze wypasione. Pojedyncze zagrody, które mijali po drodze, były widocznie kiedyś młynami, dziś przypominały o tym tylko nazwy: Erlenmuhle, Gerbermuhle, Tuchmuhle, Waldmuhle. Olchowy Młyn, Garbarski Młyn, Sukienny Młyn, Leśny Młyn. Jedynie przy Leśnym Młynie widoczne były resztki łopat młyńskiego koła.

Łagodnie pofalowane wzgórza porastał rudziejący już bukowy las, z pól uprzęgnięto zboża i rzyska złociły się w słońcu. Tu i ówdzie na łąkach rosło rozłożyste drzewo, w którego cieniu spoczywały krowy o długich rogach i ciasno skręconych grzywkach.

- Jak tu ślicznie! - zachwyciła się Agnieszka, której pani Szwarz nigdy nie zdradziła, że Niemcy są ładnym krajem o sielankowych krajobrazach. Kraj narodu, który doprowadził do zagłady jej najbliższych, po prostu nie mógł być ładny. Dopiero Hagen postanowił zmienić krytyczny stosunek Agnieszki do jego ojczyzny i pokazał jej romantyczne doliny rzek, malownicze zamki i tonące w kwiatkach miasteczka o domach tak wąskich, że mogły je zamieszkiwać wyłącznie krasnoludki. Krasnoludki, kwiatki i bajki braci Grimm były tu znakami firmowymi. Hagen jak aportujący pies składał u jej stóp widoki, zabytki i ruiny, bo postanowił nie dopuścić do tego, żeby to

---

<sup>26</sup> \* Olchowy Strumień

czarujące stworzenie, które tak nagle pojawiło się w jego życiu, znowu wróciło do swojej zimnej i szarej Polski. Dopiero teraz, kiedy jej głos rozpędził ciszę w jego domu, zrozumiał, jak bardzo był do tej pory samotny. Nie pozwoli jej odejść, zatrzyma przy sobie, oczaruje wszystkim, co najlepsze: przełomem Renu, winnicami nad Mozelą, skałami Szwajcarii Frankońskiej. Byleby została.

I rzeczywiście wciąż jeszcze była, chociaż ostatniego dnia września pani Baumkotter zamknęła „Ogródek Monachijski” na zimową przerwę. Gabrysia i Małgosia wróciły do Polski, a Gigi odleciał do Neapolu.

- Aj, A-Kiszka - westchnął smętnie przy pożegnaniu, zamykając ją w ramionach.  
- Nie wiem, czy mam ci życzyć, żebyś była z tą niemiecką szkieletą szczęśliwa. Dlaczego ty go wybrać, chociaż mogła robić *amore* z prawdziwym mężczyzną Południa, który mieć wszystko na swoim miejscu i to w najlepszym gatunku? Masz tu *cornetti* od uroku, a jak ty do mnie napisać, to ja ci przysłać jakąś kosteczkę na strzygi i wilkołaki, ty koniecznie więc napisać.

- Jeśli chodzić o strzygi i wilkołaki, to my z Polski lepiej się na nich znać - zapewniła go wesoło Agnieszka. - Myje niejako wprowadzić na rynek. Bez porządnej strzygi pod łóżkiem życia sobie nie móc wyobrazić.

Gigi skrzywił się niezadowolony.

- Oj, ty sobie z takich rzeczy nie żartować, A-Kiszka. Rozejrzyj się dookoła, w tych okolicach co druga wioska nazywać się Galgen-berg, Teufelsstein albo Höllengrund\*<sup>27</sup>. Jak sądzić, dlaczego? Bo stąd bliżej do piekła. Złe siedzieć w tych górach.

- Powieszę sobie czosnek nad łóżkiem - obiecała Agnieszka. -Ja mieć zresztą ta Matka Boska od Gabrysi z aureola na bateria. W tych górach nie tyle złe mieszkać, ile duch Nibelungów. Taki artysta jak ty powinien traktować go jako inspirację.

- Inspirować mnie, inspirować, do *amore* z tobą - westchnął Gigi. - A teraz może mnie gdzieś pocałować.

---

<sup>27</sup> \* Góra Szubieniczna, Diabelski Kamień, Piekielny Jar.

- Cieszę się skarbie, że ci się tu podoba - powiedział do Agnieszki Hagen. - Ale zamknij oczy i otwórz dopiero, kiedy ci powiem.

Dom stał szczytem do ulicy. Murowany parter, na piętrze pruski mur, prawie czarne belki, pięknie rzeźbione, ozdobione kolorowymi ornamentami. Dziedziniec zamykała zwieńczona łukiem brama, na tyle szeroka, że mógł przejechać bez trudu wóz z sianem. Wryta była na niej data -1830 - i napis, mówiący o tym, że „Ten dom wybudowali z boską pomocą Peter Stellmacher i jego małżonka Eliza”. I jeszcze: *Gottes Guthe und Treu ist aller Mor gen neu*<sup>\*28</sup>.

- To tu! - zawołał Hagen. - Jesteśmy na miejscu. W piwnicy są nietoperze, a na poddaszu kuny - wszystko twoje, jeśli tylko zechcesz. Błagam, powiedz, że chcesz!

Czy chce? Już była w tym domu zakochana! Miał szlachetne proporcje i był urzekająco romantyczny, zupełnie jak dom babci w Falenicy. I ten piękny, zdziczały ogród! Przed oknem kuchennym mogłaby posadzić zioła - tymianek, estragon i miętę. Okiennice trzeba będzie, oczywiście pomalować, najlepiej na niebiesko. Może powinna mieć kompost w tym zacienionym kąciku pod murem? Sprawi sobie grube fajansowe talerze z granatowym szlaczkiem i lniane obrusy w kratkę. Latem będzie, jak babcia, nakrywała do stołu pod jabłonią, na weekendy będą zapraszali przyjaciół i podawali im mięso z różną, marynowane przez noc w oliwie z grubo pokrojonym czosnkiem i ziołami. Tak je przyrządzała babcia, kiedy jeszcze była babcia, a w sklepach oliwa. I wszędzie kwiaty, dużo polnych kwiatów, Agnieszka już widziała snopy chabrów i maków w glinianych dzbankach. Koniecznie też co najmniej dwa tłuste koty - a może lepiej pies? Poczowała się ogromnie szczęśliwa.

- Och, Hagen, skąd wiedziałeś, że całe życie marzyłam o takim domu? Czy naprawdę może być nasz?

- Może, zobacz: mam już nawet klucz.

---

<sup>28</sup> \* Kto buduje z łaski Boga, temu niestraszna żadna trwoga.

Dom był pełen pięknych, starych przedmiotów. Hagen umówił się z agentką nieruchomości, panią Berthold, że mogą sobie wybrać jakie tylko chcą meble i obrazy, resztę usunie specjalna firma. Agnieszka nie posiadała się z zachwytu - najchętniej zatrzymałaby wszystko.

W sypialniach stały jeszcze drewniane łóżka na toczonych nogach, komódki z marmurowymi blatami i otworami na miednice, wisiały fotografie wieśniaków spoglądających z powagą w obiektyw i obraz, przedstawiający dzieci na kładce nad rwącą rzeką. Za nimi pędził zaniepokojony Anioł Stróż. Taki sam obraz Agnieszka pamiętała z domu sąsiadki babci, pani Konopkowskiej.

W kuchni znaleźli żeliwny piec z fajerkami, makatkę za szkłem, na której było wyhaftowane: *Wenn du noch eine Mutter hast, dann danke Gott und sei zufrieden*<sup>29</sup>, półeczkę z fajkami o długich porcelanowych cybuchach i wyszywane krzyżykami ręczniki. Agnieszka szalała z radości - podobne sprzęty towarzyszyły jej w dzieciństwie i wciąż jeszcze widywało się w Polsce po wsiach. Wszystko wydawało jej się dlatego znajome i bliskie: blaszana bańka na mleko w sieni, emaliowane niebieskie wiadro, radio z lat pięćdziesiątych, znalezione na poddaszu zabawki na choinkę, rower, który niczym nie różnił się od roweru babci. Walczyła z Hagenem o każdą rzecz, nawet o skórzane męskie spodnie z pomponami u kolan i haftowanymi w szarotki szelkami, które nazywał knickerbockersami. Hagen mógłby się nimi dwukrotnie owinać, ale na nią akurat pasowały. Wyobrażała sobie, że spędzi życie wśród tych szlachetnych, prostych sprzętów, patrząc na własny zagonek portulaki i lubczyka, czując za plecami chłód doliny z jej rozgadany potoczkiem i olchami. Babcia mówiła, że olcha to niedobre drzewo, przypominała sobie, ale natychmiast odpędziła od siebie tę myśl. Z impetem rzuciła się Hagenowi na szyję, obejmując jego biodra nogami w knickerbockersach, aż rozhuśtały się czerwone pompony pod kolanami i zafurkotały w powietrzu.

---

<sup>29</sup> \* Jeżeli jeszcze masz matkę, to dziękuj Bogu i ciesz się.

- Hej, mój skarbie, pięknie wyglądasz, będziesz ozdobą miejscowej grupy folklorystycznej - zapewnił ją, poklepując po pupie. - Już widzę, jak tańczysz jeden z tych klasycznych tańców, z klaskaniem, jodłowaniem i waleniem się po udach. Ale teraz zdejmij te portki, jesteśmy umówieni z panią Berthold na obiad w gospodzie. Przecież chcesz mieć ten dom, prawda? A ja chcę, żebyś miała wszystko, czego tylko zapragniesz. Kocham cię, Agnes.

Pani Berthold była postawną blondyną z trwałą przywodzącą na myśl tlenioną owcę, biustem, na który można by odstawiać kieliszki, i dużych spiczastych zębach. Upodobały ją one do hieny, gdy wybuchała śmiechem, a robiła to często, bo śmiech był stałym elementem jej zawodowego wizerunku. Klient musiał odnosić wrażenie, że jest dowcipny i ma do czynienia z kimś, kto to docenia. Gdy tylko pani Berthold przeliczała błyskawicznie w pamięci swoją prowizję - a liczyła po mistrzowsku - jej uśmiech hieny stawał się coraz bardziej drapieżny. Nie była jednak w żadnym wypadku kobietą głupią, widząc więc zachwyt Agnieszki domem i cielece zakochanie Hage-na, natychmiast podniosła cenę o dwadzieścia procent. Wszyscy w okolicy nazywali ten dom Kołodziej ówką, chociaż ostatni kołodziej zmarł osiemdziesiąt lat wcześniej. Nowo wyliczona prowizja rozjaśniła jej twarz i jeszcze bardziej zaostrzyła zęby. Z zaskakującą przy jej tuszy zwinnością zerwała się ze stołka i podbiegła do nowo przybyłych. Gdyby jej klienci wiedzieli, że równie zwinnie liczy, byłiby ostrożniejsi. Dlatego nawet nie myślała o diecie: tusza nadawała jej poczciwy wygląd i budziła zaufanie.

- Witam, witam serdecznie w naszym Erlenbachu! Po minach widzę, że już obejrzelście państwo Kołodziejówkę, pani ma wypieki z wrażenia. No i co, chyba nie obiecałam panu zbyt wiele, panie Merz? Dom dla amatora, rarytas. Zauważyli państwo ten stary napis na bramie - cudne, prawda? A kamienne koryto do pojenia koni na dziedzińcu i kostkę bazaltową? Bezcenne! Zawsze mówię, że takie skarby można znaleźć już tylko z dala od wielkich miast, na prowincji, gdzie powietrze jest jeszcze czyste, a ludzie uczciwi. Prości, ale uczciwi. Okolice tu są przepiękne, lasy, jeziora,

góry, idealne do wędrówek albo konnych wycieczek. Gdybyście się państwo interesowali sportem jeździeckim, to polecam stajnię Róży Trautmannowej, a jeżeli gracie w golfa, to nie ma sprawy, ja to załatwię, prezes Hart-mann jest moim dobrym znajomym, wystarczy, że mu szepnę słó-weczko. Zawsze mówię, że przyjazne stosunki międzyludzkie są największą zaletą prowincji - prawda, Lotko, że zawsze tak mówię?

Kobieta nazwana Lotką, która do tej pory z nieprzeniknioną twarzą słuchała potoku słów agentki, polerując za kontuarem baru kieliszki, odłożyła ścierkę i podeszła do stolika.

- Zawsze mówisz, Trudo - zgodziła się. - „Zawsze mówię” jest twoim ulubionym powiedzeniem, następne w kolejności jest: „Nie ma sprawy, ja to załatwię”. Zamierza ją państwo kupić Kołodziejówkę? To bardzo ładny dom i w dobrym stanie. Hilda Stellmacher pokryła na nowo dach i założyła nową instalację elektryczną - no i bardzo dobrze, przedtem kopał człowieka prąd, ile razy dotknęło się kaloryfera. Hilda twierdziła wprawdzie, że jej to zupełnie nie przeszkadza: ona sama o tym wie, a obcy nie muszą w jej domu łapać za kaloryfer.

- Sanitarną też - wtrąciła szybko pani Berthold. - Wszystkie rury są wymienione. Nawet się dziwiliśmy, bo starsi ludzie rzadko decydują się na takie inwestycje, ale Hilda miała w głębi ducha nadzieję, że wprowadzi się do niej syn z rodziną. Nic z tego, niestety, nie wyszło.

- Co się stało z panią Stellmacher? - zainteresowała się Agnieszka.

- Och, serdeńko, umarła, jak to zwykle ze starymi ludźmi bywa. Zawsze mówię, że miała szczęście, mogła do śmierci mieszkać w swoim własnym domu. Ta zagroda należała do Stellmacherów od 1830 roku. Rodzili się w Erlenbachu, robili te swoje koła, żenili się, płodzili dzieci, a w końcu umierali i dziś leżą na naszym cmentarzu. Byli już państwo na cmentarzu? Koniecznie musicie go zobaczyć, jest tuż przy wjeździe do miasteczka, zaraz za zakrętem. Piękne, stare nagrobki, niektóre nawet kolorowe. Mnie się najbardziej podoba grób Elizy Stellmacher, żony tego Stellmachera, który wybudował Kołodziejówkę. Zamiast krzyża ma kapliczkę z sercem w środku. Biedaczka, długo nie cieszyła się nowym domem, zmarła w połogu trzy lata po przepro-

wadźce. A Peter długo po niej nie rozpaczał, po roku ożenił się ponownie. Zawsze mówię, że u chłopca to co z oczu, to i serca - oj, przepraszam pana, panie Merz, pana to oczywiście nie dotyczy.

Dzieci Hildy były pierwszym pokoleniem Stellmacherów, które rozeszło się po całym świecie. Katarzyna wyszła za mąż za Australijczyka i mieszka w Sidney, Thomas jest profesorem w Hamburgu, a Andreas dyrektorem banku w Berlinie. Przedtem pracował w Michelstadt, to niedaleko stąd i dlatego Hilda nie traciła nadziei, że się do niej kiedyś wprowadzi, ale cóż, także i on wybrał uroki wielkiego miasta. Całkiem inaczej niż państwo i muszę państwu pogratulować decyzji, bo zawsze mówię, że człowiek nie powinien oddalać się od natury, a naturę to my tu mamy, i to piękną. Dziś wszystkie dzieci Hildy mają własne domy i nie widziały innej możliwości poza sprzedaż, ale na pewno się ucieszą, jak się dowiedzą, że Kołodziejówkę kupiła taka młoda, miła para.

- Jeszcze nie kupiliśmy, pani Berthold - zauważył trzeźwo Ha-gen. - Nawet nie zaczęliśmy rozmawiać o cenie.

- A kto by mówił o cenie na pusty żołądek? Lotko, przynieś nam kartę, z łaski swojej! Zawsze mówię, panie Merz, że najtrudniej jest dobrać odpowiedni dom dla właściwych ludzi, a co do finansów zawsze można się dogadać. Co masz dziś dla nas dobrego, Lotko? Jest może ten wyśmienity comber sarni?

- Jest comber w śmietanie z kurkami - kurki z naszego lasu, sama zbierałam - pstrąg w koszulce z migdałów i pasztet z dziczyzny. Pasztet na gorąco, z zapiekanką z ziemniaków.

- Polecam comber. - Pani Berthold pochyliła się konspiracyjnie nad uchem Agnieszki. - Palce lizać, a te kurki! Lotka zna takie specjalne miejsca w lesie, gdzie tylko dla niej grzyby rosną, nawet rydze. Podejrzewam, że chodzi na Świńskie Uroczysko. Czy państwo wiedzą, że w dawnych czasach chłopcy z tych okolic nie trzymali świń w chlewiku, tylko pędzili je do lasu, żeby wyżywiły się same? Wykopywały sobie korzonki i pędraki, jesienią pasły się buczyną i żołądzmi, aż do listopada albo grudnia, kiedy tradycyjnie odbywało się świniobicie. To były biedne tereny, ich



mieszkańcy nie mieli nic do wyrzucenia. Trzoda musiała radzić sobie sama. Nazwy - Świńskie Pole, Świńskie Pastwisko, Świński Las - pozostały do dziś, ale mało kto wie, skąd się wzięły.

Obiad był wyśmienity. Agnieszka rozpięła dyskretnie pod stołem pasek spodni i pomyślała, że nawet Gigi Amareno mógłby się od Lotki czegoś nauczyć. Ciekawe, co w tej chwili robił Gigi? Pewnie *amore* z jakąś wielbicielką jego sztuki. Południowiec. Wszyscy południowcy są tacy sami.

W miasteczku była jeszcze jedna gospoda, do której przychodzili głównie mężczyźni na piwo. Poza tym był rzeźnik, oferujący domowe wędliny i na zamówienie dziczyznę, piekarz, kiosk z prasą

i książkami, a także mały supermarket, prowadzony przez dwie stuletnie, zdaniem Agnieszki, staruszki. Jedna z nich siedziała przy przedpotopowej kasie, druga pakowała zakupy klientów i układała niestrudzenie piramidy z puszek. Było więc wszystko, czego dusza zapragnie, a przede wszystkim przytulna atmosfera i - jak zapewniała pani Berthold - dobrosąsiedzkie stosunki. „Zdziwicie się państwo, jak szybko wrośniecie w naszą małą społeczność!”

Hagena nie trzeba było namawiać, wystarczyły mu uszczęśliwione oczy Agnieszki. U jej stóp chciał złożyć stu pięćdziesięcioletnią tradycję, kamienne koryto, kostkę bazaltową, kuny i nietoperze. Szczególnie tych własnych nietoperzy Agnieszka nie mogła się doczekać, choć nie miała pojęcia, jak do nich podejść planowane koty.

- Chciałbym ci stworzyć prawdziwy dom, skarbie. Nasz wspólny dom. Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, gdybyś za mnie wyszła. Całe życie marzyłem też o dzieciach, ale z niczym nie musimy się spieszyć. Najpierw musisz nauczyć się dobrze języka. Najważniejsze, że jesteś ze mną, ta myśl oszałamia mnie wciąż na nowo. Nawet nie próbuję sobie wmówić, że mógłbym żyć bez bez ciebie.

Wyjeżdżając z Erlenbachu, zgodnie z radą pani Berthold, zatrzymali się przy cmentarzu. Nagrobku Elizy Stellmacher nie musieli długo szukać, był jedynym, na którym widniało wyrzeźbione serce pomalowane na intensywnie czerwony kolor. Pod nim znajdowało się niecodziennej treści epitafium:

*Śpij, Elizo droga,*

*już cię przy mnie nie ma.*

*Lekką niech ci będą ten kamień i ziemia*

*i łagodnym wyrok Pana Boga.*

*Dobłą żoną mi byłaś,*

*jak żyć bez twej pomocy?*

*Wołam więc: Do zobaczenia!*

*Śpij słodko i spokojnej nocy.*

Jeżeli nawet mieli jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, to te napisane przed stu pięćdziesięciu laty słowa przeważyły ostatecznie szalę. Dom, zbudowany przez człowieka, który złożył tak niecodzienne wyznanie miłości, musiał stać się ich domem.

Pani Wallner z zadowoleniem przyjęła wiadomość o nowych właścicielach Kłodziejówki. Usłyszała ją od starej Dórze, starszej z dwóch sióstr Krautwald, które prowadziły sklep „Artykuły spożywcze i delikatesowe D&H Krautwald”. „D” oznaczało Dórze, a „H” Herthę. Dórze była od Herthy o dwa lata starsza i uważała, że uprawniają to do traktowania siostry jakby była idiotką. Zlecała jej wszystkie roboty, na które sama nie miała ochoty, to znaczy właściwie wszystkie poza obsługą kasy. Kasa miała mnóstwo kolorowych guziczków i szufladkę na pieniądze, która automatycznie wysuwała się i wsuwała przy dźwiękach dzwoneczka, co było dla Dórze źródłem niewyczerpanej radości.

Młodości sióstr Krautwald prawie nikt już nie pamiętał, one też niespecjalnie. Pozwalało to Dórze twierdzić, że spędziła ją, wychowując z poświęceniem Herthę, i tylko dlatego nie wyszła za mąż. Stary pan Wallner zapewniał jednak, że ta teoria nie jest warta funta kłaków, bo Dórze miała po prostu nogi jak słoń i szczękę boksera, ale pan Wallner był paskudnym, złośliwym staruszkiem i nikt mu nie dowierzał.

Przez całe życie siostry Krautwald mieszkały razem, pielęgnując wzajemną nienawiść. Jak stare małżeństwo dzieliły stół, sypialnię i wannę. Ze względu na oszczędność kąpały się nawet w tej samej wodzie, Dórze, oczywiście, jako pierwsza. Kłóciły się nieustannie, co jak wiadomo cementuje każdy związek, i zgodne były tylko w jednej kwestii, a mianowicie: Evrena Ylidorima, jedyne w Erlenbachu tureckiego przedsiębiorcy, który w swym małym sklepiku sprzedawał warzywa, owcze sery,

chałwę, orzeszki i egzotyczne przyprawy. Obserwowały go argusowym okiem i z rosnącym oburzeniem.

Anatolijskim zwyczajem Evren mieszkał w swoim sklepie i uważał go za centrum życia rodzinnego. Tutaj siorbał za ladą herbatę, klócił się z żoną i dawał w ucho dziecku. Nie miał zamiaru zmieniać swoich przyzwyczajzeń o szóstej trzydzieści wieczorem tylko dlatego, że jakaś niemiecka ustawa wymagała zamknięcia sklepu o tej porze. Nie będzie przecież z tego powodu spuszczał żaluzji i odsyłał z kwitkiem roztrzępanego klienta, któremu nagle zaświtało, że nie ma w domu chleba czy cebuli.

Wobec takiego niesłychanego lekceważenia prawa w siostrach Krautwald wszystko się gotowało. Ukryte 'za firanką inwigilowały dom Evrena, prowadziły skrupulatnie notatki i wysyłały donos po donosie. Starały się, jak tylko mogły, obrzydzić mu życie, ale Evren uśmiechał się jedynie z anatolijskim spokojem i nadal robił swoje.

- Jakaś młoda para kupiła dom Hildy Stellmacher - zakomunikowała Dórze pani Wallner, bardzo zadowolona, że jako pierwsza przekaze jej tak interesującą nowinę. - Wiem to od Lotki ze „Złotej Lipki”, a Lotka ma tę wiadomość z pierwszej ręki, od Trudy Ber-tholdowej. Hertho, na miłość boską, nie stój jak słup soli, zapakuj zakupy pani Wallner! Dzieci Hildy zleciły Trudzie sprzedanie Kołodziej ówki, a sama pani wie, że Truda sprzeda wszystko, sprzedałaby nawet własną matkę, gdyby jeszcze żyła. Jako dziecko rozkładała w niedzielę przed kościołem na ziemi kocyk, na nim stare zabawki, komiksy i gry planszowe i handlowała, ile wlaźło. Nie sposób było się o nią nie potknąć, jak się wychodziło z mszy. Kiedyś nawet gwizdnęła matce pół placka ze śliwkami i też go sprzedała - po pięćdziesiąt fenigów kawałek, w tamtych czasach! Ludzie się z niej śmiali, ale teraz już się nie śmieją, bo się nieźle na tym handlu nieruchomościami dorobiła. Ja tam uważam, że branie pieniędzy - i to dużych - za znalezienie kupca na cudzą własność jest niemoralne, w końcu to żadna praca, ale kwestie moralne Trudzie jeszcze nigdy nie spędzały snu z powiek. Ale, ale, skoro mówimy o śnie: Hertho, czy ty śpisz? Rusz się, klient wszedł! Pojęcia pani nie ma, pani Wallner,

co ja z tą Herthą mam: ptasi mózdzek i głowa w chmurach. Gdyby nie ja, umarłaby z głodu.

W drodze powrotnej pani Wallner wpadła do „Złotej Lipki”, żeby wypytać Lotkę o nowych sąsiadów. Robili sympatyczne wrażenie - powiedziała Lotka - mężczyzna nazywa się Merz, podobno architekt. Był z narzeczoną, która słabo mówiła po niemiecku. Rozmawiali ze sobą po francusku. Może Francuzka?

O Francuzach pani Wallner miała złe zdanie. Spędziła jedne wakacje w domu ze skorpionami na południu Francji i zupełnie jej to wystarczyło. Francuzi są hałaśliwi i kompletnie niezdyscyplinowani. Pałą śmierdzące papierosy, jedzą ślimaki i wyłowione z morza paskudztwa, a do kolacji siadają, kiedy każdy szanujący się człowiek już dawno śpi. Miejmy nadzieję, że nie Francuzka. Chyba nie zamierzają żyć ze sobą na kocią łapę? W Erlenbachu wciąż jeszcze nie było to przyjęte, ludzie najpierw się pobierali, a dopiero potem zamieszkiwali razem i kupowali domy. No cóż, przepisy podatkowe były łaskawsze dla małżeństw, więc wcześniej czy później pary pobierały się chociażby z tego powodu. Z tymi nowymi też tak będzie.

W tej chwili dom Stellmacherów był jedynym na całej ulicy, którego widok sprawiał pani Wallner fizyczny ból. Ogród zarastał chwastami, ze skrzynek na kwiaty sterczały uschnięte badyle, a z okiennic obłaziła płatami farba. Trudno było za to winić świętej pamięci Hildę, ale któreś z dzieci mogłoby doprowadzić chociażby ogród do porządku. No, może nie Katarzyna, którą zanosło na koniec świata, ale nie zaszkodziłoby, gdyby Thomas z Andreasem wpadli na jakiś weekend i posprząтали. Gdy tylko powiał wiatr, po prostu czuła, jak miliardy nasion perzu i pokrzyw przemieszczają się na jej teren. Ale w dzisiejszych czasach ludzie wstydu nie mają, każdy myśli tylko o sobie i nie zastanawia się, ile kłopotu sprawia innym. Okropność. Będzie musiała tych młodych od początku taktownie uczulić na kwestię ogrodu, w końcu podstawą dobrosąsiedzkich stosunków jest wywiązywanie się z podstawowych obowiązków. Jeżyny muszą jak najszybciej zniknąć, forsycje trzeba przyciąć, a te pnące róże pod płotem najlepiej będzie wyrzucić. Jakiś paskudny gatunek, jak kwitną - a kwitną

jak szalone - strasznie się z nich płatki sypią. Głównie na trawnik sąsiadów, czyli Wallnerów. Hilda była pod tym względem niepoprawna. Nazywała ten cały bałagan „romantycznym” i nic ją nie obchodziło, że pani Wallner całe lato spędzała na klęczkach, zbierając płatki jej róż.

Własny ogród pani Wallner miała pod kontrolą. Nie rosło tam nic, co mogłoby się pieniść, rozsiewać, przełazić za ogrodzenie albo przyciągać robactwo. Puszysty angielski trawnik w najlepszym gatunku, iglaki i ostrokrzewy, wiosną tulipany i żonkile: schludnie i elegancko.

Ogrodem zajmował się głównie mąż pani Wallner i była mu za to szczerze wdzięczna, bo Bóg jeden wiedział, ile pracy przysparzał jej dom. Od rana biegała uzbrojona w szczotki i ścierki, nie mogąc pozbyć się uczucia, że zarosną brudem, jeśli je choćby na chwilę wypuści z ręki. Dlatego też ich praktycznie nie wypuszczała. Przeszła przez życie w niebieskim roboczym kitlu, ciągnąc za sobą elektroluks, i gdyby mąż ją zobaczył w innym stroju, pewnie by jej nie poznał.

Co piątek myła okna w kuchni, w salonie raz na dwa tygodnie, pozostałe przynajmniej raz w miesiącu. Podłogi obowiązkowo codziennie, na szczęście położyli dwa lata temu wszędzie płytki ceramiczne, więc wystarczyło przejechać po nich mokrą szmatą. W przedpokoju stał rząd filcowych pantofli, żeby nie nanosić brudu z ulicy, dodatkowe dwie pary były dla gości. Łazienki przypominały laboratoria, całe baterie środków do czyszczenia i dezynfekcji czekały na półeczkach, aż pani Wallner rozprawi się z najdrobniejszym nawet mikroblem. Toaletom poświęcała szczególną uwagę. Lekceważenie kwestii higieny w tych pomieszczeniach byłoby niewybaczalne, klozety musiały być przynajmniej raz dziennie solidnie wyszorowane ajaksem i popsikane sagrotanem. Raz w tygodniu skrobała je żyłką. Na szczęście Gerd przyzwyczał się w końcu do klęknięcia przy siusianiu i już nie protestował - wiedziała od innych pań, że mężczyźni byli pod tym względem wyjątkowo oporni. Niektórym nie chciało się nawet podnosić deski, dla pani Wallner było to nie do pomyślenia: nie mogłaby żyć z kimś, kto pozostawia po sobie obsikaną ubikację. Jeśli o to chodzi, Gerd był naprawdę

dobrym mężem. Kiedy mył ręce, zawsze pamiętał o tym, aby przetrzeć umywalkę ściereczką. Gdyby to jego ojciec był taki... ale nie był.

W pięknie uporządkowanym życiu pani Wallner jedyną brzydką skazą był jej teść. Stary pan Wallner przekroczył już osiemdziesiątkę, ale cieszył się doskonałym zdrowiem i był zbyt samolubny, żeby wycofać się na tamten świat. Zajmował straszliwie zagracone mieszkanko w suterenie, rzadko jednak w nim siedział, bo wolał działać synowej na nerwy, włócząc się po jej idealnie wysprzątanym domu, strzelając szelkami i puszczając głośno wiatry. Przy obiedzie kłapał sztuczną szczęką i głośno pomlaskując, czyścił podniebienie językiem, a korzystając z toalety, nie tylko nie podnosił deski, ale jeszcze zabawiał się rysowaniem na muszli klozetowej esów-floresów strumieniem moczu.

- Nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, jaki krzyż dźwigam dzień po dniu - skarżyła się pani Wallner sąsiadkom. - Tatuś jest gorszy od małego dziecka. Czasami wydaje mi się, że doprowadzanie mnie do rozpaczyny wręcz go bawi. Można by pomyśleć, że jest mi wdzięczny za troskliwą opiekę, ale gdzie tam. Wcale tego nie docenia. Powinniśmy umieścić go w jakimś miłym domu starców, każdy na naszym miejscu by tak zrobił. Chciałam jednak zapewnić mu szczęśliwą starość w gronie bliskich, a teraz tak mi za to dziękuję. Niebiosa są mi świadkiem, jak mi z tym człowiekiem ciężko.

W rzeczywistości problem ze starym panem Wallnerem polegał na tym, że wszystko do niego należało: dom i ziemia, hektary naj-żyźniejszej w okolicy ziemi, na której jego syn uprawiał szparagi. Staruszek doskonale wiedział, że dzieci nie mogą się doczekać dnia, w którym go w końcu pochowają, przywałą pięknym nagrobkiem i nareszcie odziedziczą majątek. Właśnie dlatego zamierzał żyć jak najdłużej i psuć im krew. Poświęcał mnóstwo czasu na rozmyślanie, czym by im tu dokuczyć, trzymało go to przy życiu. Szczególną radość sprawiało mu zapaskudzenie sterylnej gospodarstwa synowej i nawet jeżeli mu się bardzo nie chciało, wychodził przy złej po-

godzie poczłapać po ogrodzie, żeby uświnić śladami brudnych kaloszy lśniące posadzki.

Także i stary pan Wallner był zaintrygowany nowymi właścicielami Kołodziejówki. Miał nadzieję, że wprowadzi się tam przynajmniej dwunastu Turków z Anatolii, którzy będą po nocach piekli barany i wyrzucali kości za płot, prosto na angielski trawnik Christy. Przynajmniej miałby trochę uciechy, zanim umrze.

WALLNER



Naprzeciwko domu Stellmacherów, na poddaszu u pani Berek, mieszkał Tim Schilling. Pani Berek była bez wątpienia starą wariatką, ale płacił jej symboliczny czynsz i nigdy się go nie czepiała o głośną muzykę ani kąpiel w nocy. Tim przeprowadzał się w ciągu ostatnich trzech lat osiem razy i potrafił to docenić. Te wszystkie stare baby - bo to były na ogół stare baby - miały kompletnego fioła. Z jednej strony bały się siedzieć same w swoich wielkich, opustoszałych domach, z drugiej - oczekiwały od lokatora, że będzie niewidzialny. Najlepiej taki, który na weekend się wyprawia, bo w weekendy zapraszały do siebie inne stare wariatki na kawę albo zjeżdżały się do nich dzieci. Jedna wręczyła mu listę potraw, których nie wolno mu było gotować, bo nie lubiła ich zapachu - żadnych ryb, żadnej cebuli, a przede wszystkim żadnych kalafiorów - inna wymagała zupełnie na serio, żeby po dziesiątej wieczorem sikał do nocnika. Ostatnia zabroniła mu chodzenia po mieszkaniu w butach, bo podłogi się niszczą. Wpadała o najdziwniejszych porach na kontrolę, żeby sprawdzić, czy jest w skarpetkach.

Pani Berek takich numerów nie robiła, ale czaiła się przez cały dzień za firanką i obserwowała, kto kręci się po ulicy. Nie z czystego wścibstwa, tylko ze strachu. Pani Berek umierała ze strachu. Była święcie przekonana, że jest jedną z tych nieszczęśliwych starych kobiet, które zawsze padają ofiarami przemocy - gwałtu, napadu, morderstwa. Jej świat był pełen groźnych cieni i przerażających wizji. W ogrodzie widziała skradające się za krzakami sylwetki, za oknami piwnicy przesuwające się światło, zza płotu dochodziły ją obce kroki i głosy. Z tym krajem działo się coś niepokojącego, co budziło w niej najgorsze przeczucia. Nagle pojawili się na ulicach brodaci mężczyźni w orientalnych kaftanach, za którymi człapały okutane chustami kobiety z horądą dzieci. Tego przedtem w Erlenbachu nie było. Niedawno przed domem pani Berek zatrzymała się śmieciarka i wysypała się z niej cała gromada takich obco wyglądających osobników. Zrozumiała wtedy, jak szybko postępuje ta infiltracja: jeszcze dzie-

sięć, dwadzieścia lat i wszystkich rodowitych mieszkańców miasteczka wymienia na tych obcych. Nawet wojen nie trzeba będzie prowadzić, żeby opanować cały kraj. Wystarczy, że każdy z tamtych po prostu spłodzi pięćdziesiąt dzieci i po Niemcach nie zostanie ani śladu.

Przyjaciółka pani Berek, pani Heiss, wynajęła pokój irańskiemu studentowi i natchwalić się go nie mogła. Jaki dobrze wychowany! A jaki uczynny! Mówił do niej *Matti*, robił zakupy, woził do lekarza, a w niedzielę gotował pyszne obiady z ryżem szafranowym. Pani Berek nie mogła zrozumieć, jak można sprzedać ideały za miskę ryżu szafranowego. Dla niej mieszkanie pod tym samym dachem z przedstawicielem zupełnie obcej kultury, którą po cichu uważała za gorszą, było nie do pomyślenia. Nawet jeżeli w obecnych czasach takie myślenie było uznawane za niewłaściwe. Wymagano od niej, żeby traktowała cudzoziemców jak wszystkich innych obywateli, a cóż ona, w aksamitnym toczku na siwych włosach i płaszczu z karakułowym kołnierzem, mogła mieć wspólnego z anatolijskim wieśniakiem? Kompletna bzdura. Żadnego *mul-ti-kulti* sobie nie życzyła. Miała już jedną kulturę, swoją własną i była z niej bardzo zadowolona. Nie potrzebowała wcale włoskich *tortellini* i chińskiego *chop su-ey*, przez całe życie najbardziej jej smakował sznycel po myśliwsku. Wszyscy przecież wiedzieli, że u Chińczyków lądują w garnku psy i szczury, a może nawet węże. Akurat o tym pani Berek była dobrze poinformowana, bo od lat wycinała z gazet wszystkie artykuły o wykroczeniach przeciwko przepisom higieny żywienia, naklejała je na czyste kartki papieru i zbierała w kołonoatnikach. Restauracje azjatyckie wypadały najgorzej.

Przede wszystkim jednak śledziła w prasie opisy przestępstw popełnionych na kobietach w jej wieku. Miała pękające w szwach segregatory z napisami na grzbietach: „Włamania”, „Morderstwa” i „Gwałty”. Razem z „Oszustwami” i „Higieną” było ich w sumie pięć i zajmowały pół regału. Większość zawartych w nich artykułów pani Berek znała na pamięć. Bezmiar zła panujący na świecie był paraliżujący. Nie miała żadnych wątpliwości, że kiedyś i na nią przyjdzie kolej: była to tylko kwestia czasu.

Do Tima natomiast miała całkowite zaufanie. Co prawda wyglądał na ogół jak nieposłane łóżko, nosił trzydniowy zarost i miał przydługie, tłustawe włosy, ale był synem kuzynki pani Berek - drugiego stopnia, ale zawsze kuzynki - i pochodził z solidnego, mieszczańskiego domu.

Timowi chciało się śmiać na myśl o lękach pani Berek. Bała się panicznie tureckiego śmieciarza i chorwackiego taksówkarza, oblatywała co wieczór całą chałupę z latarką w ręku, świeciła w każdy kąt i zaglądała pod każde łóżko, a nigdy nie przyszło jej do głowy, że pod jej dachem spotyka się jego marksistowsko-leninowska grupa „Czerwony Sztandar”. Nie chcieli wprawdzie postawić na nogi nowej „Frakcji Czerwonej Armii”, ale zamierzali trochę zamieszać w tym burżuazyjnym bagienku. Na razie czytali razem „Zdradzoną rewolucję” Trockiego i szkolili ludzi. Planowali też zajmowanie domów przeznaczonych do rozbiórki, ale akurat w Erlenbachu nic wolnego nie było. Udało im się natomiast wybudować całkiem zgrabną chatkę na terenie lasu przeznaczonego na rozbudowę lotniska pod Frankfurtem i przy okazji porzucać kamieniami w gliniarzy - bombowa akcja!

Popierali też aktywnie towarzyszy w Salwadorze i Nikaragui, ale co do Europy Wschodniej zdania były podzielone. Bo może jednak kontrrewolucja, skoro robotnicy podpalają Domy Partii? Z drugiej strony robotnicy, więc jaka tam reakcja? Tim zamierzał wypytać dokładniej na ten temat tę ładną Polkę, która się wprowadziła do domu Stellmacherów. Ucieszył się, kiedy usłyszał, że Kołodziej ówkę kupili jacyś młodzi ludzie, bo ta okolica była prawdziwym domem starców, dziad koło dziada. W co drugim domu samotne wdowy, takie jak pani Berek. Zaofiarował się nawet, że pomoże przy przeprowadzce, i targał ofiarnie graty. No, może niezupełnie bezinteresownie, ta Agnes była naprawdę cholernie atrakcyjna. Miała fenomenalny biust, aż przyjemnie było popatrzeć. Ciekawe, co zobaczyła w tym Hagenie, ale coś tam musiała zobaczyć, skoro z nim zamieszkała. Właściwie szkoda. Była też niegłupia, chociaż na początku jej niemiecki był przerażający. Zupełnie dobrze orientowała się w sytuacji politycznej *Ostblock*, chociaż nie zawsze właściwie ją oceniała. Hagen też dobrze rokował, brakowało mu co prawda świadomości społecznej i był inaczej ukierunkowany niż Tim,

ale z czasem dałoby się coś z niego zrobić. Nawet chętnie pojechał na akcję w Brok-dorfie - też był przeciwny rozbudowie elektrowni atomowych - i zupełnie dobrze się trzymał, chociaż policja prała, ile wlaźło. Po tej próbie ogniowej Tim przyzwyczał się wpadać od czasu do czasu do Merzów na kieliszek wina. Na winie Hagen znał się jak mało kto, no i miał teraz do tego odpowiednią piwnicę.

U Merzów zawsze było zabawnie. Często bywał u nich gość z Polski, nawiedzony Tadeusz, który za wszelką cenę chciał zginać za Sprawę. Ginięcie za Sprawę Polacy mieli w genach. O ile Tim dobrze rozumiał, tradycją historyczną bohaterskiej Polski było umieranie na polu chwały. Z życiem dla dobra ojczyzny było już trochę gorzej.

Tadeusz miał oczy mistyka, piękne loki przetykane wytworną siwizną i doktorat z jakichś tam receptorów, których nazwa nic Ti-mowi nie mówiła. Musiały jednak być do czegoś przydatne, skoro frankfurcki uniwersytet zaproponował Tadeuszowi cykl wykładów. Agnieszka poznała go tam, gdzie się Polacy za granicą zazwyczaj poznają, czyli pod kościołem po polskiej mszy. Tam funkcjonowała główna giełda kontaktowa, kupowało się polską prasę, wymieniano adresy i szukało roboty. Interesujące znajomości można też było zawrzeć pod przyczepą turystyczną ze śląskimi kiełbasami i kaszankami, która objeżdżała okoliczne miasteczka. Na obczyźnie Polak szukał oparcia w modlitwie albo w kaszance.

Tadeuszowi oparcie nie wystarczało, miał misję do spełnienia i planował męczeńską śmierć, a przynajmniej gnicie w lochach dla dobra ojczyzny.

- W każdej chwili oddałbym życie za powrót korony na głowę tego orła - oświadczał, stukając palcem w swój paszport. Tim nie bardzo wiedział, o co mu chodzi. Ptak to ptak, z koroną czy bez, kto by tam poświęcał za niego życie?

Niestety, dotychczas na męczeństwo Tadeusza nie było w kraju jakoś zapotrzebowania. Nikt nie zdradzał ochoty, żeby go wtrącać do więzienia, nie groziły mu ani tortury, ani przesłuchania z lampą prosto w oczy. Wprost przeciwnie, wysyłano go na dobrze płatne wyjazdy zagraniczne, które tylko po części poświęcał pracy naukowej.

Gdy tylko w Alpach spadł pierwszy śnieg, Tadeusz łapał za narty i pędził w stronę Oberstdorfu. Lodowce, wyciągi i trasy zjazdowe interesowały go nie mniej niż receptory, a może nawet i więcej: przynajmniej na stoku mógł zająrzeć śmierci w oczy. Inni przywozili z zagranicy samochody, Tadeusz wiązania. Gdy Agnieszka go poznała, posiadał już sporą kolekcję najlepszych nart i kombinezonów. Od czasu do czasu przypominał sobie o rodzinie w Polsce, wsiadał w pociąg, całował żonę, dawał jej w prezencie buty narciarskie, płodził kolejne dziecko - miał ich już pięcioro - i znowu wracał do Alp i receptorów.

Tego wieczoru Tadeusza u Agnes akurat nie było, grzał pewnie zmarznięte kości przy piecu w jakiejś alpejskiej gospodzie i opowiadał innym narciarzom mrozące krew w żyłach historie z konspiracyjnego podziemia. Hagen też się spóźniał, robili w biurze konkurs i właśnie znajdowali się w stanie kompletnej paniki, która ogarnia każdy zespół na trzy dni przed terminem oddania. Tim wcale nie był tym zmartwiony. Miło było siedzieć sam na sam z ładną dziewczyną w przytulnej kuchni Kołodziejówki, popijać grzane wino i dyskutować o palących problemach tego świata. A było ich niemało, szczególnie w Polsce, gdzie robotnicy podpalali Domy Partii.

- Ty nic nie rozumiesz, Tim - powiedziała Agnieszka, pogardliwie wydymając wargi. - Jaka kontrrewolucja? A kiedy, twoim zdaniem, była w Polsce rewolucja? Przecież to nie jest żaden kraj robotników i chłopów, tylko partyjnych biurokratów. Robotnicy nic nie mają do gadania. Właśnie dlatego protestują.

- Ale przecież środki produkcji do nich należą.

- Nie do nich, tylko do nomenklatury. Tylko oficjalnie są w rękach mas, w rzeczywistości chodzi o to, żeby robotnicy, jako ich właściciele, nie mieli prawa do strajków. W sumie ich sytuacja jest znacznie gorsza niż tutaj. Nie wolno im protestować, a pójście do innej fabryki też nie ma sensu, bo to przecież wciąż ta sama firma, czyli państwo. Niby to cała władza do nich należy, ale wszystkie przywileje zagarniają funkcjonariusze. To oni mają dostęp do lepszego zaopatrzenia, dobrze wyposażonych szpitali, większych mieszkań i luksusowych ośrodków wypoczynkowych. Nawet do

rewirów łowieckich. Rozumiesz teraz, dlaczego ludzie wychodzą na ulicę? Teraz, kiedy Polak został papieżem, nabrali otuchy, wiedzą, że mają w nim oparcie, i przestali się bać.

Nie, Tim wciąż nie pojmował. Proletariat jednoczy się z Kościołem przeciwko partii robotniczej? W tej Polsce wszystko było okropnie poplątane. Chętnie podyskutowałby dłużej na ten temat, ale wrócił Hagen i rozmowa potoczyła się w innym kierunku.

Przed północą Tim pożegnał się z Merzami i ruszył do domu. Hagen odprowadził go do bramy.

- Słuchaj no, Tim, ostatnio coraz częściej bywasz u nas pod moją nieobecność. Wolałbym, żebyś nie odwiedzał mojej żony, kiedy nie ma mnie w domu - powiedział uprzejmie. - Na pewno to rozumiesz, prawda?

- Dziś nie było cię po raz pierwszy - odparł zaskoczony Tim. - Skąd miałem wiedzieć, że zaszedsz się przy konkursie?

- Nie zaprzeczaj, wiem, co mówię. Po prostu nie rób tego nigdy więcej.

- Odczep się, Hagen, masz fioła. Albo halucynacje. Albo jedno i drugie.

Cokolwiek miał Hagen, Tim szybko przestał się nad tym zastanawiać. Nęcza Trzeciego Świata, Pershing II i ryzyko, związane z energią atomową, całkowicie zaprzętały jego uwagę. W Brokdorfie nieomalże został rozjechany przez pociąg z odpadami promieniotwórczymi, pod ambasadą amerykańską oblano go wodą z armatki i nabawił się paskudnego zapalenia płuc. U Merzów przestał bywać. Czasami spotykał ich w miasteczku i na ich widok czuł się nieswojo. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego. Szli przytuleni do siebie, trzymali się za ręce, Hagen obejmował z czułością Agnes, jakby była czymś kruchym i bezcennym. Młode, szczęśliwe małżeństwo, krótko po ślubie.

Nie było w tym nic niepokojącego.

Verena zamknęła oczy, wychodząc z wanny. Co za diabeł podkusił ją, żeby zawiesiła na obu ścianach łazienki lustro do ziemi? Myślała, że powiększą optycznie pomieszczenie, ale powiększały tylko fałdy tłuszczu na jej brzuchu, nie mówiąc już o udach. Nawet nago wyglądała, jakby miała na sobie bryczesy. Białe pośladki zwisały ciężko po bokach, okropność. Za to wyżej, gdzie każda normalna kobieta miała biust, u Vereny nie było nic. Kompletnie nic. Żadnych miękkich, apetycznych okrągłości, jak u tej małej Polki z Kołodziejówki. Piersi Agnes rozpieierały bluzkę i mężczyźni wstrzymywali oddech w nadziei, że za chwilę trzaśnie i odprysną guziki. Zawsze wyglądała tak, jakby właśnie wyszła spod prysznic w mokrych ciuchach młodszej siostry. Szczęściara. Jej długi warkocz miał na czym wesoło podskakiwać, a faceci mieli na co popatrzeć. Na Verene nie patrzyli.

Para z Kołodziejówki pobrała się na wiosnę. Nie urządzili klasycznego wesela, Hagen poza babką nie miał już żadnych krewnych, a matka Agnes nie dostała paszportu. Trudno uwierzyć, że tuż obok jest kraj, w którym potrzeba mieć paszport, żeby być na ślubie córki i że mogą ci go nie dać. Zamiast wesela Merzowie zaprosili sąsiadów na prosiaka z rożna. Rożen obracali ofiarnie dwaj Jugosłowianie. Do tego była góra sałatek i bagietki nadziewane masłem ziołowym - bardzo smaczne. Agnes jadła jak kowal, widocznie nigdy nie słyszała o liczeniu kalorii, a ten jej świeżo upieczony mąż pożerał ją wzrokiem. Inaczej nie dało się tego nazwać. Jego oczy były do niej przysane jak macki ośmiornicy. Verena jeszcze nigdy nie widziała nikogo, kto traktowałby żonę z tak ciełym zachwytem. W każdym razie Edwinowi się to nie zdarzało. Hagen ani na chwilę nie wypuszczał dłoni Agnes z rąk, co nie było proste, bo bez przerwy jadła z dużym apetytem, wciąż podnosił je do swoich ust, z kawałkiem bagietki czy bez, i każdemu komunikował, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Zupełnie jakby był myśliwym i właśnie ustrzelił wspaniałego jelenia. Verena

cierpiała męki zawiści. Strasznie zazdrościła Agnes tego ogłupiałego z miłości chłopca, a jeszcze bardziej tego, że mogła się tak bezkarnie objadać.

- Też mógłbyś na mnie tak popatrzeć - powiedziała do Edwina, a on rzucił jej ciężkie spojrzenie. Edwin potrafił rzucać spojrzeniami jak kamieniami - i odparł:

- Patrzę. Opanuj się i nie jedz tyle. Nawet spódnica z gumką ma swoje granice.

Poczuła się tak zraniona, że natychmiast podeszła do stołu i nałożyła sobie kopiaisty talerz sałatek. I tak nie miało znaczenia, co jadła i jakimi ćwiczeniami gimnastycznymi się katowała: każdy dodatkowy kilogram wczepiał się w jej biodra jak kleszcz, a biustonosz pozostawał pusty.

Starszy pan Wallner, który nagle wyrósł koło niej jak spod ziemi, klepnął ją z rozmachem w siedzenie, aż zachwiała się, rozsypując sałatkę.

- To mi się podoba, złotko! - zawołał. - Nareszcie kobieta obdarzona zdrowym apetytem. Nie to, co nasza Christa, ten wieszak na ubrania. Wszystko, co przyjemne, kojarzy jej się z grzechem. Dobre jedzenie, alkohol, papierosy. „Nie, dziękuję, raz spróbowałam, ale mi nie służy” - stary pan Wallner odgiął z afektacją mały palec, przedrzeźniając synową. - Nic dziwnego, że dochowali się tylko jednego dziecka!

Zaniósł się śmiechem, który przeszedł w ochryply kaszel. Łapiąc powietrze, puścił potężnego bąka. Verena odsunęła się od niego na bezpieczną odległość i powiedziała oziębło:

- Przepraszam, ale mąż na mnie czeka.

- Guzik prawda, przystawia się do panny młodej - oświadczył wesoło stary pan Wallner. Verena poszukała Edwina wzrokiem. Rzeczywiście, siedział obok świeżo upieczonej pani Merz i coś szeptał jej do ucha. Verena ruszyła w ich kierunku, ale Hagen już objął żonę gestem posiadacza i pociągnął ją gdzieś za sobą.

Pan Wallner na szczęście znalazł sobie tymczasem nową ofiarę. Przycupnął na ławeczce naprzeciwko leciwej damy w wózku inwalidzkim, ubranej w elegancką granatową suknię w groszki i słomkowy kapelusz z woalką. Uśmiechała się miło i wy-



glądała nobliwie, ale musiała być kompletnie pomyłona, bo przedstawiała wszystkim Hageną jako swojego męża.

- Karl jest inżynierem - mówiła z dumą. - Zbudował kolej żelazną do Królewca. Mamy teraz własną linię kolejową, czy to nie cudowne?

Staremu panu Wallner, który sam miał kuku na muniu, w ogóle to nie przeszkadzało. Stacjonował w Królewcu w czasie wojny i nie posiadał się z zachwytem, że nareszcie może sobie z kimś na ten temat pogadać. Palił się wprost do opowiadania o swoich bohaterskich przygodach na froncie wschodnim.

-Piękny kraj, łaskawa pani, ale co za błoto! Modliliśmy się o mróz, bo czołgi zapadały się po lufy, ale jak w końcu ściał ziemię, to motory nam pozamarzały. Czekaliśmy więc na odwilż, ale jak przyszła, to gaśienice znowu tonęły w bagnie i tak bez końca.

Synowa pana Wallnera umierała ze wstydu, bo mówienie o wojnie było niepolityczne i w towarzystwie lepiej było udawać, że nigdy nie miała miejsca. Wszyscy co prawda na niej byli, ale nikt nie brał udziału. Poza tym młoda pani Merz pochodziła z Polski i mogła to źle zrozumieć. Skaranie boskie z tym starym!

- Tatusiu, jesteś na pewno zmęczony i chciałbyś się położyć - zaćwierkała, wbijając boleśnie palce w jego łokieć. - Odprowadzę cię do domu.

- Puszczaj! - krzyknął teść i trzepnął ją po ręce. - Jak chcesz, to sama sobie idź, ja się doskonale bawię. Bardzo miło mi się z tą panią rozmawia.

- Naprawdę się cieszę, że odwiedził nas pan w naszym Stradunken - powiedziała dama ciepło.

Na dobre dziadek Wallner zaczął się bawić w chwili, kiedy pod bramą zatrzymał się z piskiem opon śmietankowy Chevrolet kabrio. Aż dziw brał, że przecisnął się przez wąski zakręt koło „Złotej Lipki”, nie tracąc płetw. Stary pan Wallner oszacował go fachowym okiem i ocenił na rocznik '55.

Z chevroleta wyskoczył górą, nie otwierając drzwiczek - cudaczny osobnik w panamie na głowie. Wyciągnął z bagażnika obraz olejny i snop róż, bezceremonialnie

uformował sobie drogę wśród gości i uplasował się przed panną młodą, ignorując Hagenę.

- A-Kiszka, *amore mio*, serce mi pękać, że ty teraz szkieletowa, choć mogła być pani Amareno. Ale palicho, wybrała, jak chciała, i ja ci życzę, żeby ty być szczęśliwa.

Wysypał na jej głowę róże, które przykryły ją jak płatki śniegu, i zamknął w niedźwiedzim uścisku.

- Ach, ty durna - wyszeptał. - A ja, popatrz, serce mieć dobre i prezent ci przynieść. Najlepszy obraz, jaki ja kiedykolwiek namalować, ty dobrze na niego uważać. Nazywa się „Via Mazella w deszczu”, na nim być moja galeria w Ponte. Może ty mnie kiedyś tam odwiedzić. A jakby jakieś kłopoty z tym tutaj twoim małżonkiem, to ty tylko powiedzieć, a ja przyjechać i go załatwić.

Obraz był rzeczywiście piękny. Widniał na nim opustoszały mały placyk z mokącymi w deszczu stolikami przed trattorią i kapliczką. W kałużach odbijały się światła latarni, w oknie trattorii spał tłusty kot. Ciepłe kolory i wszystko jak żywe. Stary pan Wallner chętnie by go sobie powiesił nad łóżkiem, zamiast tej paskudnej reprodukcji „Słoneczników” Van Gogha, którymi uszczęśliwiła go Christa.

- Jest wspaniały! Och, Gigi, to najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam, uwielbiam cię! - zawołała młoda pani Merz i z radosnym wrzaskiem zawisła na szyi twórcy. Dość długo wymieniali uściski i gorące pocałunki, a pan Merz stał obok i uśmiechał się krzywo. Akurat to dziadka Wallnera nie dziwiło, bo jak długo żył, nie słyszał jeszcze tak cudacznych życzeń ślubnych i też by mu się nie podobało, gdyby jakiś makaroniarz obśliniał bezczelnie przy ludziach jego świeżo upieczoną żonę.

Obraz ustawiono na honorowym miejscu i goście przedfilowali przed nim, wydając okrzyki zachwytu. Artysta przyjmował to z godnością.

- Za dziesięć lat być wart majątek - mówił skromnie. - A-Kiszka wygrać los na loterii.

Tym większa była konsternacja pod koniec przyjęcia, kiedy zapadł zmrok i zebrani zaczęli się już rozchodzić. Ktoś oświetlił nagle obraz lampionem i okazało się, że widnieją na nim paskudne plamy z jakiejś podobnej do smoły mazi. Podejrzenie padło natychmiast na Jugosłowian, przede wszystkim dlatego, że zdążyli już odjechać swoją rozklekotaną furgonetką i nie mogli się ustosunkować do zarzutów, a poza tym byli przedstawicielami niebudzących zaufania narodów bałkańskich. Kilku gości przysięgało, że widzieli, jak Jugosłowianie podsycali ogień, dolewając do niego kleistej substancji z puszkii, wypisz wymaluj takiej, jaką była pochłapana „Via Mazel-la w deszczu”. Najprawdopodobniej w ciemności przez nieuwagę wylali ją na obraz - co za strata!

Pani Merz była niepoczyszona. Nawet chlipnęła parę razy, dzięki czemu wyglądała jeszcze bardziej dziewczęco i wzruszająco. Starego pana Wallnera rozczulił ten widok i próbował podtrzymać ją na duchu, zapewniając, że w dzisiejszych czasach chemicznie można wyczyścić wszystko, nawet sumienie. Najważniejsze, że twórca, który pożegnał się dość wcześnie, został oszczędzony widok zniszczonego dzieła.

Pani Merz rozpogodziła się, przyznała mu rację i podziękowała ciepło. Nie zamierzał jej mówić, że Jugosłowianie byli Bogu ducha winni. Wiedział to na pewno, bo na własne oczy widział - a oczy wciąż miał jak sokół - jak po zapadnięciu mroku szczęśliwy małżonek podkraść się do obrazu i chlusnął na niego mazią z puszkii. W pierwszej chwili chciał nawet zawołać: Przestań, idioto! Możesz przecież podarować ten obraz mnie, skoro ci się nie podoba, dam ci za niego „Słoneczniki” - ale się zrelektował. Nie jego sprawa, nie jego żona, nie jego obraz.

Może to sąsiedztwo okaże się znacznie zabawniejsze, niż do tej pory przypuszczał.

Następnego dnia po przyjęciu u Merzów Verena postanowiła procesować się ze swoją kasą chorych o biust. Nabrała przekonania, że gdyby był duży, prężny i kragły, Edwin zacząłby na nią patrzeć tak jak Hagen patrzył na Agnes. Piersi z prawdziwego zdarzenia zapewniłyby jej interesujących przyjaciół, sukcesy w pracy i zdrowy sen -

musiała je tylko mieć. A skoro nie chciały jej wyrosnąć w naturalny sposób, to musiała je zdobyć chirurgicznie. Zadzwoiła do swojego adwokata.

Prognoza mecenasa Riemenschneidera była optymistyczna: ależ oczywiście! Jeżeli pacjentowi brakuje jakiejś części ciała, to obowiązkiem kasy jest mu ją dorobić: palec, nogę, ząb. Dlaczego nie piersi?

Polecił Verenie ginekologa, który bez problemów, za jedyne trzysta marek, poświadczył jej wadliwą budowę ciała, poniekąd upośledzenie anatomiczne i zalecił korektę chirurgiczną. Dwóch psychiatrów zapewniło, że Verena znajduje się na krawędzi załamania nerwowego i istnieje niebezpieczeństwo trwałej niezdolności do pracy. Więc albo silikon, albo przedwczesna renta - płacić trzeba.

W pierwszej instancji sąd przyznał Verenie rację, w drugiej jej roszczenia oddalił. Piersi są jakie są, ale żadnych dolegliwości fizycznych nie przysparzają, jeżeli się Verenie nie podobają, to jest to problem estetyczny, a nie fizyczny. Większość ludzi nie jest zadowolona ze swoich nosów, uszy i podbródków. Do czego by to doprowadziło, gdyby każdy mógł się upiększyć na koszt ubezpieczalni?

Verena nie posiadała się z oburzenia. Ciekawe, jak by Wysoki Sąd zareagował, gdyby chodziło nie o jej piersi, tylko o jądra Wysokiego Sądu? Gdyby Wysoki Sąd urodził się bez jaj albo gdyby miały one wielkość orzeszków laskowych? Czy też byłby zdania, że jak nie ma, ale nie boli, to da się z tym żyć? Nie poszedłby na barykady, żeby je wymienić na dorodniejsze egzemplarze?

Wysoki Sąd się obraził i Verena wносиła w tej chwili skargę do Trybunału Konstytucyjnego. Była dobrej myśli: Artykuł Drugi Konstytucji zapewniał każdemu obywatelowi swobodny rozwój jego osobowości.

- Ale nie jego piersi - zauważył Edwin, pakując walizkę. - Wydawało mi się, że żenię się z dziewczyną o małym biuście, ale wielkim sercu. W tej chwili mam wrażenie, że jesteś przede wszystkim kobietą o ptasim mózgu, a o ile wiem powiększać mózgu medycyna jeszcze nie potrafi. Mam nadzieję, że ci powiększą ten biust, skoro tak o tym marzysz, ale co zrobisz, jeżeli się okaże, że masz piersi jak melony i nie jesteś ani trochę szczęśliwsza?

No cóż, zawsze jej jeszcze pozostawał Europejski Trybunał Praw Człowieka.

TLR

Agnieszka ryła zaciekle w ziemi, nie zważając na kropelki potu zbierające się na jej górnej wardze. Od czasu do czasu zlizywała je językiem i niecierpliwie zdmuchiwała opadające na czoło pasma włosów.

- Jak nornica, jak kret, jak dziki królik - śmiał się z niej Hagen. - W poprzednim życiu z pewnością byłaś nornicą. Jeszcze nigdy nie spotkałem dziewczyny, która by z takim zapałem grzebała w kompoście. Inni ludzie mają popęd płciowy, a ty masz popęd ogródkowy.

Kochała ten ogród. Jeszcze nie rozpakowali stosów kartonów po przeprowadzce, a już posadziła setki cebulek tulipanów, hiacyntów i krokusów. Kiedy poczuła wilgoć ziemi na rękach, powróciły z całą siłą wspomnienia z Falenicy: pnące róże, słodkie poziomki, splątany gąszcz malin, woń pachnącego groszku, skrzyp hamaka, biel śmietany na truskawkach, a przede wszystkim głos babci, wołający:

- Aguniu, myj ręczki, kolacja na stole!

Zrzuciła z nóg pantofle, żeby przypomnieć sobie, jak to jest, kiedy wilgotna gleba przeciska się między palcami bosych stóp, i poczuła, że wróciła do domu. Po bardzo długiej podróży.

Była dumna z tego, w co przemieniła dżunglę pokrzyw i łopianów. Miała teraz okolony żywopłotem z bukszpanu warzywnik, zaprojektowany na podstawie starych sztychów, miniaturowy *Giusti del Giardino*<sup>\*30</sup>. W karnych szeregach rosły w nim portulaka, mięta, koperek, tymianek, bazylia i pietruszka, układając się w misterny wzór. Altanka, prawie niewidoczna spod kwiatów powojnika, w której jadali w ciepłe letnie wieczory, cieszyła ją wciąż na nowo.

Z każdej podróży przywoziła coś do swojego ogrodu: majolikowe kafle z Majoriki, ceramiczne wazy z Toskanii, marmurowe amorki z Prowansji. W każdym z tych

---

<sup>30</sup> szesnastowieczny park pod Werona

przedmiotów zakłęte były szczęśliwe chwile, które spędzili razem w najpiękniejszych zakątkach Europy. Czasami czuła się winna, siedząc z Hagenem przy stoliku w jakiejś romantycznej tawernie, pijąc wino i patrząc na spacerujący leniwie wieczorny tłum. Przed oczami stawały jej brudne ulice, puste wystawy sklepów i zmęczeni ludzie w niekończących się kolejkach. Tam też była Europa. Czy ci syci, zamożni turyści wiedzieli, że istnieje kraj, w którym do apетки trzeba przynieść własny spirytus, do szpitala watę, a do urzędu łapówkę?

Teraz pewnie już wiedzieli. Zdjęcia bramy Stoczni Gdańskiej obiegały cały świat, twarz elektryka z obrazkiem Matki Boskiej w klapie znało każde dziecko. Ale któż po tej stronie żelaznej kurtyny mógł zrozumieć desperację strajkujących?

W najgorętszym okresie, mimo zaciekłych protestów Hagen, poleciała do Polski i wydawało jej się, że śni. Nowa organizacja zrzeszała już dwanaście milionów ludzi, cały kraj! Odnosiła wrażenie, że każdy dorosły obywatel do niej należy, wszyscy nosili znaczki „Solidarności” i plecaki z ulotkami na grzbiecie. Naród zachłysnął się nadzieją, pijany odniesionym zwycięstwem i poczuciem swojej mocy. Szło nowe, ale nikt nie wiedział, co ze sobą przyniesie. Cokolwiek miało się stać, Agnieszka odczuwała smutek i żal na myśl, że jej przy tym nie będzie.

Miała teraz dużo czasu na rozmyślanie. Skończyła studia - we Frankfurcie przyjęto ją od razu na czwarty rok romanistyki - i rozglądała się za pracą. Złożyła podania w Air France, Eumetsacie, paru francuskich firmach i czekała na odpowiedź. Na razie cieszyła się z wolnych dni. Lakierowała okiennice, szyła zasłony i kopała grządki, ubrana w starą koszulę Hagen i kupione kiedyś w Warszawie spodnie na szelkach we wściekle różową pepitkę. Były żywym dowodem na to, że zakładom tekstylnym w Polsce skończyły się wszystkie inne barwniki. Wyglądała w nich jak gigantyczna lądrynka.

Kiedy matka dostała wreszcie paszport i przyjechała do Niemiec, Agnieszka znajdowała się w gorącej fazie odnawiania Kołodziejówki i malowała kuchnię w tym

właśnie stroju. Pewnego dnia na krótko przed zamknięciem sklepów przypomniała sobie, że w domu nie ma chleba i rzuciła się do furtki. Matka zastąpiła jej drogę.

- Chyba nie zamierzasz tak wyjść na ulicę? - zapytała surowo.

- A co, mam gdzieś plamę? - zdziwiła się Agnieszka.

- W różowych spodniach na szelkach między ludzi? Dziecko, czyś ty oszalała?

Pamiętaj, że reprezentujesz swój kraj!

Matka była patriotką, praktykowała dumę narodową na co dzień. Agnieszce nigdy nie przyszłoby do głowy, że na obrazie męczeńskiej Polski mogłaby powstać skaza z powodu jej spodni w pepitkę.

W tej chwili miała przynajmniej elegancki kapelusz na głowie, godny nawet wyścigów w Ascot. Szerokie, podwinięte z przodu rondo, woalka, sztuczne różyczki. Piękny. Znalazła go w kufrze na strychu, razem z sukienką do chrztu z pajęczej koronki, haftowanymi ręcznie obrusami i paczką przewiązanych wstążką listów. Często usiłowała wyobrazić sobie kobietę, która nosiła ten kapelusz. Czy to ona obrębiała obrusy mereżką i czy to do niej skierowane były listy, zaczynające się od słów: Moja najukochańsza Noro? Przypinając go do włosów, miała wrażenie, że staje się bliższa adresatce i któregoś dnia pozna odpowiedź. Do ogrodu w każdym razie nadawał się idealnie, bo skutecznie osłaniał jej twarz od słońca. Tak skutecznie, że nie zauważyła zbliżającego się Hagen.

Poczuła jego obecność dopiero w momencie, kiedy cień jego wysokiej sylwetki padł na jej stopy. Podniosła głowę i odsunęła włosy z czoła, pozostawiając na nim brudne smugi. Stał z rękami założonymi na plecy i przyglądał jej się uważnie.

- Odnoszę ostatnio wrażenie, króliczku, że chciałabyś mi coś powiedzieć.

- Powiedzieć? Co powiedzieć? Przestraszyłeś mnie, Hagen.

- Sama wiesz co, kochanie.

- Nie mam pojęcia, co masz na myśli.

- Bo jesteś nieobecna duchem, króliczku.

- To chyba normalne, zamartwiam się sytuacją w Polsce.



- Ja też zaczynam się martwić. Tobą.

Hagen przesunął z czułością palcem po jej policzku, wyjął z kieszeni chustkę i delikatnie starł brud z jej czoła. W odróżnieniu od Agnieszki należał do tych nielicznych ludzi, którzy zawsze mają przy sobie chustkę i do tego z prawdziwego płótna. Odwrócił się i odszedł w kierunku domu, wysoko podnosząc kolana, kiedy przekraczał rozkopane grządki, kopczyki wyrwanych chwastów i porzucone pazurki.

Jak smutny bocian, pomyślała i serce ścisnęło się jej z żalu. Coś biednego Hageną dręczyło. Ale czy jej się zdawało, czy też w słowie „króliczek” rzeczywiście zawarta była groźba?

Napięcie w Polsce było nie do zniesienia. Kraj stał na krawędzi anarchii i coraz bardziej przypominał beczkę prochu. W sklepach już nawet i puszek z groszkiem nie było, kartkowe przydziały mięsa znowu obcięto. Matki pakowały dzieci do wózków i ciągnęły przez miasta w marszach głodowych. Skandowały: „Jak zjeść kartkę?“, „Chleba i wolności“, „Trzy zmiany, jeden głód”. Na Ukrainie i Białorusi miały się odbyć wzdłuż polskich granic największe od czasu wojny manewry. Jak Agnieszka miała się nie niepokoić? Odnosiła wrażenie, że nad jej głową zaczynają gromadzić się ciemne chmury.

A Hägen był ostatnio taki dziwny! Chodził podenerwowany, wszystko go drażniło. Albo miał do niej pretensje, albo rozpaczliwie szukał w niej oparcia, jak tonący chwytający się ostatniej deski ratunku. Przerazało ją to, przedtem taki nie był. Przedtem, to znaczy kiedy jeszcze pracował we Frankfurcie, w Wydziale Architektury. Wielka szkoda, że stamtąd odszedł. Agnieszce powiedział, że zarobki były marne, a dom trzeba spłacać, ale niezupełnie mu uwierzyła. Podejrzewała, że miał złe stosunki w pracy. W każdym razie złożył wypowiedzenie i dzięki kontaktom dawnego kolegi ze studiów zaczepił się w „Oxydzie”, jednym z najbardziej renomowanych biur projektowych.

Początkowo Hägen tryskał entuzjazmem. Nareszcie może rozwinąć skrzydła, pokazać, co potrafi! Burze mózgów, konkursy, warsztaty - żadnego porównania z rutyną miejskiego urzędu. Rzucił się w wir roboty i pracował z zapałem. Był chwalony, doceniano go, wyglądało na to, że ma przed sobą błyskotliwą karierę. Aż do „Life Arenas”.

„Life Arenas” był pierwszym projektem, który Hägen prowadził zupełnie samodzielnie. Właściciel firmy, pan von Stein, tylko stawał czasami przy jego biurku, poklepywał po ramieniu i mówił ciepło:

- Fenomenalne, mój drogi Merz, fenomenalne. Co za rozmach! Hägen pracował nad „Life Arenas” przez cały rok. Nadał mu

kształt wydętego wiatrem żagla, bo chciał stworzyć wieżowiec, jakiego jeszcze we Frankfurcie nie było, lekki i strzelisty, płynący przez chmury poemat ze szkła i stali. Udało mu się. Inwestor był zachwycony, podobało mu się podobne do namiotu pięciopiętrowe foyer, wiszące ogrody i wbijająca się w niebo smukła iglica. Realizacja była w zasięgu ręki, całe biuro patrzyło na Hagenę z szacunkiem. Ściągnął największe w historii firmy zamówienie.

Na decydującej prezentacji jednakże inwestor z marsem na czole krążył w milczeniu wokół śnieżnobiałego modelu. W końcu powiedział:

- Piękny, panie Merz, naprawdę piękny. Ale będziemy musieli wprowadzić pewne zmiany.

- Jasne - zgodził się ochoczo Hägen. - Każdy projekt jest czymś żywym i nieustannie ulega przeobrażeniom. Jakie zmiany ma pan na myśli?

Pan von Stein uśmiechnął się do niego z uznaniem. Pracownik powinien być elastyczny, skłonny do kompromisów, gotowy do ustępstw. Takich lubił.

- No więc - odchrząknął inwestor i poszukał wzrokiem pomocy u swoich uzbrojonych w laptopy konsultantów, czujnych młodych ludzi z nienagannymi węzłami krawatów - no więc zacznijmy od kosztów.

- Za wysokie - skostatował twardo jeden z młodzieńców. -Nieodpowiedzialnie wysokie.

- Postaramy się zredukować - zapewnił Hägen. - Mamy już parę korzystnych ofert.

- Projekt jest zbyt surowy - dodał spokojnie drugi młodzieniec i brew mu przy tym nawet nie drgnęła.

- Surowy?

- Nie odpowiada gustom naszych klientów.

- Proszę wybaczyć, ale nie wydaje mi się, żeby można było stworzyć dobrą architekturę, kierując się gustem ogółu.

- Nie chodzi o ogół, lecz o moją żonę - westchnął inwestor. - Jej gust muszę brać pod uwagę. Pokazywałem jej zdjęcia, no i cóż, jej się projekt nie podoba. Mówi, że pretensjonalny. Na przykład ta wieżyczka.

Hägen przełknął ślinę, skinął głową, odłamał iglicę i schował ją do kieszeni. Pan von Stein obserwował go z niepokojem. „Odwagi, mój drogi, odwagi” - wymówił bezgłośnie, samym ruchem warg.

- No i ta fasada. Czy ona musi być wybrzuszona? Żona mówi, że wygląda, jakby budynek był w ciąży. Dom to dom, ściana to ściana, dach to dach i po co wszystko udziwniać? Ä propos dachu: żona by chciała, żeby na dachu była taka piramidka jak na Messeturm, z neonową szyną na bokach. Nocą to tak ładnie wygląda. Ten plac też jej się nie podoba. Mówi, że płyty granitowe, to dobre tylko na grobowiec. Chciałaby coś dla oka, coś nostalgicznego. Nostalix na przykład. I koniecznie jakieś kwietniki.

- Nostalix - powtórzył wolno Hagen. - Nostalix, Retronix, Obe-lix. Kretynix. Ściany prosto, dachy krzywo, na szczycie piramida, jak pryszcz na dupie. No i pięknie, zrobimy tak, żeby się pańskiej żonie podobało.

- Panie Merz... - zaczął pan von Stein ugodowo, ale już było za późno. Hägen rozgiął pręty szkieletu modelu i z fasady posypał się na podłogę deszcz szklanych płytek. Wyciągnął z doniczki kwitnącą begonię i wcisnął ją w szczątki modelu „Life Arenas”.

- Kwietniki - oznajmił.

- Panie Merz, czy pan zwariował? - jęknął pan von Stein. - Proszę natychmiast przeprosić pana Ackermanna!

- Za co? Za to, że zmodyfikowałem swój projekt odpowiednio do gustu jego żony?

- No cóż, to chyba wystarczy - oznajmił zimno pan Ackermann, podnosząc się z fotela. Młodzieńcy natychmiast zerwali się jak czujne charty, zatrzasnęli laptopy i gęsiego opuścili za nim salę konferencyjną. Pan von Stein rzucił się za nimi, szarpiąc węzeł krawata, który nagle zaczął go dusić.

- Panie Ackermann, to jakieś straszne nieporozumienie! - wołał. - Proszę nie podejmować pochopnych decyzji!

Hägen stał przed ruiną swojego projektu i bezmyślnie rzeźbił końcem długopisu ścieżki w opadłej z begonii ziemi.

Oficjalna wersja głosiła, że wysyłają go na długi urlop wypoczynkowy, ale już po tygodniu do jego pokoju wprowadziła się Jennifer. Sądząc po akwarium z rybkami i kolekcji roślin doniczkowych, nie miała zamiaru wyprowadzić się w najbliższym czasie. Poczł ukłucie w sercu, bo sypiał z Jennifer za studenckich czasów i myślał, że będzie w stosunku do niego lojalniejsza.

Przez jakiś czas Hägen czekał na telefon od pana von Steina. Spodziewał się, że poprosi go o szybki powrót, firma nie mogła przecież długo się obyć bez swojego najlepszego projektanta. Hägen trochę by się dąsał, a potem poleciał jak na skrzydłach. Telefon jednak milczał. Spotkany w metrze kolega powiedział mu w końcu, że na jego miejsce już przyjęto kogoś innego, a główną projektantką została Jennifer i kończy „Life Arenas”. Pan Ackermann dał się w końcu przebłagać, ale podyktował twarde warunki. Wieżowiec ani trochę już nie przypominał projektu Hagena. Żadnych żagli, żadnych wieżyczek, wszystko zgodnie z gustem pani Ackermann. Bardzo go ta wiadomość zabolęła.

-Jakby ci to powiedzieć, stary... Jen rozbudowuje teraz swoją pozycję zawodową w łóżku von Steina. Przykro mi.

- Nic nie szkodzi - burknął Hagen. - Nie zamierzałem spędzić reszty życia u tego kretyna. Założę własną firmę, zawsze do tego dążyłem.

Agnieszkę zapewniał, że ma wystarczająco dużo zamówień od dawnych klientów i interesy idą doskonale, ale zawsze gdy wspinała się na poddasze, które zaadaptował na pracownię, siedział z nogami opartymi o puste biurko i patrzył w sufit. Ucieszyła się jak szalona, kiedy na blacie pojawiły się znowu buteleczki z tuszem i słoiczki z farbami, musiała jednak wkrótce z rozczarowaniem stwierdzić, że wcale nie pracuje nad modelem nowego projektu, tylko odnawia figury ze swojego teatru cieni. Całymi godzinami wykluwał igłą zarysy, wytłaczał wzory i nakładał pędzelkami farbę. Owszem, dobrze, że miał jakieś zajęcie, ale czy malowanie figur z teatru cieni, choćby najpiękniejszych, było właściwym zajęciem dla dorosłego mężczyzny? Nie odważała się jednak go o to pytać, bo gdy raz to zrobiła, wpadł w szał. Na widok jego wykrzywionej złością twarzy ogarnęło ją przerażenie. Co się stało z jej łagodnym, czułym Hagenem? Wyraźnie potrzebował pomocy, ale nie miała pojęcia, jak mogłaby mu pomóc.

Kiedy wybierała się do Polski, powiedział nagle do niej na lotnisku:

- Nie leć, Agnes. Nie wierzę, że wrócisz. Szczury też opuszczają tonący statek.

- Nie jestem szczurem, a ty nie jesteś tonącym statkiem - odparła głęboko zraniona. - Jak mogło przyjść ci do głowy coś równie paskudnego?

- Wybacz mi, skarbie. Nie chciałem cię urazić. Tak bardzo cię kocham. Gdybyś mnie opuściła, nie przeżyłbym tego.

- Nie mam zamiaru cię opuszczać, ale przestań mnie dręczyć. To nie moja wina, że nie ułożyło ci się w pracy. Może i lepiej, że odszedłeś? Nie będziesz musiał z nikim się liczyć, będziesz mógł robić takie projekty, jakie chcesz. Przestań się tak wszystkim denerwować, przecież ja też wkrótce coś znajdę i będzie nam łatwiej.

- Potrafię utrzymać nas oboje - zachnął się Hagen.

- Och, Hagen, przecież w Polsce każda kobieta pracuje, cóż w tym dziwnego? Po to przecież studiowałam. Nie nadaję się na gospodynię domową.

Rozmowę przerwała ku uldze Agnieszki stewardesa, która powiedziała z wyrzutem:

- Niechże się pani pospieszy, pasażerowie do Warszawy już wsiadają do autokaru.

Agnieszka wspięła się na palce, pocałowała Hagena w policzek, a on uściśnął ją z tak rozpaczliwą żarliwością, jakby już nigdy nie mieli się zobaczyć. Wsunął jej do koszyka torbę winogron, mówiąc:

- Weź na drogę. Pewnie w Warszawie nie ma winogron.

- Nie tylko winogron. Nie ma też cukru, mydła, waty i proszku do prania - niczego nie ma. Jedzenie wysłałam wcześniej pocztą, inaczej umarłabym z głodu. Nic się nie martw, kochany, to tylko dwa tygodnie.

- O dwa tygodnie za długo.

Czekając w kolejce do kontroli paszportów, odwróciła się jeszcze raz. Hagen stał oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach i wyrazem bezbrzeżnego smutku na twarzy. Agnieszce zrobiło się go okropnie żal. Biedak, pewnie się bał, że zamkną nagle granice i już się nie wydostanie. Tyle było tych najdzikszych pogłosek. Że Sowieci wejdą. Że już weszli. Że nie będzie prądu. Ani węgla. Zabraknie chleba. Tak naprawdę to nikt nie wiedział, co będzie, bo taka sytuacja jeszcze nigdy się nie zdarzyła. Ale w oku cyklonu zawsze jest najspokojniej - a ona chciała do domu. Do mamy.

Pomachała Hagenowi ręką, ale nie odmachała.

*Musisz przywieźć sobie weki, proszek do prania, mydło i pastę do zębów - pisała matka. - Brakuje szamponów, zapalek, papieru toaletowego i chustek do nosa. Nie zapomnij o lekarstwach, strzykawkach i wacie. Nie ma też cukru, ryżu, klusek, soli i bakterii... ach, właściwie niczego nie ma.*

Doktor Szczypiorski był na wagę złota. Pacjenci płacili mu w naturze, przynosili masło, kurczaki, ryby i ser. Babie z cielęciną usunął po mistrzowsku woreczek żółciowy, z wdzięczności regularnie zaopatrywała go w mięso i często dorzucała jakiś salceson albo nóżki w galarecie. U pacjenta z guzem na nerce doktor Szczypiorski za-

kontraktował świniaka i zamówił kielbasy. Potem pluł sobie w brodę, że go zoperował, zanim transakcja doszła do skutku, bo chłop był chytry i wymagał od niego, żeby mu pomagał myć flaki. „Bo na czym pan dochtor ma się znać, jeśli nie na flakach?”

Matce Agnieszki podarował na urodziny przewiązane jedwabną kokardą prosię. Nazywało się Maciuś i miało w przyszłości w formie szynki umilić święta. Matka przytuliła różowy ryj Maciusia do piersi i wybuchnęła płaczem, bo pokochała go od pierwszego wejrzenia i nie przeżyłaby jego widoku na półmisku.

Kiedy przyleciała Agnieszka, Maciuś hasał po ogródku zaprzyjaźnionego działkowicza, a obrażony doktor Szczypiorski nocował w szpitalu. Wcale nie wzięła mu tego za złe.

Po przyjeździe od razu rzuciła jej się w oczy groźnie falująca kolejka przed kioskiem pod domem, w której co chwila wybuchały najdziksze awantury. Władze właśnie zniosły uświęconę tradycją teczkę, żeby było sprawiedliwie i po równo - więc niczego nie było. Po „Express” i „Kurier” stało się półtorej godziny, a pisma tak pożądane jak „Kobieta i życie” czy „Kulisy” w ogóle znikły z lady. Baby brały się za łby, jak tylko zobaczyły kolorową okładkę.

Doktor Szczypiorski, oczywiście, stać nie musiał. Gazety zdobywał dla niego emeryt, któremu zgrabnie usunął polipy z kiszki stolcowej. Reszta narodu stała. Wyruszała o świcie, żeby w tasiemcowych kolejkach walczyć o kotlet, zapałki, paczkę herbatników.

Na widok Agnieszki matka zalała się łzami i nie przestała pochlipywać przez cały czas jej pobytu. Drugiego dnia powiedziała: „Boże, jak ten czas leci! Dopiero co przyleciałaś, a już wracasz” i powtarzała to zdanie codziennie. Agnieszka skręcała się z tęsknoty i miłości i nie rozumiała, dlaczego jej dawne koleżanki mówią:

- Wyszłaś za Niemca? Ale miałaś szczęście!

Nikt jej nie pytał, czy był to Niemiec mądry, czy głupi, blondyn czy brunet, pilot, architekt czy rzeźnik. To było nieważne. Liczyło się tylko, że był przepustką do uginających się pod ciężarem żarcia półek, do ciuchów i samochodów. Do lepszego życia,

w którym nieznane były artykuły czekoladopodobne, listy społeczne i głosowanie bez skreśleń.

Tylko matka pytała niespokojnie:

- Aguniu, ale czy ty na pewno jesteś tam szczęśliwa? Bo u nas żyje się ciężko, ale przecież jakoś się żyje. I między swoimi. Ludzie uważają, że wygrałaś los na loterii, a ja przecież wiem, że siedzisz tam sama jak palec, i serce mi się kraje.

- Nie sama, mammo. Z Hagenem.

- Ale czy on jest dla ciebie dobry? Bo oni są do wszystkiego zdolni. Podpalili nasz dom, zabili dziadka i wujka Olesia, tyle się przez nich nacieriałam i nie pozwolę, żeby skrzywdzili teraz moje dziecko.

- Ależ to było prawie czterdzieści lat temu!

- A co to jest trzydzieści parę lat? To znaczy tylko, że są teraz w sile wieku, może nawet na zasłużonych emeryturach. Czym zasłużonych? Mordercy w stanie spoczynku.

- Mammo, na miłość boską!

- Co mammo? Nie wierzę, żeby ktoś, kto wtedy był przekonany o wyższości swojej rasy, darzył cię dzisiaj sympatią. Tak szybko ludzie nie zmieniają poglądów. Tobie trzydzieści parę lat wydaje się dziś całą wiecznością, ale kiedyś zrozumiesz, że to tylko chwila. Czy to naprawdę musiał być akurat Niemiec?

To nie był dobry moment, żeby zwierzyć się matce z obaw, jakie budził w niej ostatnio Hagen. Tylko by się niepotrzebnie zdenerwowała.

- Chcę wiedzieć, kto to jest.

Agnieszka odstawiła ostrożnie na półkę słoik z borówkami, które dała jej matka. Borówki, wianuszek uzbieranych na Mazurach grzybów, węgorz uwędzony przez ślepa kizkę doktora Szczypiorskiego. Im skromniejsze były te prezenty, tym bardziej ją wzruszały.

-Kto jest kto?



- Agnes, nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Przecież widzę, że kogoś masz. Chcę w końcu wiedzieć, kto to jest. Ktoś w Polsce? W Warszawie? To do niego wciąż latasz? Daję ci pieniądze na bilet, żebyś mogła go odwiedzać? A może jednak ktoś stąd, kumpel ze studiów? To z nim wybierasz się do Air France? Nie ze studiów, jeszcze bliżej? Tu w Erlenchu? Edwin Krall? Tim Schilling?

- Wszyscy, Hagen, wszyscy. Mam jednego w Warszawie, jednego ze studiów i jednego za rogiem. Tim Schilling - dlaczego nie? Tim i jeszcze pół tuzina innych, więc nie łam sobie głowy, ukochany: śpiam ze wszystkimi.

Zabrała koszyk i wyszła z kuchni, trzaskając drzwiami. Dobry Boże, jeszcze i to! Odchodziła od zmysłów, zamartwiając się o matkę, Polska w każdej chwili mogła wywinąć kozła, a ten zastanawia się, czy nie wskoczyła jakimś chłopu do łóżka. Wariat.

Wzięła pod pachę swoją pościel i rzuciła ją na łóżko w pokoju gościnnym. Gości i tak długo nie będzie, jej goście stali w kolejkach i nie mieli ani czasu, ani pieniędzy na wyjazdy. Strajki, bieda z nędzą, pałowania. Nie miała siły zajmować się teraz szaleństwami Hageny. Wypłakała się w poduszkę, wycierając nos rogiem prześcieradła, i zasnęła. Spała jak parobek. Jeżeli istotnie zbliżał się Sąd Ostateczny, to przynajmniej będzie mogła się na nim stawić całkowicie wyspana.

O czwartej rano drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich Hagen. Miał oczy nabiegłe krwią i wyglądał strasznie.

- Natychmiast mi powiedz, kto to jest!

O, dobry Boże, chyba mi tego nie zrobisz? Zabrałeś mi Gerarda, zabrałeś mi tatę, zabrałeś mi babcię. Nie odbieraj mi chociaż Hageny. Na kogo go zamieniłeś? Dałeś mi Gerarda, pokazałeś mi pastwiska niebieskie, ale tylko na chwilę. Nigdy nie zapomniałam Finistère. Nigdy nie przestało boleć. Tata! Nie dałeś mi czasu, żebym mu powiedziała, jak bardzo go kocham, a teraz jest za późno. Nie ma go i nie ma ani babci, ani jej domu w Falenicy. Wszystko to jest tak strasznie odległe i mama też jest daleko, i

nie może mi pomóc, choć tak bardzo potrzebuję jej pomocy. Oszukałeś mnie. Znowu sobie ze mnie zakpiłeś. Postawiłeś na mojej drodze Hagenę, który jest dobry i czuły, i który mnie tak bardzo kocha.

I który właśnie zwariował. Zaczęła krzyczeć.

TLR

Niewiele się w następnych dniach zmieniło. Agnieszka z anielską cierpliwością tłumaczyła Hagenowi, że nikogo nie ma, że nadal go kocha, że jego podejrzenia są zupełnie bezpodstawne. Dręczą go przywidzenia, ponosi fantazja. Na pewno to tylko nerwy.

Hagen słuchał uważnie i przytakiwał. Ale nocą wyrastał nagle koło jej łóżka i mówił z rozpaczą:

- Agnes, zaklinam cię, powiedz mi prawdę. Wszystko jeszcze da się uratować, jeżeli będziemy w stosunku do siebie szczerzy. Więc powiedz mi, kto to jest.

Sztywniała ze strachu i naciągała kołdrę na głowę. Czekwała z utęsknieniem na to, że w końcu znajdzie jakąś pracę, będzie miała swoje pieniądze, pójdzie między ludzi, może jej ktoś pomoże. Nie wiedziała, że Hagen odbiera jej listy na pocztę i wszystkie, które wydają mu się niebezpieczne, drze na strzępy. Szczególnie te długie i wąskie, z nazwami cudzoziemskich firm, były groźne. Mogły zawierać obietnicę niezależności dla Agnes, a tego wcale nie chciał. Po zniszczeniu niebezpiecznej korespondencji na ogół odczuwał ulgę i następowały dobre dni. Sam nie mógł wówczas zrozumieć, dlaczego wątpił w Agnes, była przecież czysta jak łza. Wyjątkowa. Jedyna. Inna niż Karen. Inna niż Tilly. Inna niż jego matka. Przynosił jej wtedy bukiety kwiatów, zapraszał do restauracji, zabierał na weekendy nad Mozelę albo do Alzacji. Urządzali pikniki nad dzikimi strumykami i nocowali w starych gospodach o podłogach tak krzywych, że nocą ze śmiechem wypadali z łóżek. Nareszcie minęło, myślała Agnieszka z ulgą. Wszystko jest jak dawniej, Bogu dzięki.

Szczególnie szczęśliwy okres spędzili w Eguisheimie, malowniczym miasteczku, gdzie wąziutkie domeczki przytulone były plecami do murów obronnych. Mieszkali w „Auberge Alsacienne”, oberży przy głównej drodze, ale na śniadania chodzili do bistro na rynku, gdzie podawano jeszcze ciepłe croissantsy i kawę w wielkich fajansowych filiżankach. Gdy tylko zegar na kościelnej wieży wybił jedenastą, lokalny chór męski zaczynał tam swoją próbę. Lubili go słuchać, mężczyźni mieli piękne głosy i śpiewali stare alzackie pieśni.

- Nie odszedłem z Wydziału Architektury dobrowolnie - powiedział nagle Hagen, starannie smarując rozcięty rogalik masłem. Topiło się natychmiast i skapywało złotymi kroplami.

Mężczyźni z chóru przyglądali mu się kpiąco. Oni sami odłamywali kawałki croissantów i krusząc niemiłosiernie, maczali je w kawie z mlekiem, każdy Francuz wiedział, że jest to jedyny właściwy sposób na croissanty. Gorsy ich białych koszul posypane były okruchami jak grubą warstwą łupieżu.

- Dali mi do zrozumienia, że jeżeli odejdę dobrowolnie, dostanę świetną opinię. W innym wypadku i tak się mnie pozbędą, a opinia wypadnie marnie.

- Ale dlaczego, Hagen?

- Bo wiedziałem, że biorą łapówki. Wszyscy brali. Kierownicy budowy ustawiali przetargi, dyrektorzy oddziałów zlecali po znajomości całkowicie zbędne ekspertyzy, politycy robili przekręty, żeby ominąć ustalenia planów. Odwdzięczano się różnie: raz firma przysłała chłopców, żeby trochę pomurowali na prywatnej budowie, innym razem zapraszała na rejs jachtem. Moje problemy zaczęły się, kiedy podziękowałem za przejażdżkę po Morzu Śródziemnym. Powiedziałem, że cierpię na chorobę morską. Inwestor nie nalegał, ale zszargałem sobie opinię. Wszyscy milkli na mój widok. Później była ta historia ze sfalszowanymi rachunkami. Wylałem kierownika i pozbyłem się firmy. A potem firma pozbyła się mnie.

Nie chciałem odchodzić. Kupiliśmy wtedy dom, urządzaliśmy się, chciałem, żebyś miała wszystko, o czym zamarzysz. Nie widziałem powodu, żeby ustąpić, w końcu to nie ja nadstawiałem łapę. Ale ich nie doceniłem.

Najpierw założyli mi podsłuch i zaczęli kontrolować wszystkie listy, które wysyłałem. Zabrali mi moje projekty, jeden po drugim, aż nie pozostało mi nic do roboty i przez cały dzień gapiłem się w okno. Wreszcie pokazali mi dokumenty, niby to przeze mnie podpisane, z których wynikało, że ja też uczestniczyłem we wszystkich ich przekrętach. „Macie odwagę powiedzieć mi prosto w oczy, że w to wierzycie?“, zapytałem. „Dlaczego nie? - odparli. - Jeżeli jest napisane czarno na białym? Radzimy panu złożyć wypowiedzenie“.

- Hagen, przecież to straszne! Dlaczego mi o tym nigdy nie opowiedziałeś? -  
Agnieszka poczuła wielkie wzruszenie i jeszcze większą ulgę.

TLR

Nareszcie wiedziała, co się stało, co było przyczyną jego nie-zrównoważenia. Po prostu spotkała go wielka niesprawiedliwość, nic dziwnego, że nerwy go zawiodły. Biedny, tyle czasu się z tym sam borykał! A ona myślała, że oszalał... jak mogła być taka ślepa?

Pełna skruchy przytuliła twarz do jego piersi. Jej włosy, tego dnia wyjątkowo niesplecione w warkocz, rozsypały się na kolanach Hagen. Chór męski przestał siorbać rozmoczone croissanty i przyglądał im się z zainteresowaniem.

- Tak mi przykro, kochany - wyszeptała. - Wracajmy do hotelu, dobrze?

W Eguisheimie świat znów odzyskał równowagę. Snuli plany na przyszłość, wypili morze wina i dużo się śmiali. Agnieszka kupiła na pchlim targu starą mosiężną kołatkę, która przedstawiała dwa całujące się ptaszki, i przedwojenne wydanie „Duszy zaczarowanej” Rollanda. Czytali go wieczorami na głos i oboje byli zdania, że autor niesprawiedliwie popadł w zapomnienie. Agnieszka nabrała otuchy, trochę się zaokrągliła i zasypiała z twarzą ufnie wtuloną w pachę Hagen. Dzięki Bogu, kryzys minął.

*Przez jakiś czas Hagen był w złej formie - komu to się nie zdarza? - napisała do matki - ale teraz wszystko wróciło do normy Jtfsteśmy szczęśliwsi niż kiedykolwiek.* Tego samego wieczoru Hagen podarował Agnieszce prześliczny pierścionek z szafirem, który kupił w tajemnicy przed nią u handlarza antykami. Uczcili to butelką szampana i kochali się z taką samą radosną łapczywością, jak na początku swej znajomości. Gdy Agnieszka, spełniona i szczęśliwa, leżała obok Hagen z rozjaśnioną twarzą, oparty na łokciu przyglądał jej się uważnie.

- Muszę ci coś powiedzieć, Agnes. Chodzi o te taśmy, które nagrano, kiedy byłem na podsłuchu. No więc na tych taśmach są także i twoje rozmowy. Twoje rozmowy z kochankiem, Agnes.

Dom przestał być przyjazny. Nietoperze, uśpione do tej pory pod stropem piwnicy jak aksamitne winogrona, krążyły niespokojnie wokół ciemnych koron drzew. Nocą wpadały przez otwarte okna sypialni i napędzwały Agnieszce strachu. Przedtem była nimi zachwycona - któż mógł się pochwalić własnymi nietoperzami? - ale teraz, kiedy popiskując, wciskały się zdezorientowane w szpary między belkami, czuła wstręt. Na samą myśl, że mogłoby ją obudzić dotknięcie ich skrzydeł na policzku, robiło jej się niedobrze.

- Coś je spłoszyło - tłumaczył jej Hagen. - Może kuna?

Cokolwiek je przstraszyło, przeraziło również Agnieszkę. Coraz częściej wydawało jej się, że czuje w domu obecność czegoś obcego. Skrzypiały schody, trzeszczały belki, pojękiwały drzwi. Ze ścian spadały obrazy, matowiały lustra, pleśniały powidła w spiżarni. Na dębie za stodołą pojawiły się nagle pokryte pajęczyną baniaste narośla, wyglądające jak brudne siatki na zakupy. Wdrapała się na drabinę, żeby im się lepiej przyjrzeć, ale kiedy zajrzała do środka jednego z nich, ogarnęła ją fala mdłości i musiała chwycić się gałęzi, żeby nie spaść. Monstrualny kokon tętnił odrażającym życiem, w jego wnętrzu kłębiły się tysiące włochatych liszek.

- Oj, paskudztwo - powiedział posepnie stary pan Wallner. - Korowodka dębowa. Tak się to szkaradzieństwo nazywa, bo jak wychodzą nocą z tego swojego worka na żer, to idą gęsiego i każdy opiera głowę na tyłku poprzednika. O ile toto ma w ogóle głowę i tyłek. Powiedzmy, że to, czym żre, kładzie na tym, czym kolega sra - żeby się bardziej naukowo wyrazić. Ale główny problem polega na tym, że ciskają naokoło tymi włoskami, a włoski są trujące. Dostaje się od nich parchów i swędzi jak cholera, człowiek czochra się, jakby miał świerzb. Za Boga nie dotykaj więc tych gniazd, bo są napełnione toksycznym gazem. Szczególnie jak wieje wiatr, trzeba uważać. Najlepiej

trzymaj się od tego drzewa z daleka, za jakieś parę tygodni same z siebie pozdychają i gniazda spadną. Ale nawet jak je w końcu szlag trafi, to te włoski będą jeszcze miesiącami unosiły się w powietrzu. Ciekawe, skąd się to świństwo w ogóle wzięło? Ostatni raz widziałem je pół wieku temu. Szkoły trzeba było wtedy pozamykać.

Po paru dniach skóra Agnieszki pokryła się swędzącą wysypką, na którą nie pomagały żadne maści.

- To niemożliwe, żeby to były tylko liszki, panie Wallner - jęczała, czochrając się wściekle o futrynę drzwi. - Czuję się, jakbym miała świerzb albo trąd i czekała mnie rychła śmierć. Najchętniej zdarłabym z siebie całą skórę i wymieniła na plastik. Pojęcia pajyie ma, jak wygląda moje siedzenie!

- Nie mam, ale bardzo chętnie popatrzę - zapewnił ją pan Wallner. - Ale szkoda takiej ładnej pupy. Spróbuję coś wymyślić.

Następnego dnia pojawił się w płaszczu przeciwdeszczowym, kaloszach, rękawicach i kasku motocyklowym na głowie. Na ramionach miał plecak, z którego wystawał potężny elektroluks do celów przemysłowych, a za sobą włókł bęben z przedłużaczem.

- Do ataku! - zawołał wesoło, spuszcżając przyłbicę. - Popędzimy kota tym skurwysynom! Podłącz mnie tylko do prądu, kotku, i pokażemy im, gdzie raki zimują.

Chyżo wdrapał się na drabinę i wycelował odkurzacż w kierunku oplatanych pajęczyną torbieli.

-Ogień marsz! - zakomenderował. - Ta-ta-ta-ta-ta bum--bum! Ta-ta-ta-ta-ta bum-bum! Umierajcie jak mężczyźni, gnoje! Ta-ta-ta-ta-ta bum-bum! Hura, hura, hura!

Nie mogąc patrzeć, jak stary pan Wallner balansuje niebezpiecznie na szczycie drabiny, Agnieszka kurczowo objęła ją ramionami i zamknęła oczy. Kiedy je znowu otworzyła, stał już na ziemi i salutował ryjkiem elektroluksu. Jego twarz promieniała.



- *Sieg Heil* - zawołał. - Melduję, że akcja zakończona. Wróg rozbity, strat w ludziach nie było. *Weidmannsdank*\*<sup>31</sup>

- Och, panie Wallner, jak mam panu dziękować? - Agnieszka uznała, że lepiej nie wnikać, na jakich frontach stary pan Wallner zdobywał doświadczenie bojowe. - Był pan po prostu wspaniały!

- Nie dziękuj mi, aniołku, dawno się tak dobrze nie bawiłem.

A najlepszą zabawę mam jeszcze przed sobą - zapewnił ją tajemniczo.

Co miał na myśli, Agnieszka dowiedziała się już po paru dniach, kiedy spotkała przed furtką Wallnerów słaniającą się na nogach Christę. Drapała się zaciekle i pokryta była białymi plackami płynu przeciwuczuleniowego.

- O Boże, pani Merz, ja chyba oszaleję! Pani nie ma pojęcia, jak ja cierpię. Zupełnie nie rozumiem, jak mogłam coś złapać, przecież tak zdrowo żyjemy Tylko ekologiczną żywność kupuję, codziennie sterylizuję toalety i tak uważam, żeby żadnych alergenów w domu nie było, a niech pani popatrzy - jedna rana! Jakaś straszna egzema czy co?

Agnieszce wydawało się, że widzi w oknie cień czającego się za firanką teścia Christy, ale nie była pewna.

Wieczorem usłyszała, że ktoś przywołuje ją psyknięciem do płotu. Stary pan Wallner ukrywał się w łopianach z miną konspiratora.

- Psst, kwiatuszku, podejdź no tu na momencik... Widziałaś dzisiaj moją synową? Wygląda jak żona Frankensteina, no nie? Te twoje liszki na coś jednak się przydały. Troszkę tylko wytrzepałem eletroluks nad jej łóżkiem i popatrz, jak pięknie poskutkowało!

Z kim miała rozmawiać o swoich lękach? Tim Schilling, kiedyś taki przyjazny, przechodził na jej widok na drugą stronę ulicy. Pojęcia nie miała, dlaczego. Verene, od czasu jak Edwin się wyprowadził, a Trybunał Konstytucyjny oddalił jej roszczenie,

---

<sup>31</sup> podziękowanie myśliwskie po udanym polowaniu

interesował wyłącznie Strasburg. Była zupełnie przekonana, że Europejski Trybunał Praw Człowieka odniesie się przychylnie do jej biustu i oczekując na wyrok, już wertowała prospekty klinik, specjalizujących się w powiększaniu piersi. Czy Edwin do tych piersi kiedykolwiek powróci, nie było wiadomo.

Pani Berek była płochliwa jak sarna i rzadko wychodziła z domu. Poza uprzejmymi uwagami dotyczącymi pogody nie wymieniły ze sobą nawet pięciu zdań. Pani Wallner, owszem, miała jej nawet bardzo dużo do powiedzenia. Na temat kwitnących chwastów, przelazących przez płot jeżyn i róż zaśmiecających płatkami trawniki, mogła mówić godzinami. Prawie tak długo jak o walce z roztoczami. Wszystkiego tego Agnieszka nie miała ochoty słuchać.

Pozostawał jej tylko stary pan Wallner, z podejrzanymi plamami koło rozporoka, śladami śniadania na koszuli i paskudnym zwyczajem bawienia się swoją sztuczną szczęką. Tylko w jego niebieskich jak u niemowlęcia oczach widywała coś na kształt ludzkiego zainteresowania.

Mama! Mama wiedziałyby, co zrobić - zawsze wiedziała. Ale listy do Polski szły sześć tygodni, widocznie czytali je po drodze analfabeci i szło im to powoli. Równie długo trzeba było czekać na odpowiedź. W sumie trzy miesiące, wieczność całą. Jaki sens miało zadawanie pytań, na które odpowiedź przychodziła po trzech miesiącach?

Teoretycznie istniały telefony, ale w praktyce nie można było się dodzwonić. Gdyby mama mieszkała w południowej Afryce, byłoby znacznie łatwiej się z nią skontaktować.

Mimo to każdy list od niej, choć beznadziejnie nieaktualny, stawał się dla Agnieszki cenną relikwią. Już samo rozcinanie koperty było świętem. Czytała list wielokrotnie i chowała do pudełka po butach, gdzie leżała porządnie posegregowana według dat wcześniejsza korespondencja. Listy przestawały już się tam mieścić. Wciąż do nich wracała w nadziei, że coś nowego wyczyta między wierszami i w cudowny sposób nagle zrozumie, jak się ma uporać ze swoją sytuacją.

Tego wieczoru nadarzała się dobra okazja do ich studiowania. Hagen pojechał do Stuttgartu na spotkanie z potencjalnym inwestorem. Agnieszka rozłożyła listy na biurku, dziesiątki kartek, zapisanych dużym, wyraźnym pismem matki, wygładziła je starannie i zaczęła czytać.

Tyle w nich było tęsknoty i miłości! *Córeczko najmilsza, Aguniu, mój skarbie, kochanie moje... tak bardzo mi Ciebie brak. Czy wszystko u Was dobrze? Tęsknię za Tobą tak bardzo... gdzie jesteś w tej chwili, co robisz, o czym myślisz, Aguniu?*

Co myślę? Och, mam, mam, myślę, że z moim mężem dzieje się coś bardzo złego. Co robię? Nic nie robię, siedzę jak mysz pod miotłą, jak sparaliżowany królik przed wężem. Nie wiem, co mam robić, a bardzo chciałabym wiedzieć. Pomóż mi, mam. Nie znam tu ani jednego człowieka, którego interesowałby mój los, a boję się, tak bardzo się boję!

Położyła głowę na stole, przycisnęła policzek do listów i rozplakała się. Mijały długie minuty, a Agnieszka wciąż siedziała nieruchomo, z twarzą ukrytą w stosie kartek. Najchętniej by tak zasnęła, przytulona do słów pełnych czułości i troski.

Pomruk zbliżającej się burzy zmusił ją do wstania. Trzeba będzie pozamykać okiennice, żeby poryw wiatru nie wyrwał ich z zardzewiałych zawiasów i nie wybił szyb. Żeby nie narobił szkód w domu, jej wymarzonego domu, który teraz wydawał się jej pułapką.

Obeszła wszystkie pokoje, zajrzała na strych i do piwnicy, a nawet do stodoły. Pozasuwała rygle, przekręciła klucze, pozakładała haczyki. Zabezpieczyła wszystko, co w razie nawałnicy mogło się połamać albo stłuc, zacząć klekotać bądź trzaskać. Pogasiła światła i skuliła się w łóżku z francuską książką. Wciąż jeszcze chętniej czytała po francusku niż po niemiecku i miała przyzwoity zbiór powieści w tym języku. Na każdy nastrój jedną. Na smuteczki nadawała się najlepiej „Kronika rodu Pasquier” Duhamela. Oni też ciągle na coś czekali. Na coś, co zmieni ich życie na lepsze. Na spadek. Na list od notariusza z Hawru. Nawet nie zauważyła, kiedy zamknęły się jej powieki i zasnęła z policzkiem opartym na książce.

Obudził ją płacz dziecka. Nie otwierając oczu, pomyślała, że to pewnie sen, bo przecież w domu nie ma żadnego dziecka i wsunęła się głębiej pod kołdrę. Ale to nie był sen, dziecko płakało nadal. Poczula na twarzy powiew zimnego powietrza i usłyszała szelest kartek. Listy matki, dziesiątki kartek, które wieczorem tak starannie posegregowała, żeglowały po pokoju. Część z nich pokrywała podłogę, jak płatki śniegu.

Przeciąg!, pomyślała. Gdzieś musi być otwarte okno. Ale przecież wszystko pozamykałam, zanim się położyłam, więc skąd ten przeciąg?

Podniosła się z łóżka, owinęła kocem i zmartwiała.

Drzwi prowadzące z sypialni na korytarz i te, którymi z korytarza wchodziło się do jadalni, stały otworem, przez szeroko rozwarte okno nad schodami napływało ostre nocne powietrze. W całym domu panował dotkliwy chłód.

- To niemożliwe! - powiedziała głośno Agnieszka. - Czegoś takiego nie ma. Wiem na pewno, że sprawdziłam każdy kąt, wszystko było pozamykane. Jakim cudem mogło się samo otworzyć?

Uzbrojona w pojemnik z gazem pieprzowym i latarkę ruszyła na obchód domu. Niczego podejrzanego nie znalazła, ale nie mogła się pozbyć wcześniejszego wrażenia obecności kogoś - albo czegoś - obcego.

- Idiotyczne - mruknęła, naciągając kołdrę na głowę. - Zaczynam w piętke gonić. Widocznie jednak zapomniałam o oknie w kuchni i wiatr je otworzył. Resztę zrobił przeciąg. Przynajmniej wiem teraz, skąd się biorą historie o duchach. Właśnie stąd.

Ale następnego dnia znów obudził ją płacz dziecka i zdziwiło migotanie bladej poświaty w pokoju, który nazywali kominkowym, chociaż nie było w nim kominka, tylko stary kafłowy piec. Poświatę rzucał ekran włączonego telewizora.

Sam się włączył?, zdziwiła się Agnieszka. A jeżeli sam, to dlaczego tylko obraz, bez dźwięku? Dziwne.

Znowu obeszała dom, ściskając w garści gaz i latarkę, i znowu nie mogła pozbyć się wrażenia, że coś się w nim przyczaiło.

Nerwy mnie zawodzą, pomyślała. Zaczynam widzieć duchy. Jak tak dalej pójdzie, to biorę śpiwór i śpię na ulicy, noga moja w tym domu nie postanie.

Następnego dnia nie mogła się doczekać, kiedy stary pan Wall-ner wyjdzie na swoją codzienną przechadzkę, mającą na celu uświnienie podłóg i psucie krwi Chrście. Odczekała z szacunkiem, aż przestanie obsikiwać lilie synowej. Mocz im'szkodził, dostawały paskudnych plam, a przy odrobinie szczęścia nawet usychały. Lilie były, zdaniem starego pana Wallnera, kwiatem pogrzebowym i nadawały się wyłącznie do dekorowania trumien.

- Dlatego je hoduje - wyjaśnił kiedyś Agnieszce. - Nie może się doczekać mojego pogrzebu. Inne kobiety doprowadza do orgazmu vibrator, a Christę fantazje na temat mojej mszy żałobnej. Mój czarny garnitur codziennie szczotkuje i przekłada bukietami lawendy, żeby się mole nie załęgły. Mnie mówi, że to na wypadek, gdybym nagle musiał pójść do sądu albo na wesele, a ja przecież nie wybieram się ani do ślubu, ani do pierdla. Robi to, bo sprawia jej przyjemność wyobrażanie sobie, jak ja w tym garniturze w trumnie leżę, przywalony wieńcami. Z jej lilii, oczywiście.

- Panie Wallner, czy kiedykolwiek słyszał pan w nocy płaczące dziecko? Tu, u nas, w Kołodziejówce? - spytała Agnieszka, gdy staruszek skończył podlewać lilie.

- Mały Oskar - odparł bez namysłu.

Agnieszka odetchnęła z ulgą. Nie miała więc, dzięki Bogu, przywidzeń, istniał jakiś mały Oskar, który sobie płakał. Jak to zwykle z dziećmi bywa.

- A gdzie ten mały Oskar mieszka?

- No u was, w Kołodziej ówce, a gdzie by?

- W naszej Kołodziej ówce?

- Innej tu nie ma. Hilda też go słyszała, ale nigdy nie widziała. Płacze na schodach, prawda? No tak, bo on wtedy z tych właśnie schodów spadł.

- Wtedy? Kiedy, panie Wallner?

- Poczekaj, niech pomyślę. W 1929 roku może? Jakoś tak jak ten światowy kryzys był.

- Chce pan przez to powiedzieć, że u nas w domu płacze dziecko, które od pół wieku nie żyje?

- No cóż, nie możesz mieć do niego o to pretensji, to przecież nie jego wina, że kupiliście ten dom. On tu był przed wami.

- Mieszkam w domu, w którym straszy?

- Oj tam, zaraz straszy. Takie rzeczy się w starych domach zdarzają, kwiatuszku. Hilda też go słyszała. Ja nigdy, chociaż próbowałem. Dlatego zawsze myślałem, że tylko Stellmacherowie mogą go słyszeć, bo to była ich krew. Teraz widocznie przeniosło się to na nowych właścicieli, czyli na ciebie.

- Aleja nie chcę. Nie chcę, żeby się cokolwiek na mnie przenosiło, a już najmniej, żeby to był mały Oskar. Umrę ze strachu.

- To bardzo mi przykro, nie chciałem cię przestraszyć, kwiatuszku. Widzisz, jak człowiek jest jedną nogą na tamtym świecie, to musi mieć inny stosunek do duchów. Takie stare próchno jak ja samo jest już w połowie duchem.

- Bzdura, jest pan znacznie bardziej żywy od większości ludzi, których znam. Jaki powód ma ten mały Oskar, żeby płakać akurat na moich schodach? Może jest mu wszystko jedno i mógłby płakać gdzie indziej?

- Nie sądzę, bo on z tych właśnie schodów spadł. Na śmierć spadł. Ale ludzie mówili, że umarł z braku miłości, i winili o to jego matkę. Nora nie kochała Oskara.

- Dlaczego miałyby nie kochać własnego dziecka?

- Bo było nieślubne, a w tamtych czasach panna z dzieckiem była na wsi jak trędowata. Później, za Adolfa, to by jej za to może nawet i medal dali, ale wcześniej to była wielka hańba i Norę wytykano palcami.

Właściwie to wcale nie miało być nieślubne. Była po słowie z Han-nesem, do jego rodziny należał ten ładny młyn za miastem. Znali się od dziecka, chodzili razem do szkoły i wszyscy wiedzieli, że się kiedyś pobiorą. Ale jak przyszedł kryzys, to tu była straszna bieda. Ludzie nie mieli co do garnka włożyć i wyjeżdżali do Ameryki, żeby przeżyć. W Iowa są całe miasteczka, gdzie mieszkają potomkowie tych emigrantów, już po nazwach widać: Frankfurt, Neu-Brannfels, Biddleborn. Biddleborn to po prostu Buttelborn, wiesz? No więc ten Hannes miał w Ameryce stryja i do niego pojechał, a Nora została. Miała czekać, aż ją do siebie sprowadzi, jak tylko się trochę dorobi.

A więc stąd wzięły się na strychu te przewiązane wstążką paczki listów, pomyślała Agnieszka. To do matki małego Oskara były pisane, to ona była tą „najdroższą Norą”. I pewnie do niej należał ten kapelusz, w którym tak dobrze się kopało grządki w ogrodzie. No pięknie, włożyłam kapelusz matki małego Oskara na głowę i sprowadziłam go sobie na łeb. Teraz będę miała jeszcze problemy z duchami, jakby mi nie wystarczały te z żywymi!

- Dopiero po jego wyjeździe okazało się, że Nora jest w ciąży -ciągnął dalej dziadek Wallner. - Odchodziła od zmysłów, pisała do Hannesa rozpaczliwe listy, żeby wracał, żeby się żenił albo przysłał jej bilet na statek. A Hannes nic. Ani nie wracał, ani jej pieniędzy na statek nie przysłał. Tylko jej piękne listy pisał, żeby nic się nie martwiła, już niedługo będą razem. Potem okazało się, że zdążył się ożenić z bogatą dziewczuchą z Biddelbornu, zanim mały Oskar przyszedł na świat. Nora wymyśliła sobie, że to przez dziecko, że to ono go zniechęciło, przecież młody był, chciał zobaczyć świat, życia użyć, a tu takie zobowiązanie. Nie miała dla Oskara serca, prawie się nim nie zajmowała. Dziecko chowała babka, inaczej by umarło z głodu.

Jak spadło ze schodów, nie miało jeszcze dwóch latek. Ludzie mówili, że się z nich naumyślnie rzuciło, ale to, oczywiście, babskie gadanie. Jest jednak trochę prawdy w tym, że małego Oskara zabił brak miłości: gdyby Nora go kochała, lepiej by go pilnowała. A tak skręcił sobie kark, a że umarł bez sakramentów i nikt po nim nie rozpaczał, to sobie teraz płacze. U ciebie na schodach.

-I co ja mam teraz zrobić, panie Wallner? - jęknęła Agnieszka. - Nie chcę mieć w domu ducha. Ani małego, ani dużego.

Pan Wallner przyjrzał się jej z namysłem.

- Dlaczego nie? Ja ci tam zazdroszczę. Zawsze coś się dzieje. Taki duch to jakaś odmiana, ciekawiej. No i ekskluzywnie, mało kto takiego ma. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się do nas przeprowadził. Obawiam się tylko, że gdyby to zrobił, to ta idiotka Christa wrzuciłaby go do pralki, zdezynfekowała i posypała proszkiem na mole.

- Ale ja nie chcę, żeby coś się działo. Niech mi pan pomoże, błagam!

- Oj, kwiatuszku, skoro tak ładnie prosisz... Jak na ciebie patrzę, robi mi się miękko na sercu i dawne czasy mi się przypominają. Pamiętam, wtedy w offlagu, była taka mała polska siostrzyczka, z warkoczem jak snop pszenicy, wypisz wymaluj jak twój, a z przodu nosiła takie dwie słodkie poduchy, że nogi się pod człowiekiem na ten widok uginały. Jezusie, co to była za rekonwalescencja! Dałbym sobie jaja odstrzelić, żeby jeszcze raz... ale przepraszam, odbiegłem trochę od tematu. No więc tak sobie myślę, kwiatuszku, że jak ten mały Oskar umarł na brak miłości, to najlepiej będzie, jak mu ją okażesz. Połóż mu na schodach jakieś zabawki. Hilda też coś mówiła o zabawkach. Zobaczysz, co będzie dalej.

Agnieszka pognała jeszcze tego samego dnia do supermarketu sióstr Krautwald. Wybrała parę prostych zabawek, które wydawały jej się odpowiednie dla dwuletniego dziecka. Chociaż właściwie szedł mu szósty krzyżyk. Wzrok Dórze powędrował natchemiasz w stronę jej brzucha. Uśmiechnęła się domyślnie i ukradkiem puściła oko do Herthy, która postanowiła jak najszybciej rozkolportować nowinę po miasteczku.

- Mamy też słodkie śpioszki, pani Merz - zaczęła. - Śliniaczki, smoczuszki i nocniczki.

- To może trochę później - odparła Agnieszka i pomyślała mściwie: a to się rozczarujecie. Nigdy byście na to nie wpadły: kupuję zabawki dla ducha dziecka Nory. - Na razie to tylko próba generalna - dodała tajemniczo.

Wieczorem rozłożyła kolorowe samochodziki i pluszowe misie na górnym podejściu schodów. Przez całą noc nie zmrużyła oka, nadsłuchując, czy dziecko płacze. Nie płakało.

Nie płakało już nigdy więcej.



Gruby lekarz z rozwichrzoną brodą z miejsca rozpoznał Agnieszkę i z nieoczekiwaną zwinnością zbiegł ze stopni ganku.

- Pani Merz, piękne dziecko Polski! Jaka miła niespodzianka, gościć tyle uroku i świeżości pod naszym dachem! Ma pani szczęście, babcia jest dzisiaj w doskonałej formie. Jej umysł, tak często, niestety, przyćmiony funkcjonuje dzisiaj z dawną ostrością.

Gdybyś ty wiedział, jak marnie funkcjonuje ostatnio mój własny, pomyślała Agnieszka. Widzę więcej upiorów niż połowa twoich pensjonariuszy. Na schodach zamieszkuje mały Oskar, po pokojach nocą fruują listy, wczoraj wieczorem przez ogród przesunęła się babcia z koszykiem pełnym róż i sekatorem w ręce. Zdziwiło mnie tylko to, że ścina kwiaty przy blasku księżyca. Wszystko dlatego, że mój mąż oszalał i każdego mężczyznę od lat osiemnastu do osiemdziesięciu uważa za mojego kochanka. A może powinnam ci o tym opowiedzieć? Dałbyś mi valium i pokój z widokiem na park w tej eleganckiej umieralni.

Ale lekarz już przywołał piersiastą pielęgniarkę z zawodowo macierzyńskim uśmiechem i kazał jej zaprowadzić Agnieszkę do babki Hageny.

Musiała rzeczywiście mieć dobry dzień, bo rozgrywała partię szachów ze schludnym staruszkiem o przyklejonych do czaszki włosach, w którym Agnieszka rozpoznała pana Schemmelinga. Wołał właśnie:

- Poddaję się, poddaję się, dobrodziejko! Jest pani dziś nie do pobicia! Ten ruch był godny Kasparowa: wieża tam, a dama tu - i szach mat, gratuluje!

- Dzień dobry, babciu, przyszłam cię odwiedzić. Nie przeszkadzam? - zapytała Agnieszka, stawiając na stoliku obok szachownicy pudełko ptysiów. - Poznajesz mnie, prawda? Jestem żoną Hageny.

- Oczywiście, że cię poznaję, Agnes, dlaczego miałabym cię nie poznawać? Nie jestem zdziecinniałą staruszką, za jaką uważają mnie te idiotki pielęgniarki. Panie

Schemmeling, to czarujące stworzenie jest żoną mojego wnuka. Pochodzi ze Stradunken, to teraz Polska. Ja wciąż jeszcze mówię po polsku: cieńtopry, dowicenia, po-szet won. Nasz zarządca, pan Kornecki, też jest Polakiem, bardzo kompetentny człowiek, a do stołu podają Kasze i Marysze. Pamięć mi, chwała Bogu, wciąż jeszcze dopisuje, pojęcia nie mam, czego ten bęcwał doktor Eisenhut od niej chce.

Pan Schemmeling wstał, trzasnął obcasami i ucałował szarmancko powietrze nad przegubem Agnieszki.

- Bardzo mi miło, łaskawa pani. Pani Minno, skoro ma pani gościa, zostawię panie teraz same. Na pewno macie sobie dużo do opowiedzenia. Proszę nie zapomnieć o naszym popołudniowym koncercie: obiecała mi pani!

Babka Hagen skinęła z godnością głową i odprawiła pana Schemmelinga królewskim ruchem ręki. Oddalił się rączko, nie odrywając stóp od ziemi, tanecznym krokiem tancerek „Bieriozki”, który tak zafascynował Agnieszkę podczas pierwszej wizyty.

Oczy starej kobiety spoczęły na niej wyczekująco.

- Dziś sama, Agnes? A gdzie Hagen? Mam nadzieję, że nie jest chory? To bardzo miłe, że pomyślałaś o odwiedzeniu starej kobiety w tym wariatkowie. Co nowego u was? Wszystko w porządku?

Nie, wprost przeciwnie, nic nie było w porządku. Przyszła tu, bo czuła się samotna, bezradna i nie wiedziała, dokąd mogłaby pójść. Ale jak miała dzielić się swoimi obawami ze stuletnią nieomalże staruszką?

- Jakieś kłopoty z Hagenem? - padło znienacka pytanie, jakby babka Hagen czytała w jej myślach.

- Nie skądże... to znaczy tak. Jest ostatnio taki... dziwny, babciu - odparła zaskoczona. - To dlatego, że ma trochę problemów w pracy.

- Hagen miał zawsze problemy w pracy - oświadczyła staruszka spokojnie, jakby nie oczekiwała żadnej innej odpowiedzi. - Mimo niewątpliwego talentu. W każdej pracy tak było. Dłużej niż dwa lata nigdzie nie zagrzał miejsca, wszędzie zdążył narobić sobie wrogów.

- To nie jego wina - zaprotestowała Agnieszka. - Zachowali się w stosunku do niego obrzydliwie. Ale teraz będzie inaczej, bo się usamodzielniał. Założył własną firmę.

- Tym gorzej - oświadczyła babka. - W takim razie jest sam na sam ze sobą, a największym wrogiem Hagen jest Hagen. Niszczy wszystko, co mogłoby go zbawić, każdego, kto chciałby mu pomóc. Im bardziej czegoś pragnie, tym większe szerzy wokół siebie spustoszenie. Nie potrafi inaczej. Tyle razy stracił to, co było dla niego najcenniejsze, że coś w nim pękło. Najpierw Stradunken, swoją ojczyznę, a z nią wszystkie zabawki, potem ojca i matkę - za dużo na jednego małego chłopca. A takie to było dobre, kochane dziecko! Potem jeszcze ta tragedia z Tilly - Hagen szalał za Tilly, myślałam, że nigdy się nie podzwignie po jej śmierci, okropnie się bałam, że odbierze sobie życie - no i Karen też go porzuciła. Tyle cierpienia, tyle rozczarowań. Mój biedny Hagen!

Wyschłe ciało staruszki nagle zadrżało i ptasie pazurki wbiły się w grzbiet dłoni Agnieszki.

- Ale to Hagen wypchnął Tilly z okna - wyszeptała. - Sam mi to opowiedział. Położył mi głowę na kolanach i płakał, strasznie płakał. Zrobił to, bo nie mógł znieść myśli, że i ona go opuściła. Poszła za takim brudnym Felixem, z włosami do pasa, który jej kazał od nas odejść. Powiedział, że musi zerwać z rodziną, bo to sami naziści. Jacy z nas byli naziści? To my byliśmy ofiarami. Straciliśmy naszą ojczyznę, zabrano nam nasze domy i nasze groby. Kim jest człowiek, który nawet grobów przodków nie ma? Myśmy o niczym nie wiedzieli. Żyliśmy w Stradunken z Polakami w zgodzie, mój ojciec bardzo cenił pana Korneckiego, zarządcę, i kucharkę, panią Jadwigę - ach, jakie ona robiła pierogi, jakie wspaniałe pierogi! Jak jedna wielka rodzina mieszkaliśmy pod tym samym dachem, z panią Jadwigą, z Kasze i Marysze, a jak musieliśmy uciekać na zachód, to one bardzo były smutne i łzy miały w oczach. I to my mieliśmy być winni?

My nigdy nie pochwalaliśmy tego, że ojciec Hagen wstąpił do NSDAP, bo to motłoch był straszny, ale wtedy wszyscy wstępowali. Jak w czterdziestym pierwszym

wrócił z Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i zaczął opowiadać o Generalnym Planie Wschodnim, o prawie narodu niemieckiego do przestrzeni życiowej i jak to będzie się teraz zastępować na wschodzie ludność mało wartościową ludnością czystej krwi niemieckiej, mój ojciec okropnie się zdenerwował. Walił pięścią w stół i krzyczał, że za Ural to trzeba wysiedlić Himmlera razem z jego trupimi główkami, a nie pana Korneckiego.

Ale nawet papa musiał przyznać, że bardzo się ludziom poprawiło, praca była, budowano fabryki, autostrady. Trudno się dziwić, że entuzjazm był wielki. Potem jednak nadeszła katastrofa i wszystko legło w gruzach. Po wojnie długo trwało, zanim podźwignęliśmy ten kraj z ruin, ale znowu się odrodził, jak Feniks z popiołów. To my doprowadziliśmy go do dobrobytu, a kiedy go osiągnął, wyszli na ulice ci, którzy się w tym dobrobycie wychowali, bez bomb, bez głodu, bez wszy, brudni i obdarci nie z biedy, tylko z własnego widzimisię. Wyszli na ulicę, żeby rzucać w nas kamieniami i nazywać faszystami tych, którzy ich wykarmili. I za takim właśnie poszła Tilly, za czerwonym bezbożnikiem, dla którego nic nie było święte. Zawłókł ją do komuny, gdzie wszystko było wspólne, pieniądze, papierosy, narkotyki i dziewczyny. Bez zasad, bez wstydu żadnego.

Czego można było się po córce bufetowej spodziewać? U nas, w Stradunken, takiej Elsy nie wzięlibyśmy nawet na dójkę. *Ackergaul* Alle Hagen Tilly kochał. Była dla niego ta święta, ta dobra, ta czysta. Jego Tilly. Przelał na nią całą swoją miłość, tę, której nosił w sobie za dużo, bo mu nic nie zostało do kochania. Inny by krzyżyk na niej postawił, w końcu była tylko przyrodnią siostrą, córką obcej prostej baby z bufetu, ale nie Hagen. Uparcie próbował odciągnąć Tilly od tych komunistów, od tego kudłatego Felixa, błagał, prosił, zaklinał.

Tamtej nocy też próbował. Aż mu powiedziała, żeby dał jej święty spokój i zniknął wreszcie na zawsze z jej życia. „A ty z mojego” -odpowiedział i wypchnął ją z okna. Opowiedział mi to, bo komu miał opowiedzieć? Nie miał już nikogo.

Ale Tilly nie odeszła na zawsze. Powraca wciąż w jego snach, powraca w moich i tak już zostanie, do końca życia. Mój czas się kończy i to dobrze, bo już bardzo jestem

zmęczona. Chciałabym móc wreszcie wrócić do Stradunken i do wszystkich, którzy tam na mnie czekają. Ale przed Hagenem jeszcze długa droga i bardzo się nim martwię, bo jego dusza pełna jest niezabliźnionych ran. Zamieszkały w niej cienie tych, których utracił, i napawają go lękiem, a lęk jeszcze nigdy nie był dobrym doradcą.

W głowie Agnieszki wszystko wirowało. Oddychała z trudem, szybko i płytko, wydawało jej się, że wciąż nie starcza jej tchu. Co ta stara kobieta przed chwilą jej opowiedziała, z takim spokojem, jakby mówiła o partii szachów z panem Schemmelingiem? Hagen zabił swoją przyrodnią siostrę? Wariatka, stara wariatka! Jaki diabeł ją skusił, żeby tu przyjechać i wysłuchiwać bredzenia chorego umysłu? Wstała, przewracając krzesło, i w popłochu zaczęła upychać w torebce rozłożone na stole drobiazgi: długopis, kluczyki do samochodu, zdjęcia z Alzacji. Zamierzała je pokazać babce Hagen - jak mogła być tak głupia? Jak mogła choć przez sekundę się łudzić, że uda się jej w tej starej wiedźmie odnaleźć cokolwiek, co by przypominało jej babcię z Falenicy?

Zanim jednak zdążyła zrobić jeden krok w stronę drzwi, babka Hagen zasłoniła twarz rękami i krzyknęła przeraźliwie:

- Wynoś się, Tilly! Nie chcę cię nigdy więcej widzieć! Precz stąd, precz, precz, precz!

Korytarzem pędziła już długimi susami piersiasta pielęgniarka, a za nią sadył z rozwianymi połami białego fartucha lekarz, unosząc nad głową strzykawkę.

- Tak mi przykro, drogie dziecko - wysapał, wbijając ją z rozmachem w pokryte brunatnymi plamami ramię staruszki. - Wydawało mi się, że jest dziś zupełnie zrównoważona. Jeszcze nigdy nie była taka agresywna. Czy coś się stało?

- Zobaczyła upiora - odparła zgnębiona Agnieszka. - Aleja też go widziałam.

W parku spotkała przy bramie pana Schemmelinga, płynącego tanecznie nad ścieżką. W ręku trzymał duży zeszyt. Zamachał nim wesoło do Agnieszki.

- *Lohengrin*! - zawołał tryumfalnie. - Partytura *Lohengrina* z 1938 roku, prawdziwy skarb! Pani Minna się ucieszy, uwielbia Wagnera. Pani już odchodzi? Jaka szkoda! Kiedy zobaczymy panią znowu?

- W tym życiu na pewno nie - powiedziała twardo Agnieszka. - A i w tym następnym dobrze się zastanowię. Upiorów macie tu aż za dużo.

Wyminęła go i wyszła za bramę. Za bramą zaczęła biec. Wzniesione ramię pana Schemmelinga opadło, ramiona się przygarbiły, a na twarzy odmalował się smutek. Wsunął partyturę pod pachę i powoli popłynął przez park w kierunku domu.

TLR

Pani Berek stała od dziesięciu minut przy kasie, gdzie królowała Dörte Krautwald, i bezskutecznie usiłowała znaleźć monetę pięciofenigową. Mogłaby przysiąc, że jeszcze rano tam była. Ślamazarnie grzebała w portmonetce, każdy wysupany pieniążek zbliżała do grubych szkieł okularów i oglądała go krytycznie ze wszystkich stron. Monety nie było.

Dörte niecierpliwie podskakiwała na krześle. Boże, Ty patrzysz i nie grzmisz? 25,99 w fenigach! Stara wariatka. W każdym hipermarkecie kolejka by ją zlinczowała.

- Pani da mi tę portmonetkę, kochaniutka - powiedziała z fałszywą słodyczą przez szczelnie zaciśnięte zęby, wysuwając swoją szczękę boksera do przodu. - Ja już sobie z niej wyjmę, co trzeba.

Pani Berek przycisnęła gwałtownie torebkę do piersi, potrząsnęła głową i liczyła dalej. Dörte westchnęła i zatrzęsnęła z hukiem szufladkę kasy. No jasne, ta wariatka pewnie myśli, że mogłaby ją przy okazji okraść. Jej wzrok spoczął na szyldzie nad głową pani Berek, który zapewniał, że w „D&H Krautwald” każdy klient jest królem. Nie bez powodu królowie ginęli na szafotach.

- Hertha, nie śpij! Zapakuj zakupy pani Berek! - ryknęła, żeby sobie ulżyć. Pani Berek wzdrygnęła się i upuściła portmonetkę.

Hertha podniosła ją z uśmiechem i sięgnęła po reklamówkę z tą samą uległością, z jaką od osiemdziesięciu lat siadywała w czasie wspólnej kąpieli na korku od wanny. Urodziła się z tym korkiem w tyłku i tak już umrze, nie było co protestować. Dawno przestała z Dörte na ten temat dyskutować. Godziła się na gorszą pozycję bez słowa z miłą świadomością, że w zasięgu jej ręki stoi srebrny kubeczek z brzytwą tatusia. Jak-

by chciała, mogłaby po nią sięgnąć i chlasnąć po grubych pęcinach Dórze, a w wodzie zakwitłyby czerwone kwiaty.

Gdybyż to wszyscy klienci byli tacy jak pan Merz! Pani Berek potrafiła na pół godziny znieruchomieć jak słup soli przed półką z cukrem, nie mogąc się zdecydować, czy chce miarki, czy też ekstra-miarki. Pan Merz wpadał jak po ogień, chwycił trzy butelki najdroższego wina i pół tuzina francuskich serów, płacił, nie przeliczając reszty, i już go nie było. Teraz też przed chwilą wszedł, a już stał przy kasie i z anielską cierpliwością czekał, aż pani Berek wydłubie ostatnie fenigi. Dobry klient i miły człowiek, chociaż trochę za chudy.

Hagen dogonił panią Berek na ulicy. Kleiła się do ścian domów, uginając pod ciężarem wypakowanego koszyka. Wyczytała ostatnio, że w Neapolu złodzieje na skuterach wrywają w pełnym pędzie kobietom torebki i dlatego należy trzymać się z dala od krawężnika. W Erlenbachu nikt poza najstarszym synem Evrena Yil-dirima nie miał skutera, ale wołała być ostrożna. Idąc, obserwowała bacznie jezdnię i dlatego nie zauważyła Hagen. Bardzo się przestraszyła, kiedy nagle zastąpił jej drogę.

- Och, tak mi przykro, pani Berek - powiedział speszony. - Nie zamierzałem pani przestraszyć. Zauważyłem tylko w sklepie, że zrobiła pani dziś większe zakupy, i chciałem je pani zanieść do domu. Jesteśmy przecież sąsiadami.

Pani Berek odetchnęła z ulgą. Pan Merz był sympatycznym młodym człowiekiem, który miał po kolei w głowie i nosił krawaty, co w obecnych czasach było wyjątkiem. Zawsze uprzejmy i starannie ogolony, nie to co Tim. Perspektywa drogi powrotnej w jego towarzystwie wydała jej się kusząca. Zapadał już zmrok, a w towarzystwie mężczyzny będzie czuła się bezpieczniej. Podziękowała i podała mu koszyk.

Przez chwilę szli w milczeniu. Pani Berek gorączkowo szukała jakiegoś interesującego tematu do rozmowy, żeby nie zrobić wrażenia nieuprzejmej, ale nic nie wpadało jej do głowy. Tak rzadko wychodziła z domu, że zapomniała sztuki konwersacji.

- Zadzomowiliście się już państwo w Erlenbachu? - podjęła nieśmiałą próbę.



- Jakbyśmy tu od lat mieszkali - odpowiedział natychmiast Hagen. - Piękne okolice, zdrowe powietrze, no i przemili sąsiedzi. - Szarmancko skłonił się w jej stronę.

Jaki to dobrze ułożony młodzieniec!, zachwyciła się w duchu pani Berek. Za czasów jej młodości dzieci układało się jak psy myśliwskie, co bardzo ułatwiało życie dorosłym. Ona sama musiała siedzieć przy stole z książką na głowie, żeby się nie garbiła. „Encyclopaedia Britannica”, pierwszy tom, pamięta do dziś. I do dziś trzyma się prosto jak trzcina. Dzieciom nie wolno było zabierać głosu bez pozwolenia i mówić z pełnymi ustami. Tim i jego niechlujni koledzy przerywali jej w pół słowa, mlaskali i dłubali w zębach, a przede wszystkim traktowali starszych, jakby byli upośledzeni umysłowo.

- Kołodziejówka to taki ładny dom - powiedziała rozradowana, że prowadzi rozmowę tak gładko, jakby to był dla niej chleb powszedni - a państwo ślicznie go odnowiliście. Zawsze podziwiam też państwa ogród. Pańska żona zainwestowała w niego mnóstwo pracy, ale teraz widać rezultaty. Za życia Hildy przypominał dżunglę.

- Tak, włożyła w niego wiele serca - odparł z namysłem Hagen. - Jest rzeczywiście piękny. Dzięki niej dom ma też wyjątkową atmosferę, ale...

-Ale?

- Ale obawiam się, że Agnes nie jest tu szczęśliwa.

Pani Berek poczuła się nieswojo, jakby spotkała ją przykrość. Pan Merz nie powinien mówić takich rzeczy, to nie było w porządku. Przekraczał pewne granice, których nie wolno było przekraczać. Na pytanie: „Jak ci się wiedzie?” nikt nie oczekiwał dokładnego sprawozdania o stanie woreczka żółciowego. Właściwa odpowiedź brzmiała: „Dziękuję, świetnie”.

Jako mała dziewczynka pani Berek spotkała w parku ekshibcjonistę, który rozchylił przed nią poły płaszcza i pokazał jej sino-czerwone coś, co wyrastało spomiędzy jego ud. Na pewno było przyklejone, bo w żaden sposób nie mogło być częścią jego ciała. Uciekła z wrzaskiem, ale przez wiele lat powracał w jej snach obraz mężczyzny, usiłującego nieporadnie upchnąć to coś z powrotem w spodniach i wyraz bez-

brzeżnego smutku w jego oczach. Za nic na świecie nie chciała jeszcze raz zobaczyć tego, co chciał jej pokazać, a jednocześnie było jej go żal.

Teraz też miała wrażenie, że pan Merz właśnie sięgnął do pól swojego płaszcza i zamierzał odsłonić przed nią jakieś szkaradzień-stwo.

- Dlaczego nie miałyby być szczęśliwa? - rzuciła lekkim tonem, modląc się, żeby zdążyli stanąć przed jej furtką, zanim znów jej każą patrzeć na coś, czego nie chce widzieć. - Przyznaję, że żyjemy trochę na uboczu i brak tu rozrywek, jakich dostarcza wielkie miasto, ale do Frankfurtu nie jest przecież daleko, a nasz teatr amatorski...

- Pani Berek, nie chodzi o rozrywki - przerwał jej Hagen. - Moja żona... przykro mi o tym mówić, ale moja żona znalazła sobie kogoś. Ma przyjaciela. To trwa już pół roku, może nawet dłużej. Pani Berek, pani nawet nie może sobie wyobrazić, co to dla mnie oznacza. Kocham Agnes, jest dla mnie wszystkim. Nie mogę jej stracić, nie przeżyłbym tego. Muszę wiedzieć, kto to jest. Muszę z nim porozmawiać, muszę ratować swoje małżeństwo, nie mogę dopuścić do tego, żeby mi ją odebrał. Pani Berek, błagam panią, niech mi pani pomoże! Mieszka pani naprzeciwko, na pewno coś pani zauważyła, musiała pani zauważyć. Kto to jest? Kto odwiedza Agnes, kiedy nie ma mnie w domu? Tim Schilling? Edwin? Odszedł od Vereny, może właśnie dlatego? A może taki ciemny, południowy typ, ten malarz, który był na naszym weselu?

Pani Berek była bliska omdlenia. Zatrzepotała rękami i tyłem jak rak zaczęła się cofać przed Hagenem. Jej podbródek trząsł się spazmatycznie jak podgardle indyka.

- Ja nic nie wiem, niczego nie widziałam! To okropne, okropne, okropne! Tak mi przykro, panie Merz. Boże, Boże, co za czasy! Południowiec, powiedział pan? Tacy są najgorsi, żadnej kobiecie nie przepuszczą.

Wyrwała koszyk z rąk Hagen, potykając się, pobiegła do furtki. Otwierając ją trzęsącymi się dłońmi, spojrzała ukradkiem przez ramię. Hagen stał przygarbiony jak złamany znak zapytania i patrzył za nią ze smutkiem. Jak tamten wtedy, w parku, przeleciało jej przez głowę, zanim dopadła drzwi domu.

Agnieszka usiłowała w kuchni lepić pierogi. Miała włosy oproszone mąką i palce sklezione ciastem. Mąka, jaja, sól, zagnieść, wyrobić, wykroić - nic prostszego. Jak babcia robiła pierogi, spod jej rąk wychodziły idealne półksiężycy, wydęte jak puchowe poduszeczki, oplecione równym warkoczykiem. Jej własne przypominały rozdeptane kapcie i pokryte były pryszczami, z których jak ropa wypływało nadzieje. Okropnie nieapetyczne.

- Myślałam, że to łatwiejsze - pożaliła się. - Babci przychodziły zupełnie bez trudu i wygląd też miały. Przyniosłeś wino?

Hagen nie odpowiedział. Stał do niej tyłem i patrzył przez okno na czerniejący las, rysujący się jak papierowa wycinanka na tle granatowego nieba. Na zachodzie błysnęła samotna iskra gwiazdy.

- Hagen?

- Agnieszko, pani Berek go widziała.

- Niby kogo?

- Twojego kochanka.

O Boże, znowu się zaczyna! Agnieszka opadła na krzesło i popatrzyła na niego z rozpaczą. Czy to się nigdy nie skończy?

- Hagen, czyś ty oszalał? Pani Berek nie mogła nikogo zobaczyć, bo nikogo nie ma. Nie ma, nie ma, nie ma i jeszcze raz nie ma!

- Nie krzycz, Agnes. Mówiła, że to południowiec. Gigi Amare-no, prawda? Ten śpiewający garkotłuk, artysta z bożej łaski - i ty

właśnie z takim? Widziałem, jak się kleił do ciebie na naszym weselu, ale sądziłem, że jesteś bardziej wybredna.

- Nie wiem, co ci ta stara wariatka powiedziała. Nie widziałam Gigiego od pół roku, nawet nie wiem, czy jeszcze pracuje u pani Baumkotter. Co się z tobą na miłość boską dzieje?

- Powiedziała, że mi ogromnie współczuje. Gdybyś ją widziała w tym momencie... ręce jej się trzęsły ze zdenerwowania. Musiało ją to kosztować dużo nerwów, przecież wiesz, że prawie nie rozmawia z ludźmi.

- Nie rozmawia, bo ma fioła. Całymi dniami czai się za firanką i obserwuje ulicę. Zbiera opisy morderstw, jak inni zbierają znaczki pocztowe.

- Miała dobre intencje. Chciała nam tylko pomóc.

-I pomogła wprost nadzwyczajnie. Zaraz jej podziękuję osobiście. Agnieszka chwyciła za telefon i wykręciła numer.

- Pani Berek? Dobry wieczór pani, tu Agnes Merz. Mąż opowiedział mi właśnie, że ucieliście sobie małą pogawędkę. Na mój temat. Czy mogłaby mi pani łaskawie wytłumaczyć, z jakiego źródła pochodzą nowiny, którymi podzieliła się pani z Hagenem? Podobno mam przyjaciela, a może dwóch? Albo trzech? Widziała pani podobno między nimi jakiegoś południowca?

Miła pani, nic pani nie wie i nikogo pani nie widziała, bo po prostu nikogo nie mam. Dlaczego więc wprowadza pani zamęt w nasze życie? A teraz bardzo proszę wyjaśnić z łaski swojej mojemu mężowi, że wszystko, co pani mu opowiedziała, jest wytworem pani bujnej wyobraźni. Byłoby mi bardzo miło, gdyby w przyszłości, zamiast szpiegować sąsiadów, znalazła sobie pani jakieś inne hobby, bardziej odpowiednie dla starszych pań. Szydełkowanie na przykład albo haft angielski.

Agnieszka włączyła głośnik telefonu i wcisnęła Hagenowi słuchawkę do ręki. Splotła tryumfalnym gestem ręce na piersi, nie zważając na skapujące z nich na podłogę ciasto. Teraz go ma, teraz przyparła go do muru, teraz będzie musiał w końcu zrozumieć, że wszystkie upiory powstają tylko w jego własnej głowie!

W przytulnej kuchni, nad stolnicą pełną pryszczatych pierogów, rozległ się jękliwy głos pani Berek.

- Panie Merz? Panie Merz? Ja nie chcę z tym mieć nic wspólnego! Co pan najlepszego zrobił? Jak pan mógł powtórzyć żonie, że ja go widziałam? Przecież on mnie teraz zabije! Panie Merz? Panie Merz? Jak pan mógł?

Nie zasłużył na nią. Dlatego odejdzie od niego, jak matka, jak Tilly, jak Karen - ale gdyby nie miała dokąd pójść? Przerastała go, była coraz silniejsza, im bardziej stawał się słaby. Wkrótce zauważy, jak niewiele może jej zaofiarować a może już zauważyła?

Rozpierała go miłość, był nią napełniony aż do bólu i wydawało mu się, że jeżeli nie znajdzie ujścia dla morza czułości, rozsadzi go na kawałki. Każde zbliżenie było dla niego dotknięciem wieczności - ale ona odwracała twarz. W oczach miała gwiazdy i smutek, i tęsknotę - za kim? Jak ją zatrzymać?

Wolał, kiedy brakowało jej słów. Patrzyła na niego bezradnie, szukając pomocy, a on brał ją w ramiona, całował i mówił, że jest jego kochanym małym głuptaskiem. To, co całuje, nazywa się *Mund*, a nie *Mond*, *Mond* to księżyc i jest na niebie. Dwa takie *Mondy* kładą się cieniem na jej policzkach, kiedy zamyka oczy. Poprawiał ją ze śmiechem, wciąż ją poprawiał, żeby nie wiedziała, ile już jest dookoła niej tych słów, że krążą nad jej głową jak stado ptaków i wystarczy, żeby wyciągnęła rękę, a schwyta to, którego szukała. Nie chciał, żeby wyciągała rękę.

Bał się jej samodzielności. Uparcie mówiła o pracy - po cóż jej praca? Nie mógł znieść myśli, że patrzyliby na nią inni mężczyźni, ich spojrzenia mogłyby ją zbrukać. Musiał ją chronić przed ich zachłannością, przed wszelkim brudem, przed nią samą.

Przede wszystkim przed nią samą.

Jesienią dolinę Erlenbachu wypełniła gęsta jak wata mgła i już jej nie opuściła, trzymały ją mocno gałęzie olch. Nic nie było pod nią widać, nie wiadomo było, co w jej wnętrzu jest, coś tam pod nią bulgotało, może strumyk, a może nie. Mgła połknęła

wszystkie inne dźwięki, ćwierkanie ptaków, parskanie koni i szczekanie psów. W Er-lenbachu świat zatrzymał oddech i czekał.

*Jesienią rozpoczął się Zjazd Solidarności. Może teraz się coś poprawi? - pisała matka. - Może nareszcie coś będzie w sklepach? Gdyby nie doktor Szczypiorski, umarłabym z głodu, wszędzie tylko puste półki. Wszystko wykupują handlarze. Wczoraj stałam dwie godziny po ćwierć kilo herbatników w czekoladzie, a jak je z tryumfem zano-słam do domu, przypomniało mi się, że nie znoszę herbatników. Człowiek zaczyna w piętę gonić, jak widzi kolejkę, to staje, bo a nuż coś rzucili.*

*Znowu mamy kartki, jak za Niemca, ale nic na nie nie ma. Umysłowy może sobie kupić dwa i pół kilo mięsa, 80 gramów dziennie, ciężarnej przysługują dodatkowo pa-pierosy i alkohol - gdzie w tym sens? Wujek Rysio, który ma pół hektara ugoru, został uznany za rolnika i nie dostaje nic. Za to wszyscy pędzą bimber. W naszej kamienicy aparatura solidarnie wędruje z piętra na piętro, śmierdzi cała klatka schodowa. Prze-pis jest prosty, pędzi się na bitwę pod Grunwaldem: 1000 gramów cukru, 400 gramów drożdży i 10 litrów wody -1410.*

*Ale nic się nie poprawiło. Wprost przeciwnie, strajki wybuchły z całą mocą. Jak właściwie ma być lepiej, skoro naród nie pracuje, tylko albo w kolejkach stoi, albo na ulicę wychodzi? - czytała Agnieszka w kolejnym liście matki. - Mówi się o strajku ge-neralnym - boję się o tym nawet pomyśleć. Nie będzie prądu, nie będzie węgla, nie bę-dzie chleba - co wtedy?*

Agnieszka pakowała paczki, wysyłała salami, czekoladę, szynkę w puszkach, ka-kao, kawę, herbatę, jednorazowe strzykawki, witaminy i lekarstwa. Pisała uspokajają-ce listy, zapewniając matkę, że u niej wszystko dobrze, pisała i płakała, bo nic nie było dobrze. Ale jakiej pomocy mogła oczekiwać z kraju, w którym nie było ani chleba, ani spokoju?

Jesienią Hagen zaczął ku oburzeniu nietoperzy przebudowywać ich sklepioną piwnicę. Agnieszka przyglądała się temu krytycznie.

- Są pod ochroną - zauważyła.

- Skarbie, tylko tę małą część. Mają dla siebie całą resztę, cały nietoperzowy pałac. Jak na nietoperze żyją w luksusowych warunkach. Nawet wybiję tę ściankę działową pianką, żeby miały absolutny spokój.

- Ale przecież nie mamy pieniędzy.

- Właśnie dlatego. Zrobię tu przytulny pokój z wnęką kuchenną i wynajmiemy jakiemuś miłemu studentowi. Najlepiej takiemu, który weekendy spędza u rodziny, żeby nam nie przeszkadzał. Będzie dodatkowy dochód.

- Kto ci wynajmie pokój w piwnicy?

- Nie w piwnicy, tylko w suterenie. Pół piętra wystaje z ziemi. Ściany już ocieplem, od wewnątrz wyłożę je boazerią, wstawię podwójne okna, będzie ciepło i przytulnie. Żadnego porównania z norą, w której mieszkałem na studiach.

Może i miał rację? Każdy grosz by się przydał. Agnieszka niezdecydowanie owijała warkocz na palec. Nogą rozgarniała rozrzucone na podłodze śrubki i gwoździe. Miałyby jakieś towarzystwo podczas nieobecności Hagen. Kiedy wyjeżdżał w interesach, czuła się ostatnio w tym pustym domu nieswojo. Najpierw odczuwała pewną ulgę, że go nie ma, ale potem nie mogła spać ze strachu. Nie bardzo wiedziała, czego się tak boi. Może tego, że znowu usłyszy płacz małego Oskara?

- No dobrze, ale obiecaj, że to będzie studentka, a nie student. Najlepiej z Polski. Chciałabym mieć kogoś do pogadania, jak ciebie nie będzie. Czasami wariuję tu z nudów. Dobry Boże, o czym mam rozmawiać z Christa Wallner? O proszkach do szorowania? Ale żadnego obcego chłopca w domu nie chcę.

Hagen roześmiał się głośno, odrzucił młotek i przytulił ją mocno do piersi.

- Ja też nie, kochanie. Ja też nie.

Po tygodniu mieszkanie było wykończone i Agnieszka nie mogła się doczekać, kiedy ktoś w nim zamieszka. Dopóki Hagen zajęty był przybijaniem boazerii, robił wrażenie zupełnie szczęśliwego. Pogodnie się z nią przekomarzał, pogwizdywał przy

pracy, zapraszał na kolację do „Złotej Lipki”. Gdy tylko odłożył wiertarkę, znów zaczął rzucać jej podejrzliwe spojrzenia, ciężko wzdychać i robić znaczące uwagi.

- Wolałbym, żebyś była w stosunku do mnie szczerą, Agnes. Wszystko zniosę, ale nie kłamstwa.

-Wolałabym, żebyś poszedł do psychiatry - odpowiadała z wściekłością. - Wyreperował sobie ten głupi łeb i dał mi wreszcie święty spokój.

W nocy opierała się na łokciu i przyglądała jego uśpionej twarzy. Hagen, jej mąż. Mężczyzna, który tak bardzo ją kochał, który ją pocieszył i uszczęśliwił, a teraz stawał się coraz bardziej jej obcy. Wzdragała się przed dotknięciem jego skóry, jakby miała dotknąć zimnego brzucha gada, i zaciskała zęby, kiedy płacząc ze szczęścia, wnikał w jej ciało. Przedtem uważała, że jego miłość jest darem Niebios, teraz coraz częściej myślała, że Bóg sobie z niej zakpił.

A jednak było jej go żal. Widziała przecież, że cierpi. Cierpienie było cierpieniem, z prawdziwych czy z urojonych powodów. To musiało być straszne, tak nikomu nie ufać, czuć się nagim wśród wilków, żyć w ciągłej rozterce, w rozdarciu między potrzebą miłości a obawą, że się ją utraci. Przeżył już tyle rozczarowań, czy można było mu się dziwić? Matka, Karen, Tilly... ale jaka właściwie była prawda o Tilly? Jak tylko mogła, starała się usunąć z pamięci słowa na poły obłąkanej staruszki, a jednak wciąż brzmiał w jej uszach cienki, drżący głos:

- Wypchnął ją. W jego duszy zamieszkały cienie tych, których utracił, i napawają go lękiem, a lęk jeszcze nigdy nie był dobrym doradcą.

- Co mam zrobić, Hagen, żeby ci pomóc? - pytała. - Jak mogę rozproszyc twoje obawy, uwolnić od lęku? Jak przywrócić ci spokój? Bóg mi świadkiem, że nikt już mnie nie odwiedza i ja też do nikogo nie chodzę, ale tobie wciąż to jeszcze nie wystarcza.

Prowadziła teraz dziennik, który zostawiała otwarty na stole w kuchni. *14:30 - idę do piekarni, wrócę za półgodziny. 15:10 - wróciłam dopiero teraz, była długa kolejka. 16:45 - wychodzę do apteki, nie mamy w domu aspiryny. 17:05 - już jestem z*



*powrotem*. Sądziła, że Hagen uspokoi się, jeżeli w każdej chwili będzie wiedział, gdzie jest. Co by mama na to powiedziała? Pewnie, że takiej totalnej kontroli nawet Orwell by nie wymyślił.

Hagena pomysł z dziennikiem bardzo uradował. Ucałował ją i ze łzami w oczach podziękował jej za wyrozumiałość. Przez następne dni sprawdzał z uwagą i uśmiechem pełnym ulgi jej zapiski, ale tydzień później wtargnął w nocy do jej sypialni, krzycząc, że znalazł w wiadrze na śmieci jej list. Podarty na drobne kawałki list do polskiego kochanka. Podarła, ale zapomniała go spalić. Właśnie posklejał strzępki i daje do tłumaczenia.

- A tłumacz sobie, tłumacz - powiedziała znużonym głosem. - List był do mamy. Napisałam jej, że mój mąż zwariował. Że wyszłam za mąż za szaleńca, który robi mi nocą przesłuchania jak w gestapo. Że już nie mam sił, żeby to wszystko znosić, i wracam do Polski. Podarłam go, bo pękłoby jej serce.

- Jeżeli wyjedziesz, znajdę cię. Wszędzie cię znajdę. Zabiję cię i zabiję siebie.

- Zabij.

Popatrzyła prosto w jego oszalałe oczy i ze zdumieniem stwierdziła, że już wcale nie są niebieskie, tylko żółte i prawie pozbawione źrenic. Jak u żmii, pomyślała i wstrząsnęła się.

Gdzieś w oddali zaskrzypiał głos babki Hagena:

- I wtedy ją wypchnął.

- Złe siedzi w olchach - oświadczył posepnie dziadek Wallner, drapiąc się z roz-targnieniem po jądrach. - Paskudne drzewo. Wytnę ci tę olchę za domem i posadzę na wiosnę brzoźkę.

- To nic nie pomoże, panie Wallner - powiedziała z rozpaczą Agnieszka. - Złe nie siedzi w olchach, tylko objęło w posiadanie Hagena.

Wiatr wstrząsał Kołodziejówką i rzucał o szyby fale deszczu. Pod jego naporem jęczały stare belki i dom trząsał się w posadach jak statek na wzburzonym morzu, który w każdej chwili może się zerwać z łańcucha ostatniej kotwicy i stać się pastwą żywio-łów.

W kuchni było przytulnie. W żeliwnym piecyku z fajerkami pomrukiwał przyjaźnie rozpalony przez dziadka Wallnera ogień. Agnieszka do tej pory nie opanowała tej sztuki i kiedy Hagen nie było, wyjmowała ze spizarki kuchenkę mikrofalową. Deski podłogi były wyszorowane do białości, z okapu pieca zwieszały się warkocze suszonych grzybów, na ławeczce pod makatką, dziękującą Bogu za matkę, spał kot - wszystko wyglądało tak, jak to sobie wymarzyła, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Kolodziejówkę. Nawet grubych fajansowych talerzy z granatowym szlaczkiem i lnianych obrusów w niebieską kratkę nie brakowało. A jednak nic nie było tak, jak miało być.

- O czym ty mówisz, kwiatuszku? - zaniepokoił się dziadek Wallner. - Daj mi jeszcze parę pierogów i polej skwarek. Ta idiotka Christa wpędzi mnie do grobu swoimi kotlecikami z kaszy i krokiecikami z marchewki. Ona mówi, że to dobre na zdrowie, ja mówię, że to dobre na sraczkę.

Dopominał się o już drugi talerz pierogów z mięsem - widać to było po śladach tłuszczu na brodzie i skwarkach na gorsie koszuli - ale nadal dopisywał mu apetyt. Agnieszka, po licznych nieudanych próbach, nauczyła się w końcu je robić, choć nigdy nie były tak smaczne jak u babci i nadal nie wychodził jej zawijany warkoczyk. Czowała się trochę upokorzona, że musi je kleić, naciskając brzegi widelcem, bo inaczej się nie udawało, ale żywiony przez Christę korzonkami dziadek Wallner i tak bardzo je sobie chwalił.

- Ciężko mi o tym mówić, panie Wallner. Widzi pan, Hagen miał okropne dzieciństwo. Musiał uciekać z Prus Wschodnich, ojciec był w NSDAP i po wojnie siedział w więzieniu, matka go porzuciła i wyjechała do Ameryki... wychowywała go babka, widział ją pan na naszym weselu. Jej umysł jest - jakby to powiedzieć? Zamroczony?

- Kuku na muniu - pomógł jej dziadek Wallner. - Interesująca kobitka, nie powiem, ale wariatka.

- Potem zginęła jego ukochana siostra, nie wiadomo, czy był to wypadek, czy samobójstwo. Opuściła go pierwsza żona. W pracy mu się nie wiodło. Jak go poznałam, pracował w urzędzie miejskim, ale tam były jakieś przekręty i się go pozbyli. Z

biura projektowego też musiał odejść. Teraz jest rozgoryczony, nikomu nie ufa i wydaje mu się, że wszyscy chcą mu zaszkodzić. Ja też.

- Ty, aniołku?

- Jest przekonany, że go zdradzam. Gdyby chociaż tak było! Gdyby miał jakiegokolwiek podstawy do podejrzeń, byłabym znacznie spokojniejsza. Hagen podejrzewa absolutnie każdego. Tima, Edwina, pana pewnie też.

- A to strasznie miło z jego strony. - Dziadek Wallner zakreślił się zadowolony na siedzeniu. - Czuję się zaszczycony. Nie kryję, że jeszcze niedawno byłem pies na kobiety. Pamiętam na przykład jak byłem w czterdziestym trzecim ranny i obie nogi miałem na wyciągu, to mi ten wyciąg w ogóle nie przeszkadzał, żeby...

- Panie Wallner, obawiam się, że mój mąż zwariował.

Dziadek Wallner znieruchomiał z policzkiem wypchanym pierogiem. Powoli wyjął go z ust razem ze sztuczną szczęką i położył na brzegu stołu.

- Hm... dlaczego nie? Mnie się często wydaje, że cały świat zwariował. Czasami nawet w przyjemny sposób. Niektóre rzeczy mi się podobają. Na przykład, że dzisiaj nie musisz za kobietę w restauracji płacić, sama za siebie zapłaci, za darmo wskoczy ci do łóżka i jeszcze koszulę na pożegnanie uprasuje. To jest prawdziwy postęp. Z tego punktu widzenia miałem trudną młodość. A na wariatach się znam, miałem już z nimi do czynienia, na wojnie. Ja dekowałem się, jak tylko mogłem, żeby nie zwariować, ale inni wariowali. Albo zamieniali się w zwierzęta. U wariata, proszę cię, najważniejsze jest wiedzieć, czy on z tych agresywnych, czy z łagodnych. Ten twój wygląda na łagodnego.

- Ja też tak zawsze sądziłam, ale jego babka twierdzi, że to on wypchnął Tilly z okna. Bo go odtrąciła. Przedtem byłam przekonana, że to majaczenia obłąkanej, ale teraz nie wiem, co mam o tym myśleć. A jeżeli to prawda? Hagen boi się, że od niego odejdę, wszystkie jego myśli tylko koło tego krążą. Zrobił się podejrzliwy, kontroluje każdą minutę mojego dnia. Ma obsesję na moim punkcie. Od tej obsesji może się uwolnić tylko wtedy, kiedy uwolni się ode mnie.

- Ajajajaj, podcina gałąź, na której siedzi - mruknął dziadek Wallner. - Głupi. Ale zdarza się to częściej, niż ci się wydaje. Próbowalas zaprowadzić go do jakiegoś lekarza od czubków?

- Do psychoterapeuty? Nawet słuchać o tym nie chce. Musiałby uwierzyć, że wszystko dzieje się tylko w jego wyobraźni, a nic nie jest dla niego bardziej realne. Co najwyżej byłby skłonny mi wybaczyć. Wątpliwości, czy ma coś do wybaczenia, nie ma żadnych. Panie Wallner, nie zniosę tego dłużej. Boję się. Chcę uciec, tylko nie wiem dokąd.

- To rzeczywiście paskudna historia, mój kwiatuszku - zasepił się dziadek Wallner. Pograżony w myślach sięgnął po zeszytniały na brzegu stołu pieróg, zjadł go i wsunął szczękę do kieszeni. - No cóż, zazwyczaj w takich sytuacjach pakuje się walizkę, dzwoni po taksówkę i jedzie do mamy. Przynajmniej na początek.

- Hagen nie daje mi teraz pieniędzy do ręki, zostawia mi tylko parę marek na gazety. U Dórze i Herthy otworzył mi rachunek, pozostałe zakupy robi sam. Czasami jedziemy razem do jakiegoś centrum handlowego. Nie mam ani grosza, panie Wallner. Nawet na taksówkę mi nie wystarczy, cóż dopiero na pociąg do Warszawy.

- Zadzwoń do ambasady.

- Moja ambasada przyjmuje swoich obywateli w garażu i żadnych pieniędzy im nie daje. Raczej stara się je od nich wyciągnąć. Jeszcze nigdy nie odniosłam wrażenia, że mogłabym od niej oczekiwać pomocy. Co mam zrobić, panie Wallner? Nie mam nikogo, do kogo mogłabym się zwrócić.

Staruszek milczał długo, kiwając się na stołku i pocierając szczecinę na podbródku. W końcu odchrząknął i powiedział z determinacją:

- Mylisz się, masz. Mnie. Gero Wallner jeszcze nigdy nie zawiódł kobiety w potrzebie. Pomogę ci, oczywiście. Daj mi tylko trochę czasu, żebym coś wymyślił.

W kącikach jego oczu zebrały się kłębuszki żółtawej ropy, z ust spłynęła niteczka śliny. Uniósł się odrobinę z krzesła, żeby puścić bąka. Przejęty oczekującą go misją nawet nie zauważył, że na przodzie jego spodni rozlewa się powoli ciemna plama.

Mój rycerz, mój Lancelot, mój wybawiciel, pomyślała ze smutkiem Agnieszka.

Następnego dnia dziadek Wallner od świtu obserwował Koło-dziejówkę, ukryty za firanką. Bawił się znakomicie. Jak za dawnych czasów, kiedy był zwiadowcą i stał na czatach. Cokolwiek by mówiło się o tej wojnie, był wtedy młody i nie bolały go nogi.

Gdy tylko samochód Hageny zniknął za zakrętem, podreptał pospiesznie do sąsiadki i zapukał do jej drzwi. Agnieszka otworzyła natychmiast. Była blada i miała podkrążone oczy, ale zdaniem dziadka Wallnera i tak wyglądała prześlicznie.

Dziewczyna jak rzepa, pomyślał tęsknie. I te słodkie cycuszki... ech, gdybyż to człowiek był chociaż ze czterdzieści lat młodszy!

Ale nie był. Był śmierdzącym staruchem, na poły trupem, ciało odmawiało mu posłuszeństwa, nawet pęcherza nie miał pod kontrolą i na mapie jego pamięci pojawiało się coraz więcej białych plam. Dawno by sobie umarł, bo uczciwie na to zasłużył, ale jego śmierć uradowałaby Christę, a jeżeli na coś naprawdę nie miał ochoty, to na sprawianie jej przyjemności.

Teraz otwierała się przed nim być może ostatnia na tym świecie możliwość przeżycia czegoś ciekawego, a przy okazji mógłby pomóc temu uroczemu stworzeniu o słodkich cycuszkach. Ta perspektywa z miejsca poprawiła mu trawienie i przypomniała czasy, kiedy jeszcze nie dokuczał mu reumatyzm, a kobiety miały inne zastosowanie dla jego przyrodzenia niż wpychanie go siłą do szpitalnej kaczki albo dawanie szczegółowych wytycznych, jak nim się posługiwać, żeby nie nalać na deskę.

- Mam pieniądze, kwiatuszku - wyszeptał, konspiracyjnie rozglądając się na boki.  
- Podjąłem w banku trzy tysiące marek, na początek musi ci to wystarczyć. Jedź do Frankfurtu, tam jest schronisko dla bab, które mężowie tłuką. A tłuką, bo taką kulturę

mają. Są takie miejsca na świecie, gdzie można żonę nawet po szyję w piachu zakopać, żeby cała wiocha mogła sobie walić kamieniami i mieć przyjemność. W Niemczech jest to, niestety, utrudnione, nad czym różne narody bardzo ubolewają, bo nie mogą kultywować swoich starych tradycji. Nie myśl jednak, że u nas nie ma obywateli, którzy lubią sobie pofolgować. Są i to w najlepszych sferach, bo jak taki chirurg albo bankier przez cały dzień stres straszny ma, to w domu też musi się trochę wyładować. Dlatego personel tego schroniska jest w wariatach i brutalach fachowo wyszkolony i będzie umiał ci pomóc. Tam ci doradzą, co dalej.

Agnieszka zarzuciła mu ręce na szyję i się rozplakała. Ostatnio zalewała się łzami z byle powodu, nie tylko wtedy, kiedy rozmyślała nad sensem życia i męczeńską Polską, ale również kiedy jej ciasto drożdżowe opadło.

- Jest pan dla mnie taki dobry, panie Wallner! Ale jak ja panu zwrócę te pieniądze?

-Nad tym zastanowimy się później. W najgorszym wypadku Christa się rozczaruję, że mniej po mnie zostało. Na razie żadnych pieniędzy ci nie dam, żeby Hagen ich nie znalazł, bo byś się z nich nie mogła wytłumaczyć i wtedy cały plan diabli wezmą. Leżą sobie bezpiecznie u mnie pod poduszką. Na kopercie napisałem „Godzina X”, dobre, co? Jak w filmach szpiegowskich.

Do Frankfurtu zawiezie cię mój kumpel Hannes, który jeszcze zupełnie dobrze się trzyma, tylko żołądek mu przed rokiem wycięli, ale akurat żołądek nie będzie mu do akcji potrzebny. Hannes, jak był młodszy, szmuglował przez granicę uciekinierów ze „strefy”, no wiesz, z enerdowa. Prawie za darmo, z czystego idealizmu, żeby z reżimem komunistycznym walczyć. Będziesz więc miała profesjonalną opiekę, bo Hannes zna się na takich numerach i nawet wciąż ma jeszcze tego samego opla kombi, którym wtedy jeździł. Wszystko dokładnie sobie przemyślałem, kwiatuszku. Na pewno się uda, zobaczysz. Teraz musimy tylko odczekać, żeby ten twój gdzieś w interesach wyjechał, najlepiej na parę dni. Jak nogi za próg przełoży, natychmiast zaczynamy operację „Godzina X”.

- Jak ja się panu odwdzięczę, kochany panie Wallner? Staruszek zamyślił się, a w jego zaropiałych oczach odmalowała

się tęsknota. Poklepał Agnieszkę po ręce.

-Wiesz jak, kwiatuszku? Jak ja już będę pod ziemią, to ty przyjdź kiedyś na mój grób i pokaż mi te swoje cycuszki. A ja sobie na nie z tamtej strony w spokoju ducha popatrzę.

Jak na złość w następnych dniach Hagen nigdzie się nie wybierał i nie odstępował Agnieszki na krok. Towarzyszył jej nawet do sklepu Dörte i Herthy. Kiedy dzwoniła do matki - przedsięwzięcie doprowadzające do rozpacz, bo łącza były stale zajęte - stał ukryty za drzwiami i usiłował wyłowić pojedyncze słowa, które mógł zrozumieć.

- Andrzej? Kim jest Andrzej? Dlaczego telefonujesz do jakiegoś Andrzeja?

- Nie do Andrzeja, do mamy. Andrzej jest jej przyjacielem, doktor Szczypiorski, przecież wiesz.

- Nie kłam! Nie rozmawiałaś z matką, wyraźnie słyszałem męski głos!

- Dziwne, że w ogóle coś słyszałeś, bo ja prawie nic. Połączenie było fatalne, nic nie mogłam zrozumieć. Widocznie cały sztab ubeków nadstawia uszu, jak mi mama opowiada o imieninach cioci Steni. Ciekawe, im mniej w tym kraju jest do żarcia, tym huczniej ludzie świętują. Jeden przynosi kaszankę od chłopca, drugi zapiekłowaną gołonkę, jeszcze inny bimber, co się komu udało zdobyć. Życie towarzyskie kwitnie. Może dlatego, że przynajmniej tych rozmów nie da się podsłuchać.

- A Albin? Dlaczego się śmiałaś, jak mówiłaś o Albinie?

- Albin Siwak, taki partyjny przymuś z Komitetu Centralnego. Wszyscy się z niego śmieją. Mama opowiedziała mi najnowszy dowcip o nim, oczywiście nie podając jego nazwiska. Posłuchaj: Towarzysze podjęli decyzję o zamknięciu jakiejś kurii kościelnej i zastanawiali się, którą wybrać. Albin Siwak zaproponował Kurię Skłodowską. Ach, ty i tak nie zrozumiesz, z czego tu się śmiać.

- Nie, nie rozumiem i w ogóle nie jest mi do śmiechu. Moja żona ma w Polsce jakiegoś faceta, z którym zabawia się za moimi plecami, nie widzę w tym nic wesołego.

- Och, Hägen, zdecyduj się chociaż, czyja tych kochanków mam tu, czy tam. Szalenie by mi to ułatwiło ewidencję.

Ratunek był jednak tuż-tuż, dwóch starszków-konspiratorów tylko czekało w blokach startowych na jej znak. Zaciskała więc zęby i starała się nie prowokować Hagen. Kiedyś w końcu wyjedzie. Będzie musiał spotkać się z inwestorem, zrobić inspekcję na budowie. Cierpliwości. Jakies tam zamówienia miał, choć marne. Niegodne jego talentu. Tu domek jednorodzinny, tam adaptacja dachu

- nic wielkiego. To dlatego że łapówkarze z Wydziału Architektury, pan von Stein i Jennifer, ta dziwka, zepsuli mu opinię w środowisku

- tak przynajmniej twierdził.

Agnieszka, zmęczona jego gwałtownymi tyradami na temat mafijnych struktur, podsłuchów i skorumpowanych urzędników, już w ogóle nie protestowała.

Po tygodniu zadzwonił Richard.

Richard pracował z Hagenem w biurze von Steina, kiedy Hägen był jeszcze pupilką szefa, jego kariera świetnie się zapowiadała, a „Life Arenas” miało napęlić im wszystkim żółb i zadziwić świat. Popsuł sobie stosunki z Jennifer, bo poradził jej, żeby zapięła biustonosz w momencie, kiedy miała akurat chęć na małe erotyczne co nieco. Niczym by nie ryzykował, bo von Stein przebywał w Nowym Jorku, a biuro było zupełnie puste, pomijając arabską sprzątaczkę, która warczała froterką piętro niżej i była tak zakutana czadorem, że nic na oczy nie widziała. Nic dziwnego, że Jennifer poczuła się okropnie urażona. Kipiąc chęcią zemsty, natychmiast odebrała mu projekt, nad którym pracował. Dostał go Ondřej, utalentowany Czech, którego największą zaletą było to, że pracował na czarno.

Onio przebywał w Niemczech od Praskiej Wiosny i od 1968 roku ukrywał się w pracowni von Steina, bo jego genialny umysł nie był w stanie pojąć, czy jest nielegalnym emigrantem, czy też przysługuje mu status uchodźcy politycznego. Po doświad-



czyniach z czeskimi władzami Onio nigdy w życiu nie zapytałby o to wprost w żadnym urzędzie, a von Stein nie był zainteresowany wyjaśnianiem jego sytuacji prawnej, bo płacił mu tylko połowę.

Oniowi tak obrzydzono w dzieciństwie hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”, że pojęcie solidarności wewnątrzzakładowej było mu zupełnie obce. Wziął projekt Richarda bez oporów, co z kolei bardzo Richarda uraziło. Powiedział Oniowi, że jest świnią, a Jennifer, że może go całować gdzieś i poszedł sobie. Wszystko to czyniło go w oczach Hageny niezwykle sympatycznym.

W rzeczywistości Richard mógł sobie pozwolić na odtrącenie piersi Jennifer tylko dlatego, że akurat mu umarł dziadek-krwiopijca. Dziadek-krwiopijca dorobił się na wyzysku klasy robotniczej zupełnie interesującego majątku w czasach, kiedy jeszcze istniała klasa robotnicza i opłacało się ją wyzyskiwać. Żeby mieć przy tym więcej przyjemności, wybudował sobie architektonicznie ambitną willę z przeszkloną kopułą nad hallem, pokojem muzycznym i belwederem na dachu, gdzie siadywał po śniadaniu, żeby sobie popatrzeć na koła wyciągowe kopalni, w której pracowali wyzyskiwani. Wtedy koła jeszcze się obracały.

Jakiegokolwiek nadzieje pokładał dziadek-krwiopijca w swoich dzieciach, ojciec Richarda ich nie spełnił. Za karę i żeby skłócić wszystkich pozostałych spadkobierców, dziadek zapisał lwią część majątku Richardowi, którego uważał za pełnego wdzięku drania. Plan ten powiódł się na całej linii i po jego śmierci członkowie rodziny porozumiewali się ze sobą wyłącznie przez prawników.

Richard zagarnął, co się od razu dało zagarnąć, resztę zostawił na głowie adwokatów i otworzył we Frankfurcie własne biuro projektowe w stylowej, dziewiętnastowiecznej willi z widokiem na Men. Rozkręcanie firmy rozpoczął z rozmachem, odbijając von Steinowi co lepszych klientów. Umiejętność cieszenia się z cudzego nieszczęścia miał po dziadku, dlatego tak się lubili.

Interesy szły tak dobrze, że wkrótce nie mógł opędzić się od zamówień. Okazało się, że studenci i trzymani w piwnicy docenci z wrocławskiego Wydziału Architektury nie wyrabiają się z robotą. Pomyślał więc o Hagenie.

Hägen miał lekkiego świra, ale był genialny, co zresztą często idzie w parze. Projektował z pazurem i potrafił nawet zmienić robotników na budowie w prawdziwych artystów. Richard miał dla niego akurat idealny projekt, luksusowy hotel dla bogatych Japończyków. W starej, secesyjnej kamienicy, oczywiście; Japończycy bardzo szanowali tradycję. I kochali Niemcy.

Japończycy jeszcze w czasie wojny odkryli, że mają z Niemcami wiele wspólnego, szczególnie cnoty. Oni też cenili sobie wierność, lojalność i oddanie wodzowi - jakikolwiek by był. Wzruszały ich do łez idylliczne krajobrazy, baśniowe domeczki z pruskiego muru, krasnoludki i kwiatki, bo żaden samuraj nie wstydzi się płakać nad pięknym kwiatu wiśni. Nawet powinien.

Przylatując do Europy, Japończycy mieli z reguły bardzo napięte programy: dziesięć stolic w dziesięć dni albo dziesięć transakcji w dziesięć dni. Nie mieli czasu na szok kulturowy i przyzwyczajanie się do obcych obyczajów. Dlatego inwestor Richarda, pan Yoshimo-to, wpadł na pomysł stworzenia dla swoich rodaków we Frankfurcie oazy japońskiej przytulności, z matami *tatami*, *ofuro*<sup>\*32</sup>, *kakemono*<sup>\*33</sup> *feng shui* i zupą ryżową na śniadanie. Pan Yoshimoto był pedantem i nie istniały drobiazgi, których nie traktowałby poważnie, i bardzo dobrze się składało, bo Hägen też był pedantem. Z pewnością zbuduje panu Yoshimoto hotel bardziej japoński od tych w Japonii.

Na tę propozycję Hägen oszalał z radości. Nareszcie przełamał złą passę! Objął Agnieszkę w pasie i odtańczył z nią dziki taniec, śpiewając na melodię *Que sera, sera*:

*Będą futra, samochody, będziesz mieć szampana,  
będziesz tańczyć, będziesz śpiewać, moja ukochana!  
Weekend w Jorku, zima w Alpach, latem na Seszele,*

---

<sup>32</sup> ceremonialna kąpiel

<sup>33</sup> obraz na rolce jedwabiu

*Będzie dobrze, znowu dobrze, będzie szczęścia wiele!*

- Kiedy ja nie lubię szampana, Hagen. Futer i biżuterii też nie chcę, gdzie miałabym je nosić: w ogródku? Ale te Seszele mogą być, zawsze ich byłam ciekawa. W takim razie jedź jak najszybciej do Richarda, załap się na ten projekt. Na pewno zrobisz go doskonale.

Machała mu, kiedy wyjeżdżał za bramę, głośno trąbiąc, ku ogromnemu zgorzeniu pani Wallner. Agnieszka patrzyła za ginącym za rogiem ulicy samochodem i czuła wielki smutek. Wychodząc za Hagen, była pewna, że z nim życie dopiero się zacznie, lepsze, szczęśliwsze, spokojniejsze. Przez długi czas dziękowała Bogu za męża tak bardzo w niej zakochanego i tak czulego, męża, którego zazdrościły jej wszystkie przyjaciółki. Tyle było tych dobrych chwil, które spędzili razem! Ich wspólne podróże, Rzym, Neapol, Wenecja, Paryż, Barcelona, Toledo... Hagen odkrył przed nią świat, pokazał jej tyle piękna, które do tej pory знаła tylko z pocztówek. A jak się cieszyła, kiedy w Kołodziejówce po raz pierwszy rozpalili ogień w kaflowym piecu! Opiekali nad nim wafle i czekoladę - nie miała pojęcia, że można opiekąć czekoladę. Bardzo to było smaczne. Tyle radości dał jej ich wspólny dom: krokusy kwitnące wiosną pod płótem, całe fioletowe dywany krokusów, snopy kwiatów w wazonach, pachnące zioła w warzywniku, słowik kłaskający w maju w krzakach jaśminu.

Dlaczego nikt jej nie uprzedził, że któregoś dnia będzie musiała wygasić ogień i zamknąć za sobą drzwi?

Nawet nie czuła bólu. Wszystko się w niej wypaliło. Wróciła do domu, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do dziadka Wallnera.

W nocy nie zmrużyła oka. Wstała przed świtem, od szóstej rano była ubrana, zasznurowała nawet botki i owinęła szyję szalikiem. Czekwała na dziadka Wallnera w kuchni, siedząc na ławeczce pod wyszywaną makatką, z rękami beczynnymi splecionymi na kolanach. Spakowana walizka stała pod drzwiami. Miał przyjść po nią o ósmej.

Dlaczego? Tak bardzo chciała wiedzieć: dlaczego? Przeznaczenie, przypadek, jej własny wybór? Sama chciała, sama wybrała, sama przypieczętowała swój los? Kiedy? Czy wtedy, gdy uśmiechnęła się do Hageny w piwiarni pani Baumkotter i zapytała: *Vous êtes français, monsieur?* Wtedy, kiedy poszła z nim na festyn? A może w chwili, w której powiedziała: „Odczep się, Gigi, nic ci do tego”? Wcześniej? Wsiadając do volkswagena Gerarda? Jeszcze wcześniej?

Los dawał jej szansę. Za każdym razem mogła powiedzieć „nie” i nie byłaby w tej chwili tak rozpaczliwie nieszczęśliwa. Nie powiedziała.

Mogła przecież wyjść za mąż za Artura. Urodziłyby mu trójkę małych anarchistów, którzy spiskowaliby już w przedszkolu. Razem z nimi nosiłaby Arturowi paczki do więzienia, bo oczywiście by siedział. Robiłaby na drutach swetry z sierści pudła jego matki, nauczyłyby się peklować szynkę, hodowałyby w łazience kurczaki i żyłoby się jej zupełnie dobrze. W koszmarze, ale nie własnym, samotnym, tylko wspólnym, kolektywnym. To zawsze różniej.

Pan Bóg ją ukarał, bo była zbyt harda. Rzuciła miejsce, które dla niej przeznaczył. Pokazał jej, że może trafić w znacznie gorsze, i udekorował je dla śmiechu talerzami z granatowym szlaczkiem, kuchenką z fajerkami i kotem. Gadżetami z bajki o Czerwonym Kapturku, który poszedł do łóżka z wilkiem. Kot. Czy dziadek Wallner nie zapomni zająć się kotem? Czasami bywał taki roztrzepany.

Pan Bóg ukarał ją za ojca i za to, że się na Niego obraziła po śmierci babci i przestała chodzić do kościoła. Zacznie, jak tylko się stąd wydostanie. Byleby się wydostała.

Godziny mijały. Ósma, dziewiąta, dziesiąta. Agnieszka zrobiła się niespokojna, podbiegała do okna, za każdym razem gdy ulicą przejeżdżał samochód. Hannes, ten drugi bohaterски stary piernik - wybacz mi, Panie, chciałam powiedzieć: dzielny staruszek - doświadczony w szmuglowaniu uciekinierów, zażądał, żeby przekradła się z dziadkiem Wallnerem na parking za pocztą, w celu zatarcia śladów. Pojazd służący do ucieczki nie powinien stać pod jej domem, tak powiedział. Chciał też, żeby weszła do

bagażnika, ale dziadek Wallner uznał to za przesadę: wystarczy, jeżeli Hannes postara się o fałszywe numery. Na to z kolei Hannes się nie zgodził. Zasłonił się szyby folią i tyle, postanowił.

Może staruszkowie zmienili plany? Tak szampańsko bawiła ich konspiracja, że wprowadzili nowe elementy do akcji? Napad na bank na przykład albo wzięcie jednego w Erlenbachu policjanta do niewoli? Gdzie oni się, na miłość boską, podziwiają? Co się z nimi stało?

W południe Agnieszka była bliska omdlenia z przerażenia i głodu. Jeszcze nic do tej pory nie zjadła. Zerwała z szyi szalik, roz-sznurowała botki, bo spuchły jej kostki, i pochlipując, ugotowała sobie jajko. Zadzwoiła do dziadka Wallnera - nikt nie podniósł słuchawki. Hagen mógł wrócić w każdej chwili.

Umyła kieliszek po jajku, omotała głowę szalikiem i zapukała do drzwi Wallnerów. Otworzyła jej Christa. Wyjątkowo miała na sobie nie roboczy kitel, tylko elegancki kostiumik z czarnej wełenki i kolczyki z perełkami w uszach. Promieniała.

- Tatuś? - powiedziała. - Była pani umówiona z tatusiem? Tatuś zmarł tej nocy, niestety. Jesteśmy niepokieszeni, to wielki szok dla nas wszystkich. Biedaczek był w ostatnich latach, co prawda, bardzo trudny - Bóg jeden wie, ile przez niego wycierpiałam - ale nie jestem pamiętliwa i już mu wybaczyłam. Od paru dni jakby szykował się na przyjęcie Pana, taki był radosny, pełen energii, już dawno tak dobrze nie wyglądał. W łazience sobie podśpiewywał jak ptaszek i nawet tak jakby schludniejszy się zrobił. Wodą kolońską się psikał, a wczoraj do mnie powiedział: „Christo, na jutro chciałbym mieć świeżą koszulę i czystą bieliznę” - sam z siebie! Zupełnie jakby przeczuł, że koniec się zbliża, bo przecież normalnie doprosić się go nie mogłam, żeby zmienił gatki. Ale w obliczu wieczności każdego ogarnia powaga i nawet tatuś nie chciał stanąć przed obliczem Pana w brudnej bieliźnie. Teraz już pewnie przed nim stoi - na szczęście czysty, Panie świeć nad jego duszą. Chce go pani może zobaczyć, zanim go zabiorą? Pięknie wygląda, tyle w nim godności, zupełnie inaczej niż za życia.

Agnieszka skinęła głową, niezdolna wykrztusić ani słowa. Co miała powiedzieć? Los znowu sobie z niej zakpił i zabrał jedyne go życzliwego jej człowieka. Biedny pan Wallner. Biedna ona sama.

Dziadek Wallner leżał kompletnie ubrany na łóżku. Miał na sobie wykrochmaloną białą koszulę, czarny garnitur i wypastowane na glanc buty. Był dokładnie wygolony, policzki miał zaróżowione, a w kącikach ust czał się figlarny uśmiech. W złożone ręce Christa wsunęła modlitewnik.

- Zupełnie jakby spał, prawda? - wyszeptała. - I tak uroczyście się ubrał, jakby wybierał się w podróż. Zauważyła pani, jaką ma wypogodzoną twarz, pani Merz? Jakby się na tę podróż cieszył. Piękną miał śmierć, tylko pozazdrościć.

Wybierał się w podróż, pomyślała ze smutkiem Agnieszka. Ale nie w tę. Przytuliła wargi do zimnego policzka, żegnając się z jedynym przyjacielem, jakiego w tym kraju miała. No i z szansami ucieczki.

Odwróciła się, żeby wyjść, ale Christa zastąpiła jej drogę.

- Przyjdzie pani na pogrzeb, pani Merz? Tatuś na pewno by się ucieszył, tak bardzo panią lubił. Jak własną wnuczkę. Mnie tam nigdy nie poświęcał cienia uwagi, chociaż to ja o niego dbałam i powiem pani uczciwie, lepiej niż rodzona córka. Ale taki już był, samolubny jak każdy stary. Dlatego do łez się wzruszyłam, jak się po jego śmierci okazało, że jednak nie do końca myślał tylko o sobie. Niech sobie pani wyobrazi, że chciał nam zaoszczędzić wydatków i kłopotów, odłożył na swój pogrzeb i trzymał te pieniądze pod poduszką. Akurat trzy tysiące, dokładnie tyle nam dziś wyliczy! pan Karhof z „Wiecznego Odpoczynania”. No, jakby z organami i chórem, to byłoby drożej, ale tatuś był kompletnie niemuzykalny, to chyba by mu nie zależało, jak pani myśli? Mówię pani, rozplakałam się ze wzruszenia, jak tę kopertę znalazłam. I tak ładnie na niej napisał: „Godzina X”, jakby się spodziewał, że już lada dzień ta godzina mu wybije. Kto by pomyślał: a jednak miewał ludzkie odruchy, choć czasami tak trudno było w to uwierzyć!

- O tak - przyznała jej rację Agnieszka. - Nie znam nikogo, kto miałby tak wielkie serce jak pan Wallner. Będzie mi go bardzo, bardzo brakowało. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak ja sobie bez niego dam radę.

W domu czekał już na nią Hagen. Podniósł jej walizkę oskarżycielskim gestem, tęczywki miał prawie białe z wściekłości.

- Czy mógłbym wiedzieć, w jaką to podróż wybierasz się, Agnes?

WALLNER

Miasteczko nazywało się Corricella, od greckiego *Kora cale*, piękna okolica. Rzeczywiście było tu pięknie: spiętrzony u stóp kościoła Santa Maria delie Grazie labirynt pastelowych domków, tarasów, podcieni i wygiętych jak żyrafie szyje zewnętrznych schodów. Wyglądało na to, że mieszkańcy Corricelli przepadają za różem i wszelkimi odcieniami złota, ale tu i ówdzie trafiała się też plamka pompejańskiej czerwieni albo pacnięcie błękitu cieszące oko malarza.

Kiedy produkowane masowo dla turystów obrazki przedstawiające Castella Aragonese i rybaków z fajkami w zębach wychodziły już Gigiemu bokiem, chętnie przeprowiał się na Procidę, żeby poważnie popracować. Przede wszystkim było tu pusto, nie tak jak na Capri, gdzie statki wypluwały co parę minut zwarty tłum turystów. Jak człowiek chciał się na Piazzetcie podrapać po głowie, musiał wpakować sąsiadowi łokieć w oko. Do portu w Corricelli nie zawijały promy, nie dało się tu dojechać samochodem, można było tylko dojść z Terra Murata po schodkach. Nawet miejscowi, którzy niestrudzenie gnali z rykiem motorów w górę i w dół po jedynej drodze, jaką mieli na wyspie do dyspozycji, nie wpadli jeszcze na pomysł, jak po tych schodkach pruć na skuterze, więc w Corricelli panowała niebiańska cisza. Było to z całą pewnością najcichsze miejsce na całym Morzu Tyrreńskim.

Poza tym w Corricelli podawano doskonale *limone al platto*, przyprawioną miętą zupę z cytryn i czosnku, za którą Gigi przepadał. Ta w „Trattorii da Carina” była najlepsza.

- *Signora Carina!* - zawołał w stronę kuchni, wycierając z zadowoleniem usta serwetką. - Gratulacje! Robi pani najlepsze *limone*, jakie kiedykolwiek jadłem, a proszę mi wierzyć, coś wiem o gotowaniu. Czasami wydaje mi się nawet, że jestem lep-



szym kucharzem niż malarzem, chociaż z całą skromnością muszę zapewnić, że od czasów Boticellego nie ma takiego, który mógłby stanowić dla mnie konkurencję.

Z kuchni wyszła wysoka kobieta, wycierając ręce w fartuch.

- Dziękuję. Miło mieć gościa, który docenia mój talent. Tych skromnych cenię sobie szczególnie. Co z Modiglianin?

Gigi oszacował ją szybko fachowym okiem, jak dżokej wyścigową klacz: ładna, cienka w pęcinie, nerwowa, ale solidnie zbudowana. Naturalna, jak świeżo wyciągnięta z wody ryba. Ani cienia makijażu, jasne włosy proste jak drut, perkalowa szmatka z Bali, bose stopy w sandałkach, sznurki tandetnych paciorków na szyi. Coś mu to przypominało, ale jeszcze nie wiedział, co.

- Modigliani jest przereklamowany - zapewnił ją. - Niech mnie pani odwiedzi w mojej pracowni w Ponte, sama się pani przekona. Pokażę pani, co potrafię. Proszę pytać o Gigiego, Gigiego Amare-no, Via Mazella, wszyscy mnie tam znają. Pozwoli pani zaprosić się na kieliszek grappy?

Roześmiała się i od razu spodobała mu się jeszcze bardziej. Z uśmiechem jej twarz straciła swoją surowość, rysy się wygładziły, a w policzkach ukazały się dołeczki. Takie jak u Agnes. Ale Agnes była idiotką i nie potrafiła docenić prawdziwej sztuki. Pal ją sześć.

- Na koszt domu. Ja tu jestem *padrona di casa*. Ja zapraszam.

Teraz już wiedział: Niemka. Tylko Niemki płaciły zawsze za siebie, nosiły obuwie na płaskim obcasie, włosy prosto z wody i kiecki z Trzeciego Świata. Jako polityczne credo. Uważały, że w ten sposób solidaryzują się z jakimś uciemionym narodem. Rebekka nawet kawę piła tylko z Nikaragui.

- *Grazie, signora*. Carina to nietypowe imię dla Niemki, prawda? - Gigi był dumny ze swoich umiejętności dedukcyjnych.

Kobieta ponownie pokazała dołeczki w uśmiechu. Postawiła na stole dwa oszronione kieliszki grappy i opadła na krzesło.

- Brawo. Nie tylko skromny, ale i spostrzegawczy. Jak pan zgadł?

- Oko malarza - powiedział tajemniczo Gigi. - Widzi więcej. No i bywam często w Niemczech, w interesach. Mam swojego mar-szanda we Frankfurcie. Wystawy, wernisaże, aukcje - takie rzeczy. Można zapytać, jak pani naprawdę ma na imię?

- Karen. Karen Merz. Brzmi bardziej prozaicznie niż Carina, prawda? Carina podobna mi się bardziej.

- Karen Merz... - powtórzył wolno Gigi. - Znałem w Niemczech jednego Merza.

- Merzów jest jak kropli w morzu. Prawie tyłu co Schmidtów.

- Ale ten imię miał rzadkie. Takie z Wagnera: Hagen. Hagen Merz. Chudy jak dobrze uwędzony sztokfisz.

Dołeczki znikły. Kobieta zeszywniała i jej twarz zamknęła się jak szczelnie zatrzaśnięta ostryga. Gigi obserwował ją z zainteresowaniem.

- Ciekawe. A jak go pan poznał?

- W piwiarni. W takiej małej dziurze w Odenwaldzie, Ober-Ramstadt. Piwiarnia nazywała się „Ogródek Monachijski”. One wszystkie nazywają się „Ogródek Monachijski”, ewentualnie „Bawarski”. Pracowałem tam... to znaczy, miałem wernisaż. Nie zawsze może być Schirn\*<sup>34</sup>, czasami trzeba brać, co dają. Ten Merz przychodził tam na piwo. Przynajmniej na początku, potem przychodził do dziewczyny. To pani krewny, *signora Carina!*

- Mój mąż.

Gigi gapił się na nią z otwartymi ustami, a naprawdę rzadko tracił kontenans i bardzo tego nie lubił. Twierdził, że to artysta jest od zaskakiwania, a nie odwrotnie, i właśnie tym się różni od reszty ludzkości. Siedział sobie w trattorii na końcu świata, gdzie nawet samochodem nie dało się dojechać, zjadł najlepsze w swoim życiu *limone al piatto*, wypił kieliszek grappy z tą podobną do Rebekki wielbicielką fatalaszków z Bali, bardzo miło sobie z nią flirtował i jedyną niespodzianką, na jaką miał w tej chwili ochotę, było zaciągnięcie jej do łóżka. Ze złością stwierdził, że żołądek mu się bo-

---

<sup>34</sup> sala wystawowa we Frankfurcie

leśnie skreślił. Był bardzo wrażliwym artystą i nieprzyjemne wiadomości z miejsca rujnowały jego trawienie.

- *Scusi, signora*, to chyba jakieś nieporozumienie. Ten mój Hagen jest już żonaty. Z tą dziewczyną, do której przychodził. Wstyd powiedzieć, ale to była właściwie moja dziewczyna. Pojęcia nie mam, jaki diabeł ją opętał, ale kobiety są czasami nieobliczalne. *La donna e mobile*, niestety.

Z doświadczenia Gigi wiedział, że kobiety są urodzonymi samarytankami i dobrze jest trochę się nad sobą uzalić: pocieszą z pewnością.

- To mój były mąż, *signor* Gigi. Uciekłam od niego. Szczerze mówiąc, to najlepsze, co pana znajoma może zrobić: też uciec.

Gigi skrzywił się, jakby go zabolął ząb. Ach, te Niemki. Pozornie równe z nich babki, ale w środku okropnie melodramatyczne.

- Ach, zaraz uciekać. Przed takim chuchrem? Prawdziwy mężczyzna zgniótłby go jak muchę. Ale chociaż z przyjemnością skreśliłbym mu kark, to muszę obiektywnie przyznać, że przed Agnes leży plackiem. Wpatrzony jest w nią jak w obrazek i tylko mu ślina kapie z pyska. Obiektywność jest obowiązkiem artysty, nawet jeżeli czasami ciężko przychodzi. Kocha ją jak wariat.

- Bo jest wariatem.

Gigi wzruszył ramionami. Jeszcze nie spotkał kobiety, która by dobrze mówiła o byłym mężu czy kochanku. Podobały się sobie w roli ofiar. Miały naturę modliszek: wysysały to, co najlepsze z człowieka, jakby był ogonem langusty, a potem odrzucały jak pusty pancerz i jeszcze psy na nim wieszały. On wszystkie swoje kochanki zachowywał we wdzięcznej pamięci i życzył im jak najlepiej. Nawet Agnes, chociaż puściła go kantem, czego bardzo nie lubił, bo od puszczenia kantem to był on sam.

- No cóż, *signora Carina*, w miłości każdy z nas jest trochę wariatem. Trochę pająkiem i trochę muchą. Jednemu sprawia przyjemność polowanie, a drugiemu, jak się da złapać. Ale nie mój pająk i nie moja mucha, więc nic mnie to nie obchodzi.

A jednak obchodziło.

Następnego dnia poczuł przypływ twórczego szału i namalował jeden ze swoich najbardziej niepokojących obrazów, który zatytułował „Mane, tekel, fares”. Na pierwszy rzut oka widoczna była na nim tylko kompozycja bloków światła i cienia oplataną rozszalałą pajęczyną kresek. Po dłuższym wpatrywaniu się można było rozpoznać pod tą pajęczyną wyprężone spazmatycznie kobiece ciało.

- Wielkie! Jak na to patrzę, przechodzą mnie dreszcze - powiedział z zachwytem Gabriele Mattera. - Gwałtowne jak belki płonącego domu. Obsesyjne i dramatyczne, boja wiem, co mi to przypomina? Może obrazy Muncha? W każdym razie jest to najlepszy obraz, jaki kiedykolwiek namalowałeś. Przynieś go do mnie na Ca-stello, wystawimy.

- Jest lepszy od Muncha - poprawił go skromnie Gigi. Po paru dniach przyszedł mu znowu apetyt na *limone*.

Nie od razu udało mu się wszystko z Karen wyciągnąć. Wprost przeciwnie, nabrała wody w usta, milczała jak ryba. Zamknęła się jak tajemnicza szklana kula, do której wnętrza nie można wnikać, zimna i gładka. Może żałowała uprzedniego przypływu szczerości? Zachowywała się tak, jakby tamtej rozmowy nigdy nie było.

Gigi czekał cierpliwie. Artysta musi umieć cierpliwie czekać, aż wybije jego godzina. Nie spieszyło mu się, nawet lubił kobiety, którym trzeba było poświęcić trochę czasu. Wymagały co prawda więcej zachodu, ale później wykazywały się inwencją i zapałem. Taka już jest natura kobieca.

Doświadczenie mówiło mu także, że kobieta dopieszczona staje się wylewna. Nie miał nic przeciwko temu, żeby przeszli powoli do działania, a potem sobie trochę pogawędzili. Tylko matoł odwraca się na drugi bok i chrapie, a Gigi nie był matołem, tylko uduchowionym artystą. Uszczęśliwianie kobiet sprawiało mu prawie taką samą przyjemność jak proces twórczy.

I się nie mylił. Kiedy się już nieco lepiej poznali, Karen nie zawiodła jego najśmielszych oczekiwań: była utalentowana z natury. W miłosnym szale podarli przecieradło i zdemolowali łóżko - na szczęście jej łóżko. Gigi był tylko biednym malarzem i nie stać by go było na drugie. Jego uznanie i podziw dla Karen nie znały granic.

Oparł się na łokciu i z satysfakcją przyjrzał się jej wycalowanemu, wyssanemu i wygniecionemu ciału: *Madonna*, on też odwalił kawał naprawdę dobrej roboty!

- *Carissima* - powiedział - wytłumacz mi, co mogła tak piękna i wrażliwa kobieta jak ty widzieć w jakimś Hagenie Merzu? Co w ogóle można w nim zobaczyć?

Karen usiadła na łóżku i sięgnęła po nadziewaną papryczką oliwkę. Po miłosnych zapasach odczuwała wilczy głód, co Gigiemu wydawało się ogromnie sympatyczne. Niemki były pod wieloma względami cudownie pragmatyczne. Żadnych zaklęć, żadnych westchnień. Nie zalewały się z byle powodu łzami, nie pytały, czyje kocha i kiedy się z nimi ożeni, nie umierały ze strachu, że zajdą w ciążę, i nie leciały prosto z łóżka do spowiedzi. Zamiast wyrzutów sumienia miały po wszystkim ochotę na krwisty befszytk. Niestety, niektóre z tym pragmatyzmem przesadzały i najchętniej dołączałyby do siebie instrukcję obsługi: tu przycisnąć, tam polizać, gdzie indziej połaskotać. Tego z kolei Gigi nie lubił, bo uważał się za eksperta i nie potrzebował żadnych korepetycji.

- Dokładnie to samo, co z czasem stało się nie do zniesienia: jego bezgraniczną miłość. Zachwyty, z jakim na mnie patrzył, podziw i oddanie. Całował ziemię, po której chodziłam.

- Hm, ja też to robię. - Gigi polizał wielki palec Karen. - Nie ma w tym nic zdrożnego. Co jeszcze?

- Był taki inny. Różnił się od wszystkich mężczyzn, jakich do tej pory znałam. Taki delikatny. W tamtych czasach większość moich znajomych zajęta była robieniem rewolucji. Buntem przeciwko państwu, przeciwko normom moralnym. Dokładnie nikt nie wiedział, jak ma być, ale jasne było, że inaczej. W dobrym stylu było nie mieć nic, a przynajmniej tak wyglądać, jakby się nie miało. Długie włosy, pazury, broda. Postępowa była folgowanie naturalnym instynktom, seks miał być szczery i nieskrępowany, najlepiej na oczach wszystkich. Za szczyt romantyzmu uchodziło stwierdzenie: „Przebież wiem, że masz ochotę pójść ze mną do łóżka”. Zdradzało się rewolucję, jeżeli nie spało się z każdym, kto miał na to ochotę.

- *Porco diavolo*, co za barbarzyństwo! U nas na Ischii czegoś takiego nigdy nie było.

- Nie wątpię, życie trochę na uboczu. Mieszkałam wtedy w takiej komunie, gdzie jedni chodzili w hinduskich tunikach, tłukli w bębny i wręczali kwiaty policjantom, prosząc ich, żeby zamiast wojny krzewili miłość, a inni walili w tych samych policjantów kamieniami. Jak widzisz, reprezentowaliśmy różne nurty polityczne. Wieczorami wybuchały z tego powodu najdziwniejsze awantury, bo co prawda wszyscy chcieliśmy orać glebę pod nowe społeczeństwo, ale nie mogliśmy się zgodzić co do kierunku orki.

- Wierzyć się nie chce.

- No tak, nie dziwię się, że trudno ci to zrozumieć. Protesty były wtedy wszędzie na świecie, ale u nas, w Niemczech, doszła jeszcze ta historia z wojną. Rodzice chowali nas na pracowitych, bogobojnych i zdyscyplinowanych, a potem okazało się, że tata przerabiał w Oświęcimiu Żydów na mydło, a mama puszczała się dla dobra ojczyzny w *Lebensborn*. Akurat w naszym wypadku niełatwo było brać przykład ze starszych.

Moja matka nosiła różowe bliźniaczki i plisowane spódniczki, co tydzień myła wszystkie okna, hodowała pelargonie w doniczkach i wyglądała wypisz wymaluj jak Magda Goebbels. Więc ja po prostu musiałam się stamtąd wyprowadzić do komuny, do wspólnego garnka, portretów Che Guevary, indiańskich paciorków i grządki marihuany w ogródku. Tam poznałam Hagenę.

- Hagen mieszkał w komunie?

- Nie, skądże. Przychodził do swojej siostry. Hagen nie robił rewolucji. Nosił spodnie z kantem i wykrochmalone koszule, był czysty jak kot, miał krótko obcięte paznokcie i pachniał dobrą wodą kolońską. Wyglądał na naszym tle jak Alicja w Krajinie Czarów. Ale mnie się podobał. Rewolucja rewolucją, a w każdej dziewczynie siedzi gdzieś na samym dnie tęsknota za kimś, kto weźmie ją pod brodę i powie: „Spójrz mi w oczy, mała”. Jak Humphrey Bogart w „Casablance”. I doda, że ma oczy jak studnie i nogi jak gazela.

- Masz oczy jak studnie i nogi jak gazela.

- Dziękuję. Hagen potrafił mówić takie rzeczy i wiele innych. Że czekał na mnie przez całe swoje życie, że dopiero teraz ma ono sens i że nie przeżyłby ani dnia beze mnie.

Też coś. Taki kit Gigi wciskał wszystkim swoim dziewczynom, bo dlaczego nie, skoro akurat to chciały usłyszeć? Miał też w zapasie cały repertuar zaklęć znacznie bardziej oryginalnych. Nic jednak nie powiedział. Miłość w wydaniu niemieckim była równie romantyczna jak żeberka z kapustą i kobiety były wdzięczne za każdy ochłap. Nic dziwnego, że biedactwa mdlały z rozkoszy w jego opalonych wiatrem *Mezzogiorno* ramionach.

Postanowił, że w trakcie następnego pobytu u pani Baumkötter uszczęśliwi ich więcej. Z litości.

- W porównaniu z tą hordą baranów, która przewalała się przez naszą komunę, Hagen wydał mi się objawieniem. Był czuły, delikatny, opiekuńczy. Zmiał pył sprzed moich stóp i nosił mnie na rękach. Bardzo to było przyjemne. Poza tym kupił mi piękną jak grzech koronkową czarną bieliznę i perfumy Chanel. Nie mogłam ich w komunie używać, ale od czasu, gdy je miałam, głęboko schowane w plecaku, poczułam, że mój zapach rewolucyjny słabnie. Przyłapywałam się na tym, że marzy mi się czysta pościel i firanki w oknach. Zrozumiałam, że mój okres antyimperialistyczny dobiega końca.

Wyprowadziłam się bez żalu. Pożegnałam się tylko z Tilly, siostrą Hagen. Bardzo ją lubiłam, nie można było Tilly nie lubić. Traktowaliśmy ją jak maskotkę, miała zaledwie siedemnaście lat i była tak filigranowa, że musiała kupować dzinsy w dziale dziecięcym. Niestety, Felix, chłopak, z którym się związała, nie miał na nią dobrego wpływu. Założył w garażu fabryczkę LSD - trzeba przyznać, nie brakowało mu talentu, biorąc pod uwagę, że studia chemiczne przerwał po drugim roku, żeby zająć się naprawianiem świata - i większość czasu spędzał w jakiejś cudownej podróży, dzięki której miał rzekomo osiągnąć wyższy stan świadomości. Tymczasem tracił resztki tej niższej. Hagen, który Tilly ubóstwiał, nie dało się tego inaczej określić, z uporem pró-

bował ją od Felixa odciągnąć. Z miernym rezultatem, była bez pamięci zakochana i uzależniona od niego jak on sam od grzybków halucynogennych. Hagen nie dawał za wygraną, chociaż gdy przychodził do komuny, od progu witały go gwizdy i kocia muzyka. Prosił, błagał, zaklinał - nic to nie pomogło. Nie udało mu się Tilly uratować. Skończyło się, jak się musiało skończyć: na haju wypadła z okna.

Hagen robił sobie z tego powodu okropne wyrzuty i bardzo mu współczułam. Bez namysłu zgodziłam się za niego wyjść, kiedy mnie o to poprosił. Był najmilszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam, i pilnie potrzebował pociechy.

Na wiadomość o moim ślubie - bez pastora, bez gości i bez tortu, bo przynajmniej tyle byłam winna swojej rewolucyjnej przeszłości - matka rozplakała się z radości. Architekt! Nie narkoman! W garniturze! Nawet nie wierzyła, że kiedykolwiek dożyje takiego szczęścia. Przez chwilę obawiałam się, że padnie przed Hagenem na kolana i ucałuje mu ręce, ale tylko przycisnęła go do piersi i powiedziała:

- Bóg ci to wynagrodzi, mój synu.

Początkowo małżeństwo bardzo mi się podobało, choć troszkę się wstydziłam, że nie mamy mebli ze skrzynek po pomarańczach jak wszyscy moi znajomi. Hagen siedział w pracy, a ja bawiłam się w kuchni garnkami. Firaneczki, elektroluks, telewizor, elektryczna szczoteczka do zębów i wanna, w której nie pływały cudze dzieci wśród brudnych skarpetek. Pięknie. Gdy Hagen wracał do domu, siedzieliśmy przed telewizorem, trzymając się za ręce. O ile nie zawlókł mnie do łóżka, bo mógł zawsze i wszędzie, jak królik. Uważałam to za dowód wielkiej miłości, chociaż nieco mnie peszyło jego biblijne gadanie o sakramencie miłości i komunii ciał.

Gigi poruszył się niespokojnie. Obraz Hagen, dopadającego Agnieszkę w celu udzielenia jej komunii ciał, bardzo go zdegustował. Te Niemki nie mają za grosz taktu. Żadna Włoszka nie uraczyłaby go równie niesmacznymi szczegółami dotyczącymi swojej przeszłości seksualnej. Wprost przeciwnie, starałaby się utrzymywać go w przekonaniu, że w ogóle jej nie posiada i jest czysta jak lilia. Chrząknął zakłopotany i powiedział:



- Na razie odnoszę wrażenie, że był małżonkiem idealnym, chociaż obdarzonym dużym temperamentem. My, Włosi, uważamy to za zaletę. Trudno brać mężczyznę za złe, że piękno kobiety doprowadza jego zmysły do stanu wrzenia.

Przerwali więc na chwilę rozmowę, żeby Gigi mógł złożyć dowody wrzenia swoich zmysłów, a Karen w ogóle nie wzięła mu tego za złe.

- Czasami dziwiłam się, że nikt nas nie odwiedza - ciągnęła dalej Karen po tym orzeźwiającym intermezzo. - Hagen nie miał rodziny, poza babcią, która się na nas obraziła, bo nie zaprosiliśmy jej na ślub - wtedy jeszcze miała po kolei w głowie - ale przyjaciele? Koledzy z pracy? Znajomi ze studiów? Hagen mówił, że zrobimy dużą imprezę, jak się mną nacieszy. Widocznie wciąż nie mógł się nacieszyć, bo nikt do nas nie przychodził. Być może powinno było mi to dać do myślenia.

Wiosną wpadli nagle znajomi z komuny. Zmieszali z błotem firaneczki, telewizor i elektryczną szczoteczkę do zębów, a do wanny nasikali. Wyżarli wszystko z lodówki, łącznie z ziemniakami, które próbowali upiec w tosterze w nadziei, że zrobią się z nich frytki.

Powiedzieli, że odbiły u mnie korzenie reakcji i bardziej drobnomieszczańsko to już naprawdę nie można, ale pogarda nie przeszkodziła im w opróżnieniu na dodatek spizarki. Było fantastycznie. Leżeliśmy pokotem na podłodze, podawaliśmy sobie jointa z rąk do rąk i śpiewaliśmy songi Joan Baez. Dwóch chłopaków bębniło na gitarach. Tak zastał nas Hagen.

Wyrzucił ich wszystkich, za nimi miskę kuskus i gitary, a mnie zrobił piekielną awanturę. Ale to był dopiero początek.

Troszkę zazdrości żadnemu związkowi nie zaszkodzi. Zazdrość Hageny była jednak jak tsunami - nieobliczalna i wszystko niszcząca.

Podejrzewał listonosza, policjanta i elektryka, aptekarza, piekarza i dentystę. Skarżył się każdemu, że mam kochanków, a ludzie go żalowali. Z czasem przechodzili na mój widok na drugą stronę ulicy. Kiedy odwiedził mnie brat, złapałam się na tym, że tłumaczę córeczce sąsiadów, kto to jest i co u mnie robi. Dziewczynka miała pięć lat.

Hagen kazał mi rzucić pracę, którą sobie właśnie znalazłam, chociaż jedynymi mężczyznami byli tam cieć-staruszek i palacz. Nie rzuciłam, ale coraz trudniej było mi wytłumaczyć kierownicze, dlaczego mąż tak często każe mnie wzywać do telefonu. Zawlokłam go do psychiatry - natychmiast nabrał przekonania, że mam z nim romans i poskarżył się mojej matce. Psychiatra był siwym jak gołąbek dziadkiem w wózku inwalidzkim. Matka zadzwoniła do mnie i kazała mi zerwać z psychiatrą. Poradziłam jej, żeby go sobie najpierw obejrzała - zrobiła to i zalała się łzami. Powiedziała jednak, że każde małżeństwo jest krzyżem i trzeba go dźwigać z godnością.

Powoli zaczynałam się bać, czym się to wszystko skończy. Poprosiłam matkę, żeby się do nas na jakiś czas wprowadziła, ale okazało się, że Hagen i o nią jest zazdrosny. Gdy tylko usiadłyśmy razem, wyrastał jak spod ziemi. Podśluchiwał z uchem przy dziurce od klucza. Przeszukiwał teraz i jej torebkę, bo mogła przecież przemycać w niej listy od mojego wymyślanego kochanka. Powoli zaczynałam sama wierzyć, że go mam. Widywałam go w moich snach: wysoki, suchotniczy blondyn w czarnej pelerynie, z szyją zasłoniętą szalikiem, podobny do Chopina. Patrzył się na mnie smutno i mówił:

- Nie wypieraj się naszej miłości.

Matka w końcu załamała się nerwowo. Powiedziała, żebym uciekała, bo nawet krzyż ma swoje granice, ona też. Poleciała mnie opiece boskiej i wyjechała. Ta kapitulacja niezupełnie była tym, czego od niej oczekiwałam, ale nigdy nie spełniałyśmy pokładanych w sobie nadziei.

Pomyślałam sobie, że nie zawadziłoby ocieplić stosunki rodzinne i odwiedzić tę babcię. Może już się nie gniewa i opowie mi coś ciekawego? Przeszukałam ukradkiem papiery Hageny - ja też robiłam się coraz lepsza w tym spiskowaniu - i odnalazłam jej adres. Mieszkała u kuzynki w Limburgu. Pożyczyłam od znajomych z komuny rozklekotanego volkswagena w kolorze trumny, pomalowanego w trupie czaszki i ruszyłam w drogę.

Okazało się, że babcia jest milutką starowinką z klasą, w kapelusiku na głowie i srebrnym lisem na szyi. Tylko pamięć miała słabiutką i od czasu do czasu zapominała,

kim jestem. Dzieciństwo Hagena przypominała sobie natomiast doskonale i opowiadała mi mnóstwo zabawnych anegdotek z jego okresu pieluszkowego.

Wszystko, co po tym okresie nastąpiło, nie było już takie zabawne. Ucieczka ze Stradunken, ukochany kucyk Hagen, zabity i zjedzony przez żołnierzy na jego oczach, ojciec w więzieniu, napisy *Ami-Flittchen* na ścianach domu. No i ucieczka matki z amerykańskim oficerem, tego starsza pani do tej pory nie mogła zrozumieć. Gdybyż to był chociaż angielski lord - ale jak córka junkra pruskiego mogła tak się zdeklasować i porzucić męża i dziecko dla Murzyna?

A Hagen cierpiał. Przez długi czas po powrocie ze szkoły przebiegał wszystkie pokoje, szukając matki. Szukał jej po całym domu, w piwnicy i na strychu, w szafach i pod łózkami. Nie mógł uwierzyć, że go opuściła, a kiedy w końcu uwierzył, coś się w nim załamało. Zaczął się moczyć w nocy i nie odstępował babki na krok. Bał się, że i ona zniknie. Zasypiał tylko w jej łóżku, a kiedy w nocy brała go na ręce i zanosila do jego pokoju, znajdowała go rano zwiniętego w kłębek jak pies u swoich nóg. Serce jej się na ten widok krajało.

Nigdy się nie pozbył lęku, że znowu straci kogoś, kogo kocha.

Kiedy urodziła się Tilly, Hagen przelał na nią całą swoją miłość. Nareszcie był ktoś, komu był potrzebny. Elsa nie mogłaby sobie wymarzyć lepszej niańki. Gdy Tilly podrosła, odprowadzał ją do szkoły i czekał na nią po lekcjach jak surowa guwernantka. Wiadomo było, że pod opieką Hagen włoś jej z głowy nie spadnie.

Ale Tilly dorosła i z aniołka w sukience z falbankami zamieniła się w lekko zamroczoną grzybkami halucynogennymi dziewczynę z kwiatkami w rozczochranych włosach, która kotłowała się na brudnym barłogu z Felixem. Kiedy razem zaglądali do marihuano-wego raj, na jej twarzy malował się wyraz szczęścia.

Tego Hagen nie mógł znieść. Była szczęśliwa bez niego i wcale nie okazywała mu wdzięczności, kiedy próbował ją uwolnić od Felixa, grzybków i komuny. Nie chciał jej zrobić żadnej krzywdy, pragnął tylko, żeby ta obca dziewczucha z oczami zamglonymi narkotykami zniknęła i powróciła znowu jego mała Tilly. Świadomie nie skrzywdziłby nawet muchy.

A nieświadomie?, zapytałam, ale babcia Hagena już odpłynęła do swoich Stradunken.

Do końca nie jestem pewna, co naprawdę stało się z Tilly. Wolałam nie czekać, aż zdobędę pewność. Wcale nie chciałam wiedzieć, do czego Hagen jest zdolny, nie zamierzałam badać jego granic. Spakowałam manatki i znikłam.

Pół roku spędziłam na Ibizie, rok na Majorce, a teraz jestem tutaj. Nie musiałam stawić się na rozwód, mojego nowego adresu sąd Hagenowi nie ujawnił. Do tej pory zastanawiam się, jakby się potoczyło moje życie, gdybym przy nim pozostała, i czym by się to wszystko skończyło. Pewnie nigdy się tego nie dowiem.

- Miałaś rację, *tesoro*, bardzo słusznie postąpiłaś. - Gigi czule polizał muszlę jej ucha. - Inaczej nigdy nie miałbym okazji poznać twojego boskiego ciała, które będzie mi inspiracją w długie zimowe wieczory.

Ile było prawdy w tej historii?, zastanawiał się wieczorem w swojej pracowni na Via Mazella, rzucając placki farby na płótno. Od kumpla z Neapolu miał zamówienie na Castello w nawałnicy z połowy dziewiętnastego wieku, dla jelenia z Teksasu. Obraz zapowiadał się już teraz doskonale, po popsikaniu werniksem pękającym będzie wyglądał na sto pięćdziesiąt lat i dokładnie tyle miał mieć.

Kobiety miały skłonność do przesady w genach. Rosanna, której bardzo, ale to bardzo taktownie wytłumaczył, że dłużej nie może, bo się przy niej artystycznie cofa, też wrzeszczała na całą ulicę, że jest egoistą, sadystą i pedofilem. Szczególnie ten pedofil go zdumiał: nie znosił małych dzieci. Nie miały za grosz szacunku dla jego twórczości i pachniały kupką. Gęby jak u amorków, a w środku tarantula. Portretował dzieci tylko wtedy, kiedy naprawdę przymierał głodem. Czy Hagen Agnes głodzi? Byłoby bardzo smutne, gdyby straciła te milutkie okrągłości.

Jeszcze nigdy nie był w Niemczech zimą. Podobno święta są tam bardzo nastrojowe, Niemcy to szalenie sentymentalny naród. Ale żarcie nędzne. Żeberka z kapustą albo parówki. Brrr. Okropny brak kultury.

Pada śnieg, dzwonią janczary i dzieci rzepołą pod choinką *Heili-ge Nacht* na fle-  
tach. Muzykalni też są ogromnie. Nawet w Oświęcimiu grała wyborowa orkiestra.  
Może powinien chociaż raz zobaczyć Odenwald w śniegu? I co dalej? Zapukać do  
drzwi i powiedzieć: „Wesołych świąt, Hagen, bardzo przepraszam, ale chciałem się  
dowiedzieć, czy nie masz przypadkiem złych zamiarów wobec swojej żony?”. Idio-  
tyczne.

Agnes jest w cywilizowanym kraju. Ludzie zatrzymują się tam na czerwonych  
światłach, każdy piesek ma numerki na obróżce, drzewka na ulicach stoją w klatkach,  
żeby nie puciekały. Co jej tam może się stać? Jest dorosła, sama wybrała, jak chciała,  
choć mogła mieć artystę z talentem erotycznym. I *O sole mio* gratis.

To niech sama sobie teraz radzi.

TKR

Mama! Mama będzie wiedziała, co robić. Zadzzwoni do mamy, niech ją jakoś stąd wyciągnie. Ucieknijcie do Polski. Wszyscy uciekali w odwrotnym kierunku, do kolorowych świateł, jak ćmy, do uginających się pod ciężarem żarcia półek, a ona właśnie inaczej. Mama podzieli się z nią puszką groszku, doktor Szczypiorski dołoży nogę świniaka, którą podarował mu wdzięczny pacjent, i jakoś to będzie. Nie dadzą jej zginąć. Byle jak najdalej od tego szaleńca.

Agnieszka siedziała na podłodze w zamkniętej na klucz łazience i przerabiała rolkę papieru toaletowego na konfetti. Poszarpane strzępki piętrzyły się koło jej nóg jak śnieżne zasy. W Polsce papier jest na wagę złota i nie będzie mogła sobie pozwolić na takie marnotrawstwo, ale teraz musiała czymś uspokoić ręce, które jej latały jak spłoszone wiewiórki. Na umywalce stała napoczęta butelka żu-brówki, prezent od matki, i napełniona do połowy szlaneczka do zębów. W paczce był jeszcze wianuszek suszonych prawdziwków, w których, niestety, załęgły się mole, i „Ludzie bezdomni” Żeromskiego. Bardzo odpowiednia lektura w jej sytuacji, jeszcze nigdy nie czuła się tak rozpaczliwie bezdomna, chociaż miała te swoje talerze z granatowym szlaczkiem, kafłowy piec i włoską glazurę w łazience. Bezdomna we własnym domu.

Hagen raz po raz szturmował drzwi łazienki, zaklinając ją, żeby otworzyła. Nie otworzy. Miała zamiar upić się i spać w wannie przykryta szlafrokiem. Nie wyjdzie. Będzie żyła pastą do zębów i żubrówką. Może uda się jej zaprzyjaźnić z polną myszą mieszkającą w szafce pod umywalką i oswoić pająki. W końcu umrze z wycieńczenia i będzie straszyla na schodach w nocnej koszuli jak Oskar. W tej samej nocnej koszuli, którą godzinę temu Hagen potrząsał jej przed nosem, błądy z wściekłości i ze źrenicami jak łepki szpilek.

- Kto? Powiedz kto? Z kim baraszkujeś bez troski w łóżku, kiedy ja próbuję zarobić pieniądze na twoje fatalaszki? Czy naprawdę nie mogę wyjść na pół dnia z domu, żeby moja żona nie rzuciła się natychmiast w ramiona jakiegoś chłopca?

Zdradzieckie plamy na koszuli, ani chybi sperma, doprowadziły go do szału. Widział pluskające się w niej wesołe plemniki, miliony plemników, wypuszczonych na wolność w miłosnym tornado. Co za dziwka! Przed nim zamykała się na klucz, zaczynała wrzeszczeć, jak tylko wchodził do sypialni, sztywniała w jego ramionach, znużona, nasycona, wygłaskana przez innego. Nieobecna, bo już była w trakcie pożegnania, już odchodziła od niego do kogoś, kto był ciekawszy, dowcipniejszy, a może miał po prostu więcej mięśni.

Gdyby tylko wiedział, do kogo. Gdyby tylko mógł go odszukać i zabić.

- Więc kto?

- To pasta do zębów, ty idioto. Zwyczajna pasta. Powąchaj, pachnie miętą. Ale mogłaby to być jajecznicza ze szczypiorkiem, budyń czekoladowy, a nawet barszczyk, i tak byś widział tylko to, co chcesz zobaczyć. Oddaj do analizy chemicznej. Zbadaj genetycznie. Zanieś na policję, może cię wreszcie zamkną.

Od czasu, kiedy przyłapał ją ze spakowaną walizką, ogarnęła go noc. Strach, że ktoś mu ją zabierze, nie opuszczał go ani na chwilę. Był ktoś, naturalnie musiał być ktoś, kto był temu winien. Nie on sam, bo przecież ją ubóstwiał. Nie ona, bo musiałby ją znienawidzić. A więc ktoś inny. Ten trzeci. Ktoś taki, jak ten czarny, który zabrał mu matkę, jak Felix, jak gach, z którym uciekła Karen. Historia znowu się powtarzała, ale tym razem nie pozwoli jej powtórzyć się do końca. Tym razem nie.

- Jutro - powiedziała głośno Agnieszka, salutując szklanką żubrówki swojemu odbiciu w lustrze. - Jutro, moja kochana Aguniu, dzwonicmy do mamy i wracamy do domu. Na zdrowie!

Noc, którą Agnieszka spędziła w wannie, poprzedzała niedzielę 13 grudnia 1981 roku. W Warszawie panował trzaskający mróz, śnieg na ulicach skrzypiał pod nogami

nielicznych przechodniów. Żołnierze i milicjanci musieli grzać się przy koksownikach.

Przed północą zamilkły odbiorniki radiowe i znikł obraz w telewizorach. Zamilkły telefony. O szóstej rano, na tle flagi i orła, przemówił generał Jaruzelski: „Kierując się potrzebą zapewnienia wzmożonej ochrony podstawowych interesów państwa i obywateli...”.

W Polsce rozpoczął się pierwszy dzień stanu wojennego. Agnieszka o tym wszystkim nie miała pojęcia. Obudziła się ze straszliwym kaczem - nic dziwnego, biorąc pod uwagę ilość wypitej pod pastę do zębów żubrówki. Wypluła trawkę i rozejrzała się dookoła.

W pierwszej chwili myślała, że nadal śni, bo otaczały ją wygięte w niemym tańcu baśniowe postacie i uskrzydłone stwory. A może umarła i właśnie tak wyglądał nowoczesny raj? Mniej podobny do ogrodów Edenu Hieronima Boscha, a więcej do jakiegoś raju turystycznego? Egzotyka Dalekiego Wschodu zamiast chórów anielskich i tym podobnych przestarzałych duperek. Mimo wszystko trochę się zdziwiła, bo wydawało jej się, że niezupełnie zasłużyła na raj: od lat nie była na mszy. Ale może babcia załatwiła jej po znajomości?

Uniosła się na łokciu. Jej ubranie leżało starannie złożone na krześle, na sobie miała wyszywane złotą nitką purpurowe sari, które kiedyś podarował jej Hagen. Jak na raj, strój stanowczo nieodpowiedni - więc może jednak żyje?

Pomieszczenie było przytulne, przesklepione kolebką i obite piękną haftowaną tkaniną. Na podłodze leżał gruby, puszysty dywan, na stoliku stał wazon z białymi różami, w kącie telewizor, obok regał z książkami. Na nim ambitna lektura, Virginia Woolf, Tomasz Mann, Gunter Grass, Martin Walser...yyy, Walsera akurat nie lubiła. Zola, Maupassant i Camus po francusku. Ale w oknach były kraty.

Kraty?

Wytrzeźwiała natychmiast. Piwnica! Piwnica, którą Hagen z takim zapalem rozbudowywał i wciąż nie chciał jej pokazać, bo miała to być niespodzianka. Gdy wyjeź-



dzał, zawsze zamykał ją na klucz. Miała w niej zamieszkać miła młoda dziewczyna, która będzie dotrzymywała Agnieszce towarzystwa.

Zerwała się z łóżka i zajrzała do szafy: wisiały w niej jej ciuchy. Na półeczkach poukładana była porządnie jej bielizna, na podłodze stały w karnych rzędach jej pantofle. Żadnych do chodzenia po dworze wśród nich nie było. Otworzyła drzwi do łazienki: jej szlafrok, jej szczotka, jej kosmetyki. Rzuciła się do drzwi - były zamknięte.

To ona była tą młodą miłą dziewczyną, która tu mieszkała.

Dopiero teraz zrozumiała, że otaczają ją figury z teatru cieni Ha-gena. Na ścianach i na sklepieniu, na półkach i na stolikach, w pudełeczkach i gablotkach, na długich żyłkach, zwieszających się z sufitu, wszędzie dookoła unosiły się najpiękniejsze obiekty z jego kolekcji: indonezyjskie lalki Wayang Kulit, Darmawulan i jego ukochana Anjasmara, Amir Hamzah i jego wierny przyjaciel Umar-maya z Jawy, tajlandzkie Nang Taloong, Hanoman i piękna królowa Kaki, dobrotliwy chiński zwierz Quilin i jadowita skolopendra.

A pośrodku na futonie ona sama, w purpurowym sari, jak kolosalna lalka Nang Yai. Najnowsza figura w jego teatrze. Zaczęła krzyczeć.

Hagen dociskał gaz, wracając autostradą z Monachium. Pan Yoshimoto rezydował tam w hotelu wybudowanym ściśle według reguł feng shui. Jego specjalny doradca, mistrz Chang, czuwał nad każdym detalem, żeby przy wznoszonych dla pana Yoshimoto budynkach nie zapomniano o kosmicznych siłach zapewniających szczęście, dobrobyt i długowieczność. Ważne były wszystkie decyzje - od wyboru działki po wybór kształtu umywalek w toaletach.

Hagenowi było to zupełnie obojętne. Skoro inwestor zażyczył sobie feng shui, będzie feng shui, choćby miał robić ścianom akupunkturę. Gdyby panu Yoshimoto zachciało się ceremonii voodoo, też nie odmówi. Zgodzi się na pagodę na środku foyer i wszystkie japońskie krasnoludki świata. Doświadczenie z panem Ackermannem czegoś go jednak nauczyło, a poza tym rozpaczliwie potrzebował pieniędzy.

Rozmowa, przerywana nieustannie uprzejmymi ukłonami obu stron, wypadła bardzo pomyślnie. Panu Yoshimoto projekt się spodobał. Hagen miał zamówienie praktycznie w kieszeni i w dobrym humorze wracał do domu. Do Agnes.

Agnes przyzwyczajała się powoli do nowych warunków. Od czasu jak dał jej zastrzyk uspokajający, już nie rzucała mu się z pazurami do oczu. Przy okazji obciął jej pazury.

Dlaczego miałyby się nie przyzwyczaić? Niczego jej nie brakowało. W lodówce stał nawet szampan i kawior. Podłączył jej magnetowid, regularnie przynosił nowe książki i kasety. Kupował jej piękne suknie, czarujące kimona i sari - w czarnym i czerwonym było jej najładniej - świeże owoce i kwiaty. Ostatnio przyniósł jej prześliczny pierścionek ze szmaragdem. Rozdeptała go obcasem. Nie szkodzi, da do reparaacji.

Uspokoi się. On już się uspokoił i czuł się zupełnie szczęśliwy, wiedząc, że ma swoje życie znowu pod kontrolą. Odetchnął z ulgą i nareszcie przestał się bać, a strach był najgorszy. Strach, że w końcu nadejdzie to, czego się obawiał, i będzie musiał rozpaczać jak Hiob: *Bo spotkało mnie, czegom się lękał, bałem się, a jednak to przyszło. Nie znam spokoju ni ciszy, nim spocznę, już wrzawa przychodzi*<sup>35</sup>. Teraz już nie przyjdzie. Teraz zapadnie cisza.

Ach, kobiety. Ileż bólu potrafiły zadać i jaką straszliwą pustkę pozostawiały po sobie. Nic nie mogło się równać z męczarnią samotności. Im większe było cierpienie, którego stawały się przyczyną, tym bardziej się je kochało.

Sto lat przed narodzeniem Chrystusa chiński cesarz Wu rozpaczał po śmierci małżonki i nic nie mogło rozproszyć jego smutku. Shao Wong, wielki mistrz tao, obiecał mu, że przywołają z zaświatów. W ciemności rozpiął parawan, powiesił za nim lampę i umieścił przed nią wyciętą z najdelikatniejszej oślej skóry podobiznę zmarłej. Oczom cesarza ukazał się cień ukochanej postaci, znów zobaczył doskonały zarys jej piersi, stopy nie większe od kwiatów lotosu i smukłe dłonie.

---

<sup>35</sup> Księga Hioba, 3, 25, Biblia Tysiąclecia.

Radość władcy Państwa Środka nie miała granic. Co wieczór mistrz Wong przyzywał cień jego ukochanej i co wieczór cesarz spędzał z nim chwile pełne niewypowiedzianej słodyczy. Zapomniał o smutku i rozjaśnił się mrok panujący w jego sercu. Zrozumiał, że oto znalazł miłość idealną, która nigdy nie przyniesie mu rozczarowań.

Tak narodził się teatr cieni, w którym nie ma granicy między snem a jawą. W teatrze cieni widz może usiąść przed ekranem, ale równie dobrze może zająć miejsce obok dalanga, który kieruje ruchami figur. Każda strona jest prawdziwa. To była przyczyna fascynacji, jaką od tysięcy lat wywoływało misterium cieni. Doniosłość tego odkrycia olśniła Hagenę. Wiedział, że doprowadzi go ono do znalezienia odpowiedzi na wszystkie pytania. Dzięki niemu zrozumie przyczynę cierpienia, dowie się, jak je przezwyciężyć - i będzie wolny.

Tajemnica ukryta była w figurach, to one pośredniczyły między rzeczywistością a światem złudzeń. Żeby ją poznać, poświęcał im każdą wolną chwilę. Znał każdą fałdkę ich szat, każdą łuskę zbroi i każdą linię brwi. Wiedział, co zrobić, żeby pokazały na ekranie nie tylko swoje szlachetne rysy i delikatną karnację, ale i uczucia: gniew, radość, żal. Bez trudu przyszło mu wykonanie naturalnej wielkości Nang Yai, do złudzenia przypominającej Agnes. Postać była uskrzydłona i ubrana w czerwono-czarną szatę pokrytą ornamentem naśladowującym haft. Nad fryzurą jeszcze pracował, nie mógł się zdecydować, czy ma odpowiadać klasycznym wzorom, czy też powinien odstąpić od kanonu i obdarzyć figurę tym, co było dla Agnes tak charakterystyczne: grubym warkoczem, śliskim jak wąż. Najlepiej z prawdziwych włosów. Pomyśli jeszcze nad tym, ma przecież czas. Dużo czasu.

Gdybyż tylko ustąpił ten ból głowy! Od tygodni dręczyła go migrena. Zupełnie, jakby jakiś olbrzym ścisnął mu głowę obręczą, okropność. Dokuczała mu też w trakcie rozmowy z panem Yoshimoto i wyraźnie się nasiliła, kiedy gabinet zaczął przed oczami Hageny zmieniać swoje wymiary. Był raz szerszy, raz węższy, sufit odpływał do góry albo posadzka usuwała się spod stóp Hageny. Wszystko przez tę cholerną migrenę.

W pewnej chwili coś dziwnego zaczęło się dziać również z panem Yoshimoto. Ni stąd, ni zowąd zaczął rozpadać się na oczach Hagen na kawałki - osobno głowa, osobno tułów w garniturze, osobno stopy w idealnie wyczyszczonych trzewikach. Już kiedyś widział podobny fenomen, kiedy gotował dla Agnes serca karczochów. Nagle okazało się, że wszystkie mają oczy i patrzą na niego z wyrzutem. Zupełnie jak Agnes. Potem jedno po drugim pękało z cichym trzaskiem jak przekłute szpilką baloniki. Wyrzucił je do pojemnika na śmieci i ugotował brokuły. Te były w porządku.

Pan Yoshimoto chwycił ręką zeglującą po pokoju głowę i zgrabnie wsadził ją sobie na ramiona, jakby nigdy nic. Jego asystenci udawali, że niczego nie zauważyli, Hagen też. Od czasu brzemiennego w skutki incydentu z panem Ackermannem pogodził się z tym, że inwestor ma zawsze rację. Feng shui, pagody, tai-chi - jak sobie życzy, to proszę bardzo. A jeżeli sobie życzy, żeby mu głowa fruwała po pokoju, to też proszę bardzo. Widocznie tak lubi.

Ostatnio czasami ogarniała go mgła i nie był pewien, czy to przez tę głowę, czy też naprawdę. W Erlenbachu często zalegała mgła, olchy ją trzymały. Wyłaniały się z niej jakieś twarze i stroiły do niego grymasy. Nie wiedział, co ma o tym myśleć. Gdy wyjeżdżał do Monachium, z mgły wychynęła twarz pani Wallner i powiedziała:

- Na miłość boską, co się dzieje w tej Polsce, panie Merz? W telewizji wciąż pokazują czołgi na ulicach. Czy będzie wojna?

- Skąd mam wiedzieć, pani Wallner? Na razie wprowadzono stan wojenny.

- Zona pewnie okropnie się denerwuje, biedactwo.

- To ja się okropnie denerwuję. Poleciała na święta do Polski, chociaż ją zaklinałem, żeby tego nie robiła. Ostatnim samolotem, który wystartował. Teraz już nic nie lata.

- A ja się już dziwiłam, że jej w ogóle nie widuję! I co mówi?

- Nic nie mówi, telefony nie działają. Polska jest zupełnie odcięta od świata. Nieustannie próbuję się do niej dodzwonić, ale w słuchawce grobowa cisza.

- Ludzie, ludzie, co to się dzieje! Żeby tak pod koniec dwudziestego wieku zaryglować cały naród... Wyobrażam sobie, co pan teraz musi przeżywać, panie Merz, z całego serca panu współczuję. Byleby tylko Rosjanie nie weszli.

- Pewnie po to ten cały stan wojenny. Żeby nie weszli.

- Widział pan tego ich generała w telewizji? W ciemnych okularach, jak gangster. Widać boi się popatrzeć własnemu narodowi w oczy.

- Bardzo prawdopodobne.

- No i co pan teraz zrobi?

- A co mogę zrobić? Będę czekał, jak wszyscy czekają. Kiedyś sytuacja się znormalizuje i Agnes znowu wypuszczą, ale to może potrwać bardzo, bardzo długo.

Tyle właśnie dowiedział się od pani Wallner Gigi. Pani Merz wyjechała do niešťczęśliwej Polski i wszelki śłuch po niej zaginął. Bardzo był rozczarowany. Zupełnie niepotrzebnie przyjechał, zupełnie niepotrzebnie zaprzętał sobie głowę słowami Karen. Przesadzała oczywiście, jak to zwykle baby przesadzają.

A jednak jej historia nie dawała mu spokoju. Sam łgał w wielkim stylu i dobrze wiedział, że w każdej bajce musi być źdźbło prawdy. A to zapalki u Dziewczynki z zapalkami, a to kapturek u Czerwonego Kapturka. Człowiek po prostu nie jest w stanie zmyślić wszystkiego od początku do końca. Fantazji mu na to nie starcza. Opowieść Karen, nawet po surowym okrojeniu ze wszystkich możliwych chwytów dramaturgicznych i ubarwień, wciąż pozostawała niepokojąca i dlatego właśnie Gigi postanowił rzucić okiem na Odenwald w śniegu. Zawsze była to jakaś artystyczna inspiracja.

Teraz przekonał się, że o śniegu nie ma mowy. W Odenwaldzie wszystko ociekało deszczem i błotem, na każdym krzaku wisiały kłaki brudnej mgły, widok nie do wytrzymania dla syna słonecznej Kampanii. Czegoś tak paskudnego jeszcze nigdy w życiu nie widział. Nic dziwnego, że naród udęczoney tak odrażającym klimatem wymyślił słowo *Weltschmerz*<sup>\*36</sup>, którego nie ma w żadnym innym języku. Zdegustowany

---

<sup>36</sup> Dosłownie: ból świata, więcej niż melancholia.

pocieszył się myślą, że po powrocie natrza-ska obrazów o tematyce apokaliptycznej. Duży format, trzy na cztery metry, wyłącznie olej, dużo umbry. Cykl nazwie „Na brzegach Styksu”. Gabriele Mattera będzie zachwycony. Może zgodzi się nawet wystawić je na zamku w katakumbach klarysek? Między kamiennymi siedziskami, na których siostrzyczki rozkładały się na siedząco, bo nawet po śmierci nie wolno było biedactwom wygodnie się położyć? To by dopiero był efekt!

Pani Wallner, ze swoim długim nosem czarownicy i zaprasowa-ną żelazkiem trwała, mogłaby być ozdobą tego cyklu.

- Przecież mówię, że państwa Merz nie ma. Pan Merz pojechał do Monachium w interesach, a panią Merz zastał w Polsce stan wojenny i nie może się stamtąd wydość. Kto wie, czy jeszcze żyje. Tam teraz deportują, aresztują, a może nawet rozstrzelują.

- Eee tam, zaraz rozstrzelują. Znajoma Polka słuchać polskiej radiostacji i spiker zapewniać, że wszędzie spokój. Karnawał w pełni, wszyscy być temu generałowi głęboko wdzięczni, bo nareszcie porządek w kraju zaprowadził. Nawet zaopatrzenie byłoby normalne, gdyby ludzie nie stawać zupełnie niepotrzebnie w kolejkach.

- A kto by tam wierzył w to, co mówią w radiu? Pan młody, to pan nie wie, ale ja jeszcze pamiętam, jak Ruscy na progu już stali, a w radiu mówili, że tylko krok dzieli nas od ostatecznego zwycięstwa. Ja tam się nie dam nabrać. Jak w Polsce twierdzą, że wszystko jest w najlepszym porządku, to znaczy, że Rosjanie już weszli, zobaczy pan.

- Ma pani może adres pani Merz w Polsce? Może bym jej paczkę wysłał, żeby nie schudła. Nie byłoby jej do twarzy.

- A wie pan, sama o tym myślałam i już prosiłam pana Merza, ale jakoś zapomniał. Tyle ma teraz kłopotów na głowie, biedaczek. Ale mu jeszcze przypomnę.

Skoro już tu przyjechał - *Santa Madonna*, wydać sześćset tysięcy lirów na bilet, żeby zobaczyć długi nos pani Wallner! - to przelazł jeszcze przez płot Merzów, żeby sobie obejrzeć dom. Fachowym okiem ocenił pieczołowicie odrestaurowane belki konstrukcji szachulcowej, świeżo pomalowane szaroniebieskie okiennice i wyrzeź-

biony gotykiem w oczeple napis: *Ten dom wybudowali z boską pomocą Peter Stellmacher i jego małżonka Eliza*. Miłe. Wybudowany przez Petera i Elizę, a doprowadzony do dawnej świetności przez Hagena i Agnes, którzy pod tym dachem uwili sobie gniazdko. A niech to wszyscy diabli.

Dużo się tu zmieniło od czasu, kiedy był na weselu Agnes i podarował jej „Via Mazella w deszczu”. Nadal uważał, że obraz jest doskonały, jeden z najlepszych, jakie kiedykolwiek namalował. Nie zasługiwała na to, ale cóż, zawsze był gołębiego serca i miał gest. Czy go chociaż dobrze powiesiła? Dla każdego obrazu najważniejsze jest światło, jak złe światło, to koniec.

Na myśl, że jego dzieło mogłoby być zdewaluowane przez niekorzystne oświetlenie, Gigi poczuł niepokój. Włożył w ten obraz całe serce, zamknął w nim swoje uczucia, tęsknoty i rozterki, jednym słowem wykrwawił się wewnętrznie. Miał teraz prawo oczekiwać, że potraktowano go z respektem i znaleziono dla niego miejsce, którego był wart. Gdy chodziło o sztukę, gołębie serce Gigiego nie znało pardonu. Zrobił z rąk daszek i przysunął twarz do szyby.

„Via Mazella” nigdzie nie było. Ani w jadalni, ani w pokoju z kaflowym piecem, służącemu jako biblioteka, sądząc po regałach z książkami. W holu także nie. Może w sypialni na piętrze? Czyżby Hagen kochał się z Agnes pod jego obrazem? Niesmaczne. Całkowity brak pietyzmu. A może to ona chciała budzić się i zasypiać z jego dziełem przed oczami? To by z kolei dobrze świadczyło o niej.

Na myśl o zasypiającej pod jego obrazem Agnieszce Gigi wzruszył się i poszedł poszukać drabiny. Nie musiał jej długo szukać, wisiała pod okapem szopy, razem z ognistoczerwoną gaśnicą i wiadrem. No jasne, przepisy przeciwpożarowe. Ten kraj był rajem dla specjalistów od przepisów, przeciwpożarowych, budowlanych, higienicznych, porządkowych, takich i siakich, a co gorsza, wszystkie były przestrzegane. Można było spokojnie wychodzić z założenia, że dozwolone jest tylko to, co przez przypadek nie zostało jeszcze zabronione.

Z rosnącym niezadowoleniem przystawiał drabinę do kolejnego okna. Także i na piętrze nigdzie nie zauważył „Via Mazella”. Czyżby ten chudy sukinsyn odważył się

upchnąć jego dzieło w piwnicy, żeby niszczało w wilgoci? O poczekaj, bratku, jeżeli obszedłeś się z moim obrazem bez szacunku, to kark ci skręcę!, pomyślał Gigi. Czy to możliwe, żeby Agnes Hagenowi na to pozwoliła? W takim razie byłoby dla niej lepiej, żeby została w Polsce internowana i mu się na oczy nie pokazywała. Odrzucić jego urok erotyczny to jedno, ale odrzucić jego sztukę - to już zupełnie coś innego. Tego nigdy jej nie daruje.

Gigi odstawił drabinę i obszedł dom dookoła. Okna piwnicy były, oczywiście, czarne jak smoła, bo niby jakie miały być? Zaczął kląć jak neapolitański taksówkarz urodzony w Forcelli, bo wyszedł na kompletnego idiotę. Wydał sześćset tysięcy lirów, a tu nie było ani śniegu, ani Agnes, ani „Via Mazella w deszczu”. Był tylko sam deszcz, napadało mu za kołnierz i miał przemoczone skarpetki. Ściemniało się i powinien jak najszybciej wracać do „Złotej Lipki”, gdzie zostawił plecak, zanim dostanie kataru. Z kataru nie było mowy o malowaniu, zalepiał mu talent. Przenocuje dziś w „Lipce”, a jutro pojedzie do Frankfurtu i spędzi resztę pobytu u Francesca, u którego kupował swoje upłetwione kabriolety. To na pewno poprawi mu humor.

Francesco od dziesięciu lat harował na żonę i dzieci pozostawione w Neapolu, czyli prowadził w Niemczech bardzo przyjemny żywot kawalera. Zona uważała, że jest święty, bo wypruwa sobie żyły na obczyźnie dla dobra rodziny. Gigi był przekonany, że Francesco jest przynajmniej na tyle święty, żeby mu użyczyć na parę dni dywanu do spania.

Starannie powiesił drabinę z powrotem na szopie, ostatni raz rzucił okiem na ciemne okna pustego domu i ruszył do bramy. Nic tu po nim.

Już sięgał do klamki, kiedy jego wyćwiczone oko malarza zarejestrowało prawie niedostrzegalną zmianę oświetlenia na pograżonym w mroku dziedzińcu. Rosnące pod domem poczerniałe od mrozu krzewy hortensji rozjaśniły się nagle, jakby padł na nie promień zachodzącego słońca. O słońcu jednak nie było mowy, deszcz wciąż nie przestawał padać i kurtka Gigiego nasiąkała wodą jak gąbka. Coraz bardziej się martwił, że dostanie grypy. Był mężczyzną dużym, ale delikatnym i przy byle przeziębieniu popadał w ciężką depresję. Szczególnie twórczą. Jedyna nadzieja, że w „Złotej



Lipce" mają grappę: zamierzał wypić duszkiem całą butelkę, bo był rozjuszony jak nosorożec. Miał mokre gacie i okropnie było mu żal tych sześciuset tysięcy lirów.

Cofnął się i rozgarnął ostrożnie krzaki. Nie mylił się: światło padało z zakratowanego okienka piwnicy. Musiał położyć się w błocie, żeby zajrzeć do środka, ale paliła go ciekawość i koniecznie chciał się dowiedzieć, co się świeci w piwnicy nieobecnego pana Merza i internowanej w Polsce pani Merz. Gdyby nie był ciekawy, nie mógłby być artystą, artysta nieustannie musi zadawać sobie pytania i szukać odpowiedzi. U normalnych ludzi ta cecha charakteru nazywana jest wścibstwem, ale u artysty ciekawość służy poszukiwaniu prawdy i jest jak trzecie oko, niezbędne do jej odkrywania. Dlatego Gigi, interesując się żywo sprawami, które nie powinny były go obchodzić, nie odczuwał żadnych skrpułów. Wprost przeciwnie, uważał to za swój święty obowiązek.

Również teraz, zapuszczając przez zakratowane okienko żurawia w głąb piwnicy Merzów, nie miał najmniejszych nawet wyrzutów sumienia. Czuł się czysty, niewinny i co najwyżej zaintrygowany. Ale to, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach.

Na futonie, otoczona orszakiem roztańczonych figur, wdzięcznie udrapowana wśród obłoków czerwonego jedwabiu, spoczywała Agnieszka. Na nieskończenie długą chwilę serce przestało mu bić, bo myślał, że nie żyje. Leżała wyciągnięta jak na katafalku, z modlitewnikiem w złożonych dłoniach, zupełnie jak *nonna*<sup>\*37</sup> Maria, którą pochowali na wiosnę. Nagle jednak zdmuchnęła tak dobrze mu znanym niecierpliwym gestem włosy z czoła i stwierdził z ulgą, że po prostu jest pogrążona w lekturze. Zastukał w okno. Agnieszka upuściła książkę, zerwała się przerażona i wcisnęła w kąt. Gigi zaklął, złościąc się sam na siebie, bo zorientował się, że w ciemności widziała tylko cudzy nos, rozpląszczony o szybę i miała prawo się przestraszyć.

- A-Kiszka! - zawołał. - Ty się nie bać, to tylko ja, Gigi! Co ty wyprawiać w ta piwnica między te wszystkie maskary? Otwórz mi, bo zimno!

Niewiele pewnie do niej dotarło przez grubą, podwójną szybę, ale przysunęła sobie krzesło do ściany, wdrapała się na nie i wspięła na palce, żeby wyjrzeć przez okno.

Poznała go, zleciała z krzesła i odtańczyła dziki taniec radości, co Gigi przyjął z dużą satysfakcją. W tym czerwonym giele było jej szalenie do twarzy i kiedy tak wirowała, a jej długi warkocz przecinał powietrze i wprawiał w ruch zawieszony na żyłkach lalki, sama wyglądała jak hinduska bogini.

- *Va bene, va bene* A-Kiszka, *basta*\*<sup>38</sup>Ja też się cieszyć, ale ty przestać skakać i otwieraj, bo ja mieć mokre gacie!

Pokazała mu na migi, że drzwi są zamknięte, i wtedy zrozumiał. „Kocha, oczywiście że kocha - przypomniały mu się słowa Karen - ale jak pajak. Musi omotać to, co kocha, uwięzić, żeby mu nigdy nie uciekło. Żeby mógł to zatrzymać na zawsze”.

Hagen włączył Agnieszkę do swojej kolekcji.

Każdy mężczyzna Południa jest z natury romantyczny i nie ma dla niego niczego piękniejszego od ratowania uwięzionych dziewczyn. Gigi całkowicie zapomniał o mokrych gaciach i choć czuł, że jego męskość kurczy się z zimna do rozmiarów gwizdka, pokłusował do szopy, szukać łomu. Łomu, oczywiście, nie znalazł, bo niby skąd łom u porządnych ludzi, którzy nie uprawiają jako hobby akurat górnictwa, ale złapał metalową sztabę, na którą zamykane były wrota, i popędził znowu pod okno piwnicy. Padł na brzuch w błoto i zabrał się do wyważania krat.

Natychmiast pożałował, że jak chodził do szkoły z Giuseppe Ala-ca i Enzo Piopetto, którzy w ogóle nie przykładali się do matematyki, ale bardzo sumiennie pobierali nauki u don Rocco, to brał na serio te wszystkie pierdułki babci Marii i *padre* Salvadore o dziesięciu przykazaniach i nigdy nie poszedł z chłopakami obrobić jakiegoś sklepu. Dziś babcia i *padre* umierali z nudów na pastwiskach niebieskich, Giuseppe i Enzo mieli dobrze prosperującą fabryczkę heroiny w Forcelli i jeździli najnowszymi modelami mercedesów, a on siekał pietruszkę u pani Baumkotter i jeszcze nigdy nie włamał się do żadnej piwnicy. No i wielka szkoda, bo wszystkiego w życiu trzeba się nauczyć i trochę doświadczenia ogromnie mu by się teraz przydało.

---

<sup>37</sup> babka

<sup>38</sup> Już dobrze, już dobrze, starczy!

Pierwszy pręt wyszedł z muru zupełnie gładko, ale przy drugim musiał już nieźle się namęczyć, pełzając w błocie jak salamandra. Po drugiej stronie okna Agnieszka podskakiwała niecierpliwie na krześle, zagrzewając go okrzykami:

- Gigi, no jeszcze trochę! Dalej, dalej, dalej! Kończ wreszcie, na co czekasz!

Przypominało mu to w bardzo nieprzyjemny sposób Rosannę, która miała temperament seksualny niegodny włoskiej żony i matki i poganiała go dokładnie tymi samymi słowami jak dżokej konia. W końcu się z nią rozstał, i to nie tylko dlatego, że cofał się przy niej artystycznie. Przede wszystkim doszedł do wniosku, że nie będzie orał za jej męża.

Nareszcie udało mu się wyłamać oporny pręt, z sąsiednim poszło mu lepiej. Rozbił sztabą szybę, oczyścił ramę z odłamków szkła i wyciągnął ręce do Agnieszki. Wdrapała się po ścianie jak kot, przesunęła ramiona przez okienko i tak utkwiała.

- O kurwa, nie przejdę! Utyłam w tej piwnicy!

- *Curva*<sup>\*39</sup> masz piękne, dziecko - zapewnił ją - ale akurat w tej chwili zawadza. Ty przeć, a ja ciągnąć.

- Kiedy nie dam rady, Gigi. Muszę schudnąć.

- Nie będę czekać, aż ty schudnąć, bo mi jaja z zimna odpaść! - zdenerwował się Gigi. - Jazda z powrotem, a ja wyłamać czwarta pręt.

Namordował się znowu okropnie, a jego szacunek dla Giuseppe i Enzo rósł z każdą minutą. Ciężki kawałek chleba, żeby dojść do mercedesa.

Tym razem Agnieszka prześliznęła się przez okno jak rybka i padła obok Gigi w błoto. Mokry warkocz leżał koło niej w kałuży jak zdechły wąż. Jeszcze dysząc z wysiłku, pocałował ją w brudny nos.

- Ty móc mi może wytłumaczyć, w co wy się w ta piwnica bawicie, A-Kiszka? Sadosmaso czy jak?

- Później, Gigi, później. Teraz znikamy, zanim Hagen wróci. Zabije nas oboje.

---

<sup>39</sup> tuk, okrągłość.

- A to mnie być bardzo przyjemnie. Zazdrosne męże to moja *specjalik*<sup>\*40</sup>. Można wiedzieć, jak ty chcesz zniknąć w nocna koszula? Ty musisz płaszcz jakiś włożyć, zima być, ty nie zauważyć?

- Masz rację. Wejdziemy do kuchni przez okno, tam nie ma krat. Złapię kurtkę, buty i w nogi.

Szybę w kuchennym oknie Gigi rozbił z prawdziwą przyjemnością, ta robota zaczynała mu się podobać. Może powinien odwiedzić Giuseppe i Enzo po powrocie, wymienić doświadczenia. Agnieszka chwyciła w sieni kożuszek, wsunęła zabłocone giezło w majtki i wcisnęła nogi w botki.

- Nawet stopy mi utyły - poskarżyła się. - Okropnie rozlazłam się w szwach. Wszystko przez ten brak ruchu.

- Minimalnie - pocieszył ją Gigi. - Pięć, osiem kilo góra. A teraz ty przestać rozpaczać nad nadwaga i ruszać się, ja myślę, że tobie się strasznie spieszyć.

- A do czego tak się spieszysz, mój aniele?

Hagen wślizgnął się bezszelestnie jak wąż przez rozbite okno i stał przed nimi, blady z wściekłości. Oczy miał białe jak u gada i puste. Gigi poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Zawsze myślał, że to tylko literacka metafora, ale w oczach Hageny nie było nic ludzkiego. Kiedyś w Apeninach widział, jak chłopcy osaczyli z drągami wściekłego wilka: patrzył tak samo.

- Oszalał - pomyślał i była to jego ostatnia myśl, bo w tej samej chwili rozstrząsało się na jego głowie krzesło. Osuwając się na kolana, usłyszał jeszcze zwierzęcy krzyk Agnieszki, którą Hagen włókł do piwnicy.

---

<sup>40</sup> specjalność

Pani Berek zawsze wiedziała, że kiedyś wydarzy się w jej życiu coś strasznego. Nie można było niczego innego oczekiwać w kraju, który dopuścił do tak daleko idącej obcej infiltracji. Na-wpuszczali tych Turków, Arabów i Murzynów, obiecując, że wkrótce wrócą na łagodne wzgórza Anatolii i stepy Afryki. Nie wrócili.

Najwięcej obaw budzili w niej brodaci mężczyźni, spotykający się pod sklepkiem Evrena Yildirima. Podobno w rodzinnych wsiach zakopywali w ziemi po szyję wiarołomne żony i mieli masę zabawy, rzucając w nie kamieniami. Nie to, żeby pochwalą zdradę małżeńską, ale w cywilizowanym świecie pozbywało się współmałżonka przy pomocy prawników, a nie kamieni.

Ten południowiec od razu wydał się jej podejrzany, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła na weselu państwa Merz. Wszyscy wiedzieli, że w Neapolu jest camorra, zorganizowana lepiej niż niemiecki urząd finansowy. Każdy Włoch z tamtych stron, nawet jeżeli sam nie był w mafii, miał w niej wuja, stryja albo pociotka.

Jak to dobrze, że dla bezpieczeństwa swojego i innych tyle czasu spędzała na obserwacji ulicy! Przemoc była wszechobecna, ale wcale to nie oznaczało, że należy jej się poddać bez oporu, jak królik, który czeka na to, żeby go pożarł wąż. Ona zawsze miała pod ręką wbite w kłębek wełny druty i była zdecydowana drogo sprzedać swoje życie.

Dlatego od razu zauważyła tego Włocha, który kręcił się koło domu państwa Merz. Każdy w miasteczku wiedział, że biedną panią Merz internowano w Polsce, gdzie teraz była wojna, chociaż w telewizji mówiono, że wojny nie ma. Ona miała na ten temat inne zdanie, widziała w dzienniku czołgi na ulicach i żołnierzy przy kokosownikach i było to dokładnie tak samo jak w czterdziestym piątym, kiedy wkroczyli Sowieci. Wszyscy mówili, że Sowieci gwałcą, więc posmarowała sobie twarz sadzą i przypudrowała włosy mąką, żeby wyglądać na staruszkę i rzeczywiście nikt jej nie zgwałcił. Jeden żołnierz dał jej nawet ćwiartkę chleba i powiedział: *Na, paku-szajtje, matuszka*. Troszeczkę była rozczarowana.

Ciekawe, czy Sowieci zgwałcili panią Merz? W telewizji mówili, że wcale nie weszli do Polski, ale ona w to' nie wierzyła, bo Sowieci wchodzili wszędzie, gdzie tylko dało się wejść.

W każdym razie miała dom Merzów pod obserwacją, wiedziała, że nikogo w nim nie ma i nie było powodu, żeby się koło niego kręcić. Przyniosła więc sobie lornetkę i podłożyła jasek pod siedzenie, żeby było jej wygodniej. Ten południowiec najpierw dokładnie obejrzał dom, zaglądając do każdego okna, potem przystawił drabinę - w biały dzień! - i zlustrował także pokoje na piętrze. Bez wątpienia chciał się zorientować, jak najłatwiej się dostać do środka i co by tu wynieść. Bezcelność. Ale pani Merz sama była sobie winna, bo pani Berek już parokrotnie zwróciła jej uwagę - bardzo, ale to bardzo delikatnie - że powinna powiesić w oknach zasłony. Jedyny dom w Erlenbachu bez zasłon, do czego to podobne! Ale pani Merz tylko się roześmiała i powiedziała, że nie mają nic do ukrywania. Bardzo proszę, jak nic do ukrywania, to nic do ukrywania, każdy złodziej będzie jej głęboko zobowiązany, skoro jednak pani Merz wie lepiej...

Pani Berek okropnie się zdenerwowała, kiedy mężczyzna zniknął za domem i przez długi czas nie było go widać. Gdy usłyszała dźwięk rozsypującego się szkła, już wiedziała, że się włamuje. Bardzo się bała, ale należała do pokolenia, które jeszcze wiedziało, co to obowiązek obywatelski. Poza tym, co tu kryć, była ogromnie zemocjonowana. Nie po to zdobyła kolosalną wiedzę fachową, zapelniając od lat wycinkami z gazet kołnotatniki „Włamania”, „Gwałty” i „Morderstwa”, żeby nie stać teraz w pierwszej linii. Włożyła szybko toczek na głowę, zarzuciła płaszcz na ramiona i uzbroiła się w parasol. Przekradła się na drugą stronę ulicy i ukucnęła w krzakach, nie spuszczać domu Merzów z oka.

Omial nie zemdląla, kiedy włoski bandyta wyciągnął przez okno piwnicy zwłoki internowanej w Polsce biednej pani Merz. Najstraszniejsze było, jak nagle pocałował trupa. Zboczeniec! Oczywiście pani Berek była dorosła i wiedziała, że na świecie jest dużo zła: sodomia, pederastia, nekrofilia... Ale żeby w Erlenbachu i na jej oczach?

Drżała jak liść. Dopiero teraz uświadomiła sobie, w jakim znajduje się niebezpieczeństwie. Tyłem, jak rak, wyczołgała się bezszelestnie z krzaków i popędziła do domu, żeby zadzwonić na policję.

Hagen walczył jak lew, kiedy odciągano go od Agnieszki. Trzech policjantów musiało na nim usiąść, żeby go skuć. Założyli mu w końcu kajdanki, ale nie podnosili się, siedzieli ciężko na rozplaszczonym Hagenie, gapiąc się z otwartymi ustami na kołyszące się pod sklepieniem figury. Tego w Erlenbachu jeszcze nie było: w kuchni facet w kałuży krwi, w piwnicy lalki, szaleniec i dziewczyna związana jak baleron, z ustami zaklejonymi plastrem. Zupełnie jak w „Psychozie” Hitchcocka. I pomyśleć, że kiedy zadzwoniła pani Berek i zachłystując się z wrażenia, opowiedziała, że neapolitański gangster właśnie zamordował panią Merz, parsknęli tylko śmiechem, a Georg zrobił kółko na czole i stwierdził:

- Stara wariatka. Chyba nie macie zamiaru tam jechać?

Nawet tu, w piwnicy, słycać było przeraźliwe wycie uwolnionej od plastra Agnieszki. Od chwili, kiedy zobaczyła zalanego krwią Gigiego, nie można jej było uspokoić. W końcu nie pozostało mu nic innego, jak tylko odzyskać przytomność i powiedzieć jej, żeby się zamknęła. Osiem kilo nadwagi to przecież nic strasznego, szybko zrzuci. Trzeba ich było zawieźć do szpitala jedną karetką, bo wczepiła się w niego jak kleszcz i nie dała się odciągnąć. To mu znowu w nieprzyjemny sposób przypomniało Rosannę.

Drugą karetką pojechała pani Berek. Była w stanie silnego szoku, ale uśmiechała się szczęśliwie: przeżyła najpiękniejszy dzień swojego życia.